tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 49 (1195)
28.11-4.12.2022
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Jerzy J. Wiatr
Na czym polega wielkość Jaruzelskiego

W kolejce po węgiel

Jacek Pałkiewicz
u źródła Amazonki

Jakub Dymek
Walka dzieci i ojców III RP

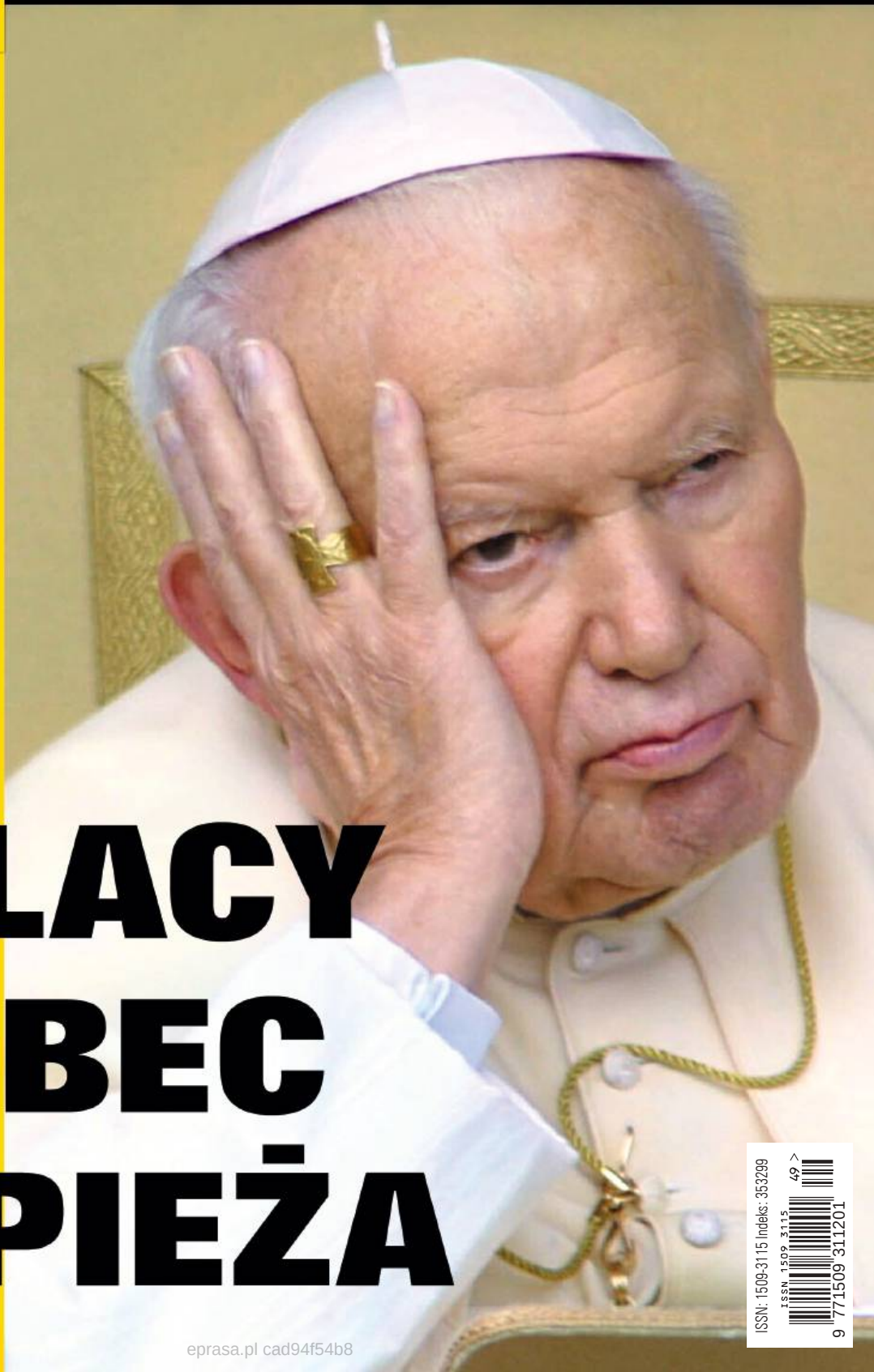

radykalni krytycy

wątpiący

bezkrytyczni obrońcy

POLACY WOBEC PAPIEŻA

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
49
9 771509 311201

eprasa.pl cad94f54b8

CZAS NA PREZENTY

Pora na dobre książki PRZEGLĄDU

2 + 1 GRATIS

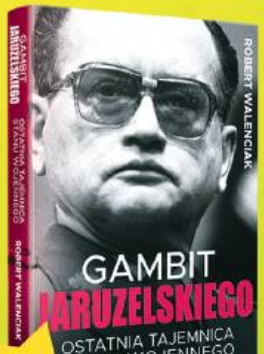

49 zł

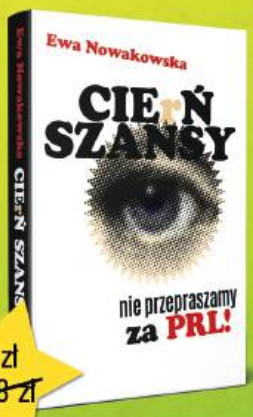

38 zł
~~48 zł~~

31 zł
~~41 zł~~

37 zł

77 zł

76 zł

75 zł

PAKIET 190 zł

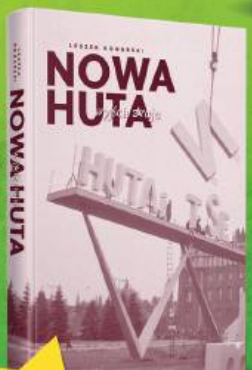

39 zł
~~49 zł~~

41 zł
~~51 zł~~

47 zł

***dostawa za 0 zł**

Przy zakupie 2 dowolnych książek „Dąbrowszczacy" w prezencie

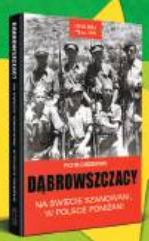

Zamów książki na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

***Darmowa wysyłka** listem nierejestrowanym Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, Orlen paczka +6,99 zł, paczkomat InPost +12,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

Promocja ważna do 31.12.2022 r. lub do wyczerpania zapasów

eprasa.pl cad94f54b8

Jerzy Domański

Dzwon dla Zełenskiego

Prezydent Zełenski pokazuje światu, jak można walczyć o interesy swojego kraju. Bez oglądania się na interesy innych państw. Nawet tych, dzięki którym Ukraina może jeszcze wojować, bo dostaje pomoc o niewyobrażalnej skali. Historia od zakończenia II wojny światowej nie zna podobnego wsparcia. Bez tego nawet największa ofiarność Ukraińców nie wystarczyłaby do skutecznej obrony tego państwa. Ale żeby Ukrainie tyle dać, nawet najbogatsze państwa muszą zacisnąć pasa. A Polska do tych bogatych przecież nie należy. Problemów bytowych, i to na bardzo elementarnym poziomie, doświadczają miliony Polaków. Mimo to pomoc z Polski płynie na Ukrainę szerokim strumieniem.

To jak dotąd bezwarunkowe wsparcie może być dalej tak hojne, jeśli strona ukraińska nie będzie naruszała naszych interesów. A tak niestety coraz częściej się dzieje. Powołanie Andrija Melnyka na wiceministra spraw zagranicznych nie jest już dzwonkiem alarmowym. To prawdziwy dzwon. Prezydent Zełenski musi usłyszeć, że jeśli nawet polscy politycy przełkną i tę żabę, to wielu Polaków rządu z Melnykiem wspierać nie będzie. Jak ocenić ten wrogi wobec Polski gest? Antypolski awanturnik, którego Niemcy pogonili po wielu kłamstwach, oszczerstwach i chamskich zachowaniach, awansował na wiceministra. Zakłamywanie tragedii wołyńskiej po tym, co Polacy robią dla Ukrainy, jest niegodziwe. Głupie i niegodziwe.

Po zabiciu przez ukraińską rakietę dwóch Polaków w Przewodowie zamiast ubolewania i przeprosin doczekaliśmy się ze strony Zełenskiego kłamstw niegodnych sojusznika. Dodajmy do tego jego obraźliwe wypowiedzi pod adresem Jarosława Kaczyńskiego, który w czasie wizyty w Kijowie zgłosił propozycję powołania misji NATO dla Ukrainy. Zełenski i jego najbliżsi współpracownicy bardzo często powtarzają: to jest wciąż nasz kraj i to my zadecydujemy, czy będą tu inne siły. Pełna zgoda. Ale do kompletu potrzebna jest jeszcze elementarna konsekwencja. Nie można nieustannie ochrzaniać wszystkich państw, że dają za mało, bo przy tej skali pomocy jest to zarzut absurdalny. Wy dajcie, dajcie i dajcie, a my zrobimy, co chcemy. Chcemy Melnyka, to go powołamy, a wam od tego wara.

Według telewizji NBC nawet prezydent Biden traci cierpliwość do ciągłych połajanek Zełenskiego: „Amerykanie są hojni, administracja ciężko pracuje, by pomóc Ukrainie, a pan mógłby okazać trochę więcej wdzięczności".

Zwłaszcza w czasie wojny można oczekiwać elementarnej lojalności. Zamiast tego jest coraz więcej niepokojących sygnałów. Można je zastopować. Tak jak Niemcy postąpili z Melnykiem.

Ambicja polityków ukraińskich sięga znacznie wyżej, niż myślą polscy politycy. Ołeksij Arestowycz, bliski doradca Zełenskiego, widzi Ukrainę jako przyszłego lidera naszego regionu. Czy nie jest to zapowiedź nadchodzących problemów?

BĄKOWSKI

CYTATY

ANTÓNIO GUTERRES,
sekretarz generalny ONZ
Nasz świat jest zagrożony i sparaliżowany.
„Forum"

PROF. TADEUSZ KLEMENTEWICZ,
politolog, UW
Istota wolności słowa nie polega na powielaniu obiegowej opinii, zwykle uproszczonej, dyktowanej lękami albo patriotycznym frazesem.
„Dziennik Trybuna"

KS. ADAM BONIECKI, redaktor senior
Przygotowanie katechetów do nauczania religii musi być specjalne i musi eliminować ludzi, którzy się do tego nie nadają.
„Tygodnik Powszechny"

AGNIESZKA RADWAŃSKA, tenisistka
Iga Świątek urodziła się z męską siłą, którą dominuje teraz przeciwniczki. Nie ma za wielu dziewczyn, które mogą jej zagrozić.
„Angora"

eprasa.pl cad94f54b8

W NUMERZE

HISTORIA
8 **Na czym polega wielkość Jaruzelskiego**
– rozmowa z prof. Jerzym J. Wiatrem

KOŚCIÓŁ
14 **Kto podnosi rękę na Jana Pawła II?**
Hierarchowie bronią papieża

KRAJ
18 **Polowanie na węgiel**
Byle był polski
22 **Fabryki czy montownie?**
Chcemy mieć dobry sprzęt wojskowy
24 **Czeski desant na polskie sklepy**
Turystyka zakupowa kwitnie
26 **Łódź wiadukty stawia**
Trasa z fuszerką
39 **Rytuał i kłótnia w rodzinie. Spór o transformację**

ZAGRANICA
28 **Egzotyczne ogrzewanie**
Skąd Europa bierze energię
32 **Jak znikają miliardy dolarów**
Patologie kryptowalut
36 **Różnorodność i podwójne standardy**
Mundial – święto sportu i polityki

NAUKA
42 **Las i morze leczą seniorów**
– rozmowa z dr Ewą Jarosz

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY
45 **To nie płace nakręcają inflację!**
Naprzeciw postulatom OPZZ
46 **Zrównoważona, integracyjna i godna praca dla wszystkich!**

PSYCHOLOGIA
48 **Depresyjna sinusoida**
Ważne jest wsparcie bliskich

KULTURA
52 **Kino w pięciu smakach**
Bez szczęśliwych zakończeń
54 **Qulturalia**
66 **Fotografia i Warszawa lat 90.**

OBSERWACJE
55 **Ostatnie odkrycie geograficzne**
Podróże Jacka Pałkiewicza

ZWIERZĘTA
58 **Zima w ciepłych krajach**
Czyli bocian na wakacjach

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Dzwon dla Zełenskiego
21 **Jan Widacki**
A może by tak przywrócić tortury?
31 **Roman Kurkiewicz**
Ten miły, sympatyczny rasista i morderca polityczny
35 **Wojciech Kuczok**
Czas letargu
47 **Tomasz Jastrun**
Mowa ognia
51 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Pod skórą

24
KRAJ

CZESKI DESANT NA POLSKIE SKLEPY
Turystyka zakupowa kwitnie

42
NAUKA

LAS I MORZE LECZĄ SENIORÓW
– rozmowa z dr Ewą Jarosz

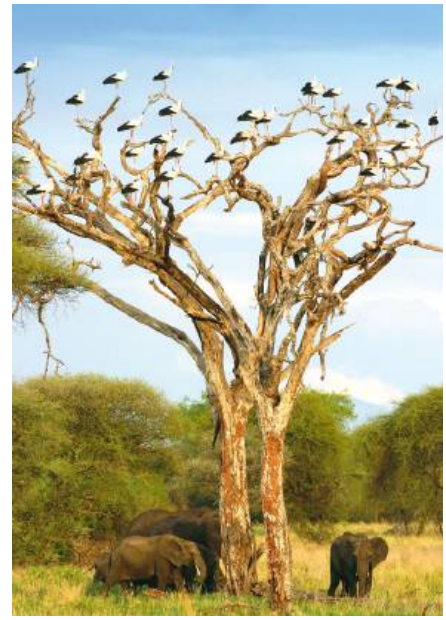

58
ZWIERZĘTA

ZIMA W CIEPŁYCH KRAJACH
Czyli bocian na wakacjach

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl cad94f54b8

Obrażanie i prawo

Kwestia obrażania uczuć religijnych wymaga wielkiej rozwagi, nie powinni się nią zajmować fanatyczni ignoranci w rodzaju Ziobry. W historii religii głosili swobodnie swoje poglądy antytrynitarze, protestanci szydzili z katolickich dogmatów i form pobożności, a katolicy z innowierców; bez skrępowania pisali o religii Wolter i Nietzsche. Tego z kultury europejskiej się nie wymaże. Czym innym jest wolność problematyzowania, czym innym niestosowność celowego obrażania. Osobne są prawa sztuki i satyry. Jeżeli artysta coś głęboko odczuwa, trzeba to uszanować, bo przez sztukę (nie jej imitacje) przemawia głos wyższy, a satyryk (jako artysta) ma prawo w swojej konwencji potępiać wszelką obłudę, też kiedy ta przybiera maskę religijną. Bez tego nie byłoby „Świętoszka" ani satyr bp. Krasickiego. Korzystając z pełnej ochrony, Kościół nie poczuje się dobrze, są tego świadomi ci księża, którzy widzą jego wady i których to boli.

Andrzej Lam

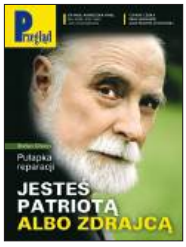

Pułapka reparacji

Oczywiście, że nie należało występować o reparacje. Raz, że już przed laty ta sprawa została zamknięta, a dwa, że tylko czekać, kiedy pojawi się sprawa granicy z Niemcami, wypędzonych itp. Moja Babcia pochodziła z Nadrenii-Północnej Westfalii. Mieszkam na Kaszubach. Moja Mama zdecydowanie odradzała swoim dzieciom emigrację do Niemiec. Nigdy tam nie pojechałam. Donald Tusk nie potrafił stanąć po stronie swojego dziadka z Wehrmachtu, to teraz pewnie też będzie po stronie tych od reparacji. Ale ja nie wstydzę się swojego Ojca, którego wraz z innymi Kaszubami wywozili z dworca w Chyloni pod lufami snajperów niemieckich, a który później walczył u Andersa i wyzwalał Bolonię i Anconę. Do swojej Umiłowanej Ojczyzny, jak zwykł mówić o Polsce, wrócił z Anglii w maju 1947 r.

Waleria Lubner

Zawsze o Nim

Z ogromną uwagą przeczytałem felieton Andrzeja Romanowskiego „Zawsze o Nim" (PRZEGLĄD nr 48) o Henryku Markiewiczu. To bardzo szlachetne, że redakcja przypomina sylwetkę tego znakomitego uczonego, marksisty, w 100. rocznicę jego urodzin. Profesora znałem osobiście. Do cennych uwag felietonisty dodam jeszcze to, że był bardzo wymagający, a zarazem bardzo życzliwy dla młodych adeptów kunsztu polonistycznego. Doświadczyłem tego w latach 70., kiedy poproszony przez prof. Wincentego Danka napisał opinię do mojego wniosku o profesurę.

Bolesław Faron

Szybcy się wściekli

Dziwię się, dlaczego opozycja nie zajmuje zdecydowanego stanowiska w sprawie zaostrzenia prawa, np. drogowego, czy w innych tego typu sprawach. Zaostrzenie kar za przekroczenia przepisów drogowych to tylko bat na przeciwników politycznych. Pisowców te kary omijają, co widać na każdym kroku. To jest bicz na opozycję. Ponadto czasem zaostrzają prawo, a jednocześnie obniżają kary... dla swoich. To jest pisowska demokracja.

TZ

ZDJĘCIE TYGODNIA

Obroniony karny w pierwszym meczu Polaków na mundialu w Katarze. Strzelał Robert Lewandowski, w bramce Meksyku Guillermo Ochoa.

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/FOTO OLIMPIK/EAST NEWS

eprasa.pl cad94f54b8

83% Polaków odczuwa wpływ zmian klimatycznych, a 65% uważa, że transformacja klimatyczna powinna być przyśpieszona **(sondaż Europejskiego Banku Inwestycyjnego).**

•

Niemcy zaoferowali Polsce zabezpieczenie przestrzeni powietrznej eurofighterami i systemami obrony Patriot. Nie wypadało odmówić, ale prezes Kaczyński znalazł inne rozwiązanie. Niemieckie patrioty mają trafić na Ukrainę. Polacy obronią się opowieściami Błaszczaka o zakupach.

•

Przez 7 minut i 31 sekund prezydentowi Andrzejowi Dudzie wydawało się, że rozmawia z Emmanuelem Macronem. A gdy rosyjscy żartownisie skończyli rozmowę, Kancelaria Prezydenta RP jeszcze następnego dnia informowała o rozmowie z prezydentem Francji. Przy konwersacji z rzekomym Macronem byli także szef BBN **Jacek Siewiera i Jakub Kumoch.**

•

Kto zdradą wojuje, od zdrady ginie. Przynajmniej na Śląsku, gdzie radny sejmiku Wojciech Kałuża wybrany z listy Koalicji Obywatelskiej przeszedł z grupą radnych do PiS, dzięki czemu ta partia przejęła władzę w województwie. Po czterech latach do opozycji przeszedł marszałek **Jakub Chełstowski**, szef struktur PiS na Śląsku. I PiS straciło władzę na Śląsku.

•

Kraków, Warszawa i Wrocław są w pierwszej dziesiątce miast świata o najbardziej zanieczyszczonym powietrzu.

•

Kiepsko realizowany jest **krajowy plan usuwania pokryć dachowych z azbestu.** Z prawie 8,5 mln ton usunięto zaledwie 17%. Najgorzej jest w województwach łódzkim i podlaskim.

•

Szef MON **Mariusz Błaszczak** uznał za celowe, by reprezentację piłkarzy odlatujących do Kataru eskortowały do granic Polski myśliwce F-16. Zdaniem wicepremiera jest to bardzo dobra drużyna, świetni zawodnicy i mamy nadzieję, że osiągną wiele.

•

Mateusz Krzyżowski, student Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie, został zwycięzcą XII Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. I.J. Paderewskiego w Bydgoszczy.

•

Małgorzata Szumowska, autorka Niewidzialnej Wystawy i prezeska Fundacji Centrum Edukacji Niewidzialna, została **Warszawianką Roku.**

•

Powołanie **Stanisława Bortkiewicza** na prezesa Polska Press, której właścicielem jest PKN Orlen, bardzo źle wróży dziennikarzom tych gazet. Bortkiewicz był m.in. grabarzem Ursusa.

•

6,4 mln zł w ciągu dwóch lat dostały organizacje pozarządowe związane z dziesięciorgiem spośród 28 członków Rady Rodziny przy MRiPS **(NIK).**

•

Szybko rośnie liczba zgłoszeń kierowców wysyłanych na skrzynki mejlowe policji **„Stop agresji na drodze"**, które działają we wszystkich komendach wojewódzkich. W ciągu ośmiu miesięcy tego roku trafiło do nich ponad 20 tys. zgłoszeń.

•

Wśród 10 mln osób, które mieszkają w Anglii i Walii, a urodziły się poza granicami Wielkiej Brytanii, najliczniejszą grupą są urodzeni w Indiach – 920 tys., czyli 1,5%, w Polsce – 743 tys. (1,2%) i w Pakistanie – 624 tys. (1,0%).

PRZEBŁYSKI

Nauka to nie jest ich hobby

Wybrańcy Michniewicza grają w Katarze tak, jak potrafią. Trudno przecież wymagać od wróbla, żeby latał jak orzeł. Bo choć nasi piłkarze mają orła na koszulkach,

to na tym podobieństwo się kończy. W szkołach też mieli pod górkę. Kamil Grosicki i Krzysztof Piątek to dumni absolwenci gimnazjum. Jakub Kiwior chwali się ukończeniem szkoły zawodowej w Tychach. Do matury nie podszedł Karol Świderski. Szkoły średnie zdołali zaliczyć Piotr Zieliński w Lubinie i Wojciech Szczęsny w Warszawie. Na ich tle edukacyjnymi tuzami są Kamil Glik, który zrobił licencjat w Warszawskiej Szkole Zarządzania, i Jan Bednarek, który pochwalił się licencjatem Wyższej Szkoły Zarządzania i Administracji w Opolu. Najdalej w nauce zaszedł kapitan, czyli mgr Robert Lewandowski. Absolwent Wyższej Szkoły Edukacja w Sporcie w Warszawie. Napisał tam pracę „RL9. Droga do sławy". I wszystko jasne!

Wicekról saski

Wicekrólem saskim nazywają warszawiacy Jana Edmunda Kowalskiego, prezesa spółki Pałac Saski. Jeśli uczniowie będą mieli kłopot ze zrozumieniem starego porzekadła „Za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa", to trzeba ich wysłać na wycieczkę do zarządu spółki kierowanej przez Jana Edmunda K. Zobaczą, że czasy się zmieniły, ale ciągle można dobrze żyć, jeśli władza da na to kasę. 35 osób dostaje po 12 tys. zł miesięcznie, choć trudno powiedzieć za co. Za 900 m kw. ich biura w wieżowcu trzeba płacić 1,2 mln zł rocznie. Do tego autko dla prezesa za 240 tys. zł.

A wszystko po to, by przy Grobie Nieznanego Żołnierza postawić makietę badziewia zbudowanego kiedyś przez rosyjskiego kupca. Makieta za 2,5 MILIARDA złotych. W realu to może być i 4 mld. I po co? By ucieszyć prezydenta Dudę, gorącego orędownika tego badziewia.

Proboszcz wzywa do opamiętania

Nie tylko piłkarze walczą o wyniki. Ostra konkurencja jest także między parafiami. Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego czuwa i liczy frekwencję na mszach. Maruderzy mają pod górę z awansami. Nic dziwnego, że proboszcz ksiądz prałat Eugeniusz Pepliński z parafii św. Apostołów Piotra i Pawła w Kamieniu Krajeńskim wydarł się na swoje owieczki. A precyzyjniej – na ich skromną reprezentację. Bo na mszy stawiło się 28% parafian, a do komunii przystąpiło 24%. Ks. Pepliński, jak podają „Fakty po Mitach", niczego nie owijał w bawełnę: „Oto obraz życia religijnego naszej parafii. Po prostu wstyd mi i brak jakichkolwiek słów, bo dane te zostały wysłane do Kurii Diecezjalnej w Pelplinie, a stamtąd do Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego w Warszawie. Ludzie, opamiętajcie się!".

Jest ryzyko, że frekwencja może mu jeszcze spaść.

FOT. YOUTUBE

eprasa.pl cad94f54b8

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Z jakich wielkich inwestycji powinniśmy zrezygnować w kryzysie?

WALDEMAR WITKOWSKI,
przewodniczący Unii Pracy

W pierwszej kolejności na pewno z pałacu Saskiego. Nie jest nam też potrzebny Centralny Port Komunikacyjny – kosztowna inwestycja, której opłacalność będzie niższa, niż się spodziewano. Tym bardziej że linie lotnicze najprawdopodobniej stracą swoje nieuzasadnione przywileje, takie jak zwolnienie z 85% opłat za emisję dwutlenku węgla oraz z płacenia ceł i akcyzy od paliw. Gdy loty będą dużo droższe, zapotrzebowanie na nie znacząco zmaleje. Jest jeszcze jeden powód, dla którego nie powinniśmy rozwijać transportu lotniczego. Jeżeli chcemy chronić planetę, musimy tak organizować gospodarkę i życie społeczne, by konsumpcja i wypoczynek odbywały się przede wszystkim z wykorzystaniem krajowych zasobów, bez konieczności lotów do Azji czy Ameryki Południowej.

DR KATARZYNA GOLIK,
ekspertka Fundacji Kaleckiego ds. finansów publicznych

Najbardziej oczywistym przykładem jest Centralny Port Komunikacyjny, którego założenia już w momencie ich prezentacji przez KPRM nie odpowiadały realiom rynkowym. Współpracowałam przy analizie autorstwa Marka Serafina, która wyraźnie pokazała, że ten projekt będzie nieefektywny ekonomicznie. Realizacja CPK w planowanej postaci będzie wręcz szkodliwa, czego przykładem jest planowany przebieg obsługującej go sieci kolejowej, m.in. przez obszary chronione czy centra miasteczek. Również odbudowa pałacu Saskiego jest zbędna, bo w żaden sposób nie pomoże nam wyjść z kryzysu. Nie powinniśmy natomiast rezygnować z budowy elektrowni atomowych, ponieważ musimy zmieniać nasz miks energetyczny, który aktualnie nie tworzy dobrych perspektyw rozwojowych. Mam jednak poważne wątpliwości, czy obecne władze są w stanie realizować tak poważne inwestycje prorozwojowe.

PAULINA MATYSIAK,
posłanka Razem

Uważam, że nawet w dobie kryzysu nie należy rezygnować z wielkich inwestycji, ale tylko z takich, dzięki którym nasze społeczeństwo ma szansę na rozwój, nowe miejsca pracy i usprawnienie usług publicznych. Powinniśmy za to bez skrupułów dać sobie spokój z megalomańskimi projektami, które pochłaniają mnóstwo pieniędzy, a ich jedynym celem jest uroczyste przecięcie wstęgi przez władzę i lansowanie się. Czymś takim jest np. odbudowa pałacu Saskiego – jednego budynku za kilka miliardów złotych, który w kryzysowych czasach nikomu nie jest pilnie potrzebny. Za tę kwotę moglibyśmy wybudować co najmniej kilkadziesiąt kilometrów nowych torów kolejowych! Można mieć wątpliwości, czy musimy mieć nowe, wielkie lotnisko, ale przy okazji CPK powstaje kolej dużych prędkości, z której na co dzień będą korzystać pasażerowie, dlatego nie warto skreślać tego projektu w całości.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl cad94f54b8

Na czym polega wielkość Jaruzelskiego

Jeżeli Putin zdecydował się na uderzenie na Ukrainę, to absurdalne jest twierdzenie, że Breżniew nie zdecydowałby się na interwencję w Polsce

Rozmawia Robert Walenciak

Dla tych wszystkich, którzy chcą wiedzieć więcej o stanie wojennym, dokonał pan rzeczy odkrywczych. W sejmowej Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej, którą pan kierował, godzinami przesłuchiwano generałów, nie tylko Jaruzelskiego ale i kadrę Sztabu Generalnego, stenogramy ich zeznań są kapitalnym źródłem wiedzy. Przywiózł pan też z Pragi kopie dokumentów operacji „Karkonosze", czyli planów wkroczenia wojsk Układu Warszawskiego do Polski w latach 1981-1982. A i tak komisja podzieliła się według barw politycznych.

– W komisji istniały dwa fronty, które się przecinały. Pierwszy konstytuowało pytanie, czy rzeczywiście Polska znajdowała się w stanie zagrożenia interwencją. Ten front z jednej strony tworzyli posłowie Unii Wolności, wspierani przez dwóch posłów prawego skrzydła Unii Pracy, a z drugiej strony byli posłowie Sojuszu Lewicy Demokratycznej i Polskiego Stronnictwa Ludowego. Drugi front przebiegał inaczej. To był front między przedstawicielem Konfederacji Polski Niepodległej a całą resztą. Mianowicie poseł Andrzej Ostoja-Owsiany głosił tezę, że tak, interwencja nam bardzo zagrażała, tylko należało na nią dać odpowiedź co się zowie.

Wejdą? Nie wejdą?

Jaruzelski miał iść na wojnę z ZSRR?!

– Ostoja-Owsiany w przemówieniu końcowym, to było na początku lutego 1996 r., mówił, że nie uważa, że trzeba było iść na Moskwę, ale że trzeba było odpowiedzieć właściwie. Ja, chwilę po nim, w moim przemówieniu końcowym, polemizowałem z nim. Nie z Unią Wolności! Polemika z Bogdanem Borusewiczem czy Jackiem Taylorem była o tyle ułatwiona, że my mieliśmy w ręku świetną ekspertyzę Krystyny Kersten. Jej konkluzja była taka, że w świetle wiedzy zarówno ówczesnej, jak i obecnej nie można ani potwierdzić, ani wykluczyć, że Rosjanie zamierzali interweniować. A to z punktu widzenia procesu karnego oznacza, że jeśli sprawca miał podstawy do racjonalnego uważania, że nastąpi atak…

…miał prawo przeciwdziałać.

– Jeżeli ileś dywizji stoi przy granicy, to ma się prawo sądzić, że zgrupowano je po to, by wkroczyły.

Tak jak stały przy granicy z Ukrainą w lutym tego roku, przed samą inwazją.

– Ukraina jest doskonałym dowodem tego, że groźba wkroczenia wojsk radzieckich w 1981 r. do Polski nie była wydumana. Zwłaszcza że z punktu widzenia Moskwy interwencja na Ukrainie była przedsięwzięciem niebywale bardziej ryzykownym niż w Polsce.

Polska była otoczona państwami Układu Warszawskiego, nie graniczyła z Zachodem, była w środku imperium. Poza tym Zachód uznawał ją za część domeny ZSRR.

> Jaruzelski zachował się jak przywódca na miarę wydarzeń. Natomiast po stronie Solidarności przywództwo zawiodło całkowicie.

Jerzy J. Wiatr – profesor socjologii. Był m.in. dziekanem Wydziału Nauk Społecznych UW, wiceprezesem International Political Science Association. W latach 1981-1984 był dyrektorem Instytutu Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu KC PZPR. Brał udział w obradach Okrągłego Stołu po stronie rządowej. Minister edukacji narodowej w latach 1996-1997.

Od 1991 do 1997 r. poseł SLD. W latach 1993-1996 przewodniczący sejmowej Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej, która badała okoliczności wprowadzenia stanu wojennego, pracując nad wnioskiem KPN o pociągnięcie do odpowiedzialności konstytucyjnej i odpowiedzialności karnej przed Trybunałem Stanu osób związanych z wprowadzeniem i realizacją stanu wojennego. W lutym 1996 r. komisja zarekomendowała umorzenie postępowania.

eprasa.pl cad94f54b8

PROF. JERZY J. WIATR

– socjolog i politolog

– Jeżeli Putin zdecydował się uderzyć na Ukrainę, to twierdzenie, że Breżniew w żadnym wypadku nie zdecydowałby się na interwencję w Polsce, jest absurdalne.

Gdy czytałem stenogramy z posiedzeń komisji, rzucił mi się w oczy sposób, w jaki pan te posiedzenia prowadził. Każdy mógł zgłaszać wnioski, pytać, o co chce. Miał pełną swobodę działania.

– Mam certyfikat w tej sprawie. Tina Rosenberg, bardzo znana dziennikarka amerykańska, w latach 90. wydała książkę „Kraje, w których straszy". Pisze w niej o dekomunizacji i lustracji w byłej NRD, w Czechach i w Polsce. Przedstawiła m.in. działania naszej komisji. I napisała: „Jerzy J. Wiatr prowadzi prace tej komisji z uderzającą bezstronnością". Oto mój certyfikat! Oczywiście to nie znaczy, że do pewnego stopnia nie wykorzystywałem pozycji przewodniczącego. W którymś momencie Bogdan Borusewicz, przeciwnik rzeczywiście wysokiej klasy, zaczął grać na przeciąganie prac komisji. Nawiasem mówiąc, miał w tym sojuszników w osobach przesłuchiwanych generałów, którzy mieli skłonność do gadulstwa. Tak jakby im też zależało na przeciąganiu. A to oznaczało, że sprawa może przejść do następnego Sejmu, trzeciej kadencji.

W którym większość, jak później się okazało, zdobyła koalicja AWS-UW.

– Wtedy nie było tego wiadomo. Tak czy inaczej, zależało mi, żeby sprawę zamknąć. I to mi się udało. Choć Borusewicz ciągle mnożył wątpliwości, przeciągał, chciał, żebyśmy powołali ekspertów do oceny sytuacji gospodarczej. Gdybyśmy przyjęli jego wniosek, to eksperci mieliby pół roku na przygotowanie ekspertyzy.

I komisja by nie zdążyła.

– Jeśli chodzi o postawę trójki reprezentującej Unię Wolności: Borusewicza, Taylora i Jerzego Wierchowicza, to oni w sumie zachowywali się nieprzyzwoicie. Bardzo trudno mi uwierzyć, że oni naprawdę uważali, że Polsce nie groziła radziecka interwencja. Moim zdaniem argumentowali w złej woli, chcieli dopaść Jaruzelskiego.

Kiedy zapadła decyzja?

Przypominali, że przygotowania do stanu wojennego trwały wiele miesięcy. Że to nie był impuls.

– Zastanawiałem się wielokrotnie, kiedy naprawdę Jaruzelski uznał, że wprowadzenie stanu wojennego jest niezbędne. Bo, jak wiadomo, czekał do ostatniej chwili. A jest pewien ślad, że jeszcze pod koniec listopada liczył na inne rozwiązanie.

Jakie rozwiązanie?

– Ten ślad jest ściśle związany ze mną. Otóż od kwietnia 1981 r. wisiała w powietrzu sprawa objęcia

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl cad94f54b8

przeze mnie dyrektorstwa Instytutu Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu. To znaczy od momentu, kiedy złożył rezygnację Andrzej Werblan. Wtedy Kazimierz Barcikowski i Roman Ney, który był sekretarzem ds. nauki, zaproponowali mnie na dyrektora instytutu. Natomiast Stefan Olszowski i Tadeusz Grabski zaproponowali Tadeusza Jaroszewskiego. Sprawa oparła się o I sekretarza KC PZPR Stanisława Kanię, który podjął decyzję charakterystyczną dla siebie. Żaden z nas nie został powołany, a czasowo powierzono obowiązki wicedyrektorowi instytutu. Gdy Jaruzelski objął stanowisko I sekretarza, zaprosił mnie na rozmowę, która odbywała się od godz. 23 do 1 w nocy.

Przywódca polityczny, który funduje sobie pomnik za cenę kilkuset tysięcy ofiar, vide gen. Bór-Komorowski, jest szkodnikiem narodowym.

I zaproponował panu dyrektorowanie…

– Dlaczego? Ja przecież zapisałem się bardzo jednoznacznie do tych czołowych, jak wtedy nazywano, liberałów. Byłem z tego powodu atakowany, także w „Nowych Wremiach".

Czym pan się naraził twardogłowym i Moskwie?

– Uporczywym powtarzaniem tezy, że jest potrzebne porozumienie, w warunkach którego partia podzieli się władzą. Nie mówiłem, że odda władzę, ale że zrezygnuje z monopolu. I o to mieli do mnie pretensje. Mogę więc założyć, że gdyby w czasie tej rozmowy Jaruzelski był zdecydowany wprowadzić stan wojenny, to popełniłby niewybaczalny błąd, powołując mnie na stanowisko dyrektora IPPM-L. Bo ja w warunkach stanu wojennego na to stanowisko się nie nadawałem. Co zresztą skończyło się moim odwołaniem. Jeżeli natomiast przyjąć, że on ciągle uważał, że może dojść do porozumienia, to ta decyzja była sensowna. W hierarchii partyjnej to było dość wysokie stanowisko. Formalnie w randze kierownika wydziału, ale de facto znacznie ważniejsze. Wprowadzenie mnie do grona kierowniczego wzmacniało zatem skrzydło nastawione na porozumienie. Z tego wnioskuję, że on wtedy jeszcze – to było w listopadzie 1981 r. – liczył na porozumienie.

Dynamika wydarzeń zmierzała w innym kierunku.

– Wiadomo, że Jaruzelski czekał na posiedzenie Komisji Krajowej NSZZ Solidarność.

To grudniowe.

– I decyzja o stanie wojennym zapadła, kiedy było już wiadomo, że komisja odrzuciła propozycję porozumienia. Wiele razy się zastanawiałem, czy nie byliśmy – ja i inni, którzy uważali, że jest ono potrzebne i możliwe – naiwni. Otóż myślę, że nie. Sądzę, że gdyby doszło do porozumienia, to biorąc pod uwagę nastroje społeczne, a one się zmieniały, przywódcy Solidarności, którzy powiedzieliby: „Tak, zawieramy porozumienie, nie kapitulację, tylko porozumienie", znaleźliby wystarczające poparcie. Na tyle duże, że radykałowie stanowiliby margines.

Czy porozumienie było możliwe?

A Moskwa?

– Moskwa byłaby niezadowolona i nawet by to niezadowolenie okazywała, ale do interwencji by nie doszło. Wyobraźmy sobie: w przypadku porozumienia PZPR-Solidarność Rosjanie atakowaliby władzę, która miałaby niesamowite oparcie. I w aparacie, i w wojsku, i w Solidarności. Ostatecznie więc takie porozumienie zostałoby potraktowane jako mniejsze zło, choć nie byłby to scenariusz w Moskwie mile widziany. I wtedy przywódcy radzieccy, acz zgrzytając zębami, nie zdecydowaliby się na interwencję.

Tamten poziom napięcia i nieufności… I niesterowalności! Nikt nie był na taki plan gotowy. A Solidarność przede wszystkim.

– Myślę, że bardzo istotnym elementem jest to, że po stronie Solidarności zawiodło przywództwo. Bo w takich ostrych sytuacjach rola lidera jest kolosalna. Jaruzelski zachował się jak przywódca na miarę wydarzeń. Natomiast po stronie Solidarności przywództwo zawiodło całkowicie. Bo oni zdawali sobie sprawę z tego, jak wielkie jest niebezpieczeństwo.

I nic z tym nie zrobili.

– Pod koniec okresu Solidarności masy związkowe były coraz bardziej przerażone tym, co się dzieje. I zderadykalizowane. Radykalizował się aktyw. Raz – że taka jest logika walki. Dwa – osiągnięte wcześniej sukcesy zawróciły mu w głowie. Moim zdaniem podstawowa wina przywództwa Solidarności polegała na tym, że oni nie mieli odwagi pójść przeciwko temu aktywowi. Mówię to w liczbie mnogiej – bo to nie jest kwestia wyłącznie Wałęsy, to jest kwestia ich wszystkich. Tam byli ludzie rozumni, zdający sobie sprawę z powagi sytuacji. Tylko brakowało im tej odwagi powiedzenia: stop.

To jest do pewnego stopnia podobne do sytuacji w Komendzie Głównej Armii Krajowej w przededniu powstania warszawskiego. Okulicki prze do powstania, a pozostali nie mają odwagi mu się przeciwstawić. Okulicki mówi do Komorowskiego: „Czy pan chce, panie generale, przejść do historii jak Skrzynecki?". Szantażuje go, że ten okaże się niedostatecznie bohaterski. Za to się płaci wysoką cenę.

Ani Okulicki, ani Komorowski nie zapłacili.

– Jak się mówi naprawdę o odpowiedzialności za stan wojenny, to odpowiedzialność kierownictwa Solidarności powinna być mocno wyeksponowana. Moim zdaniem zabrakło nie wiedzy, tylko charakteru. Wszyscy powinni byli wielkim głosem wołać na alarm. Domagać się rozmów z Jaruzelskim.

Czy to by się udało?

– Diabli wiedzą. Ale przynajmniej przeszliby do historii jako ci, którzy próbowali. Tak jak w końcu ci w PZPR, do których ja należałem,

eprasa.pl cad94f54b8

przeszli do historii jako ci, którzy, choć bezskutecznie, domagali się porozumienia. Po tamtej stronie tego brakowało. Potem oczywiście to się zmieniło. Bo jak doszliśmy do Okrągłego Stołu, to wtedy właśnie kierownictwo Solidarności, z Wałęsą na czele, wykazało rozum, opanowało swoich radykałów, ale to jest późniejsza historia.

Jaruzelski: naród czy honor?

Dlaczego Jaruzelski, pytany o stan wojenny, ciągle mówił: gospodarka, gospodarka, jakby to była dla generała rzecz najważniejsza?

– Wielokrotnie o tym z nim rozmawiałem. On uważał, że odwoływanie się do argumentu zagrożenia radzieckiego jest jakoś niegodne. Nie dlatego, że nie wiedział, jak poważne jest to niebezpieczeństwo i jakie grożą konsekwencje, tylko sądził, że podsycanie nastrojów antyradzieckich jest szkodliwe. Trochę było w tym też takiej staropolskiej wrażliwości na swoiście rozumiany honor. Myślę, że jak Ostoja-Owsiany mówił, że trzeba było przeciwstawić się Moskwie, to rezonowało w duszy Jaruzelskiego. A przecież na tym polega jego wielkość, że nie poszedł śladami Kościuszki czy Traugutta… On był świadom, jakie zagrożenie wówczas istniało. Ale bardzo niechętnie mówił o tym publicznie. Wolał brać to na siebie. Że to była jego własna decyzja.

Jeśli się mówi o odpowiedzialności za stan wojenny, to odpowiedzialność kierownictwa Solidarności powinna być mocno wyeksponowana. Zabrakło tam nie wiedzy, tylko charakteru.

Oczywiście widać to także w pańskiej książce „Gambit Jaruzelskiego", że on nie gra roli tego bohaterskiego Polaka, że się układa. I w końcu wprowadza stan wojenny, uprzedzając Moskwę. Może nie na ich polecenie, ale na przyzwolenie, więc jest to nieheroiczne. Ale na tym polega jego wielkość. Przywódca polityczny, który funduje sobie pomnik za cenę kilkuset tysięcy ofiar, vide gen. Bór-Komorowski, jest szkodnikiem narodowym. Jest wielu bohaterów narodowych, którzy Polsce tylko zaszkodzili.

Bo takie było ich wychowanie, takie były oczekiwania ich otoczenia.

– Jaruzelski zetknął się z tradycją heroiczną. Był jej wychowankiem. I moim zdaniem jego wielkość polega na tym, że był przywódcą, który miał odwagę tej tradycji się przeciwstawić.

Pochodził z rodziny, która zawsze walczyła z Rosjanami – w powstaniach, w wojnie 1920 r. Zgodnie z tą tradycją powinien był rzucić się na Rosjan. Ale gimnazjum księży

Autorzy PRZEGLĄDU w niezwykłej trylogii
Jak klęska we wrześniu 1939 r. wpłynęła na kształt powojennej Polski

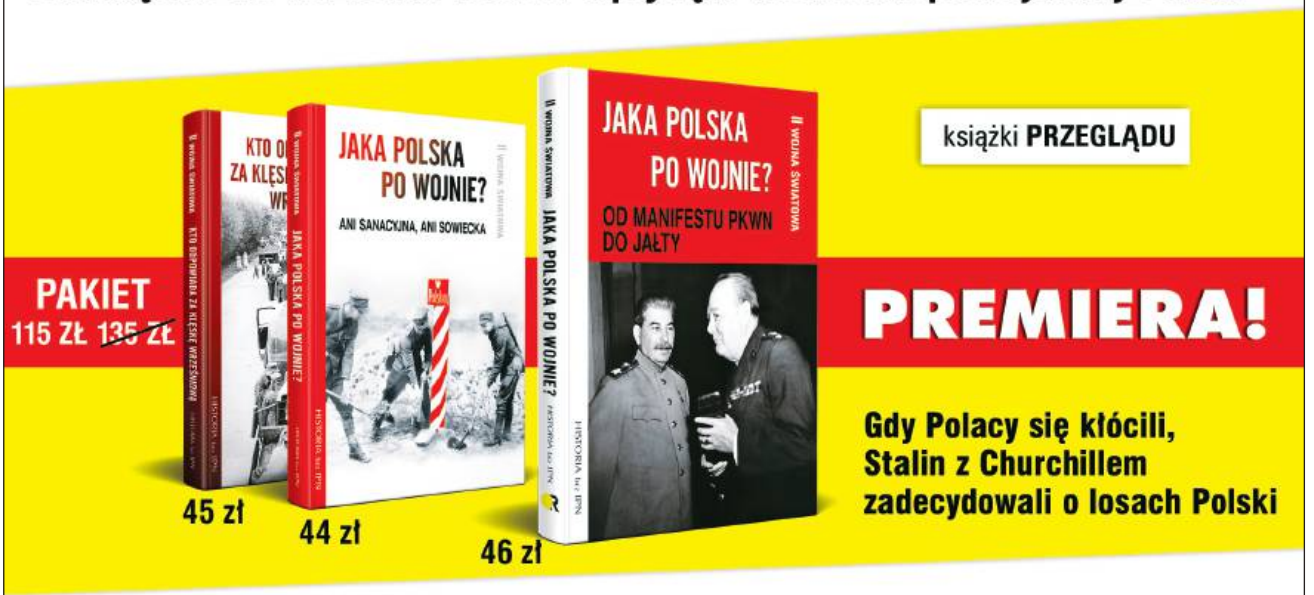

Zamów książki na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa. **Darmowa wysyłka** listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl cad94f54b8

Marianów, w którym był kształcony, było zdominowane przez myśl narodową. I to było słychać. Gdy ze mną rozmawiał, mówił o „substancji narodowej". Użył tego zwrotu. Tylko endecy tak mówią! Nikt inny!

– Miał przyjaciół z tego kręgu. Poseł PAX Zenon Komender był jego szkolnym kolegą. Podobnie jak Tadeusz Gajcy. Jaruzelski rzeczywiście miał ten rodzaj formacji. Ale jego główną edukacją była wojna. Zobaczenie Związku Radzieckiego jako potęgi. Zrozumienie, że Polska nie ma szans na samotną konfrontację.

Trzeba zatem inaczej budować siłę.

– Zesłanie na Syberię rodziło często paradoksalną sytuację psychologiczną. Mianowicie stosunek zwykłych Rosjan do zesłańców był dobry. Tego nie bierze się pod uwagę. Że jak Polak jechał na roboty do Niemiec, to był traktowany podle. Nie przez państwo, tylko przez tego bauera. A gdy Polak został zesłany do Kraju Ałtajskiego, to spotykał się z ciepłym przyjęciem miejscowych Rosjan. Oni, ci zesłańcy, o tym opowiadali. W połączeniu ze świadomością, jak wygląda otoczenie, mogło to kształtować ich postawę. Ale nade wszystko kształtował ją rozum polityczny. Pokolenie II wojny światowej, czynne, nabyło rozumu politycznego. I tym różni się od pokolenia, które obecnie jest u władzy, że czegoś podczas wojny się nauczyło.

Można to wychwycić? Inne myślenie, inne postrzeganie świata przez różne pokolenia?

– Dla mnie np. wielkim zaskoczeniem była pierwsza rozmowa z moim stryjem – generałem, emigrantem politycznym. Gdy wiosną 1957 r. pojechałem po raz pierwszy do Wielkiej Brytanii, stryj mówił mi: „To, co ty i twoi przyjaciele robicie, to jest najlepsze, co teraz można robić dla Polski". Nie można tego w żaden sposób wytłumaczyć, jeżeli nie weźmie się pod uwagę, że mój stryj i jego koledzy to byli ludzie, którzy wyciągnęli wnioski z wojny. Natomiast to pokolenie, które teraz dominuje i zdominowało Solidarność, z różnych powodów tego nie przerobiło. Częściowo to była kwestia generacyjna, bo jednak co innego uczyć się o czymś z książek, a co innego widzieć to na własne oczy. Częściowo to były kwestie generalnego niedouczenia. A częściowo skutek tego, że edukacja w pewnym sensie zaciemniała obraz. Oficjalna edukacja ukrywała fakt, że Polska była w pewien sposób zniewolona. Ale właśnie owo zniewolenie przy rozsądnym rozumowaniu powinno się stawać argumentem na rzecz przyjmowania realistycznego kursu. Natomiast jeśli ten element się eliminuje, zostaje mylne przekonanie, że wszystko od nas zależy. A jak wszystko od nas zależy, to dlaczego nie żądać wszystkiego? A potem są tego skutki.

Działania wojsk czechosłowackich zaplanowano bez udziału Polaków. Było więc jasne, że miała to być interwencja przeciwko wojskom polskim, a nie z nimi.

Widziałem plany interwencji

A jak pan dotarł do akt operacji „Karkonosze"?

– Ponieważ miałem przyjacielskie kontakty z czeskimi kolegami i dość często bywałem w Pradze, przy jakiejś okazji poznałem jednego z posłów chrześcijańskiej demokracji, który przewodniczył komisji badającej naruszanie konstytucji przez reżim Gustáva Husáka. Teoretycznie biorąc, znajdowaliśmy się na antypodach. Ale szybko się okazało, że mamy pewien wspólny interes. Mianowicie jego bardzo interesowało, jak daleko władze czechosłowackie gotowe były złamać konstytucję, która zakazywała użycia sił zbrojnych w celach innych niż obronne. W ten sposób dotarł do dokumentów dotyczących planowania operacji wojskowej w Polsce.

Operacji „Karkonosze".

– Ja wyraziłem wielkie zainteresowanie tym. A on obiecał, że załatwi nam dostęp do dokumentów. Wróciłem do Warszawy, zmontowaliśmy delegację i pojechaliśmy do Pragi. I dostaliśmy te materiały! Co rzucało się w oczy? Po pierwsze, wszystkie działania wojsk czechosłowackich zaplanowano bez udziału Polaków. Było więc jasne, że miała to być interwencja przeciwko wojskom polskim, a nie z nimi. Po drugie, operacja została odwołana dopiero w maju 1982 r. Czyli jeszcze trzymano wszystko przez kilka miesięcy w gotowości, na wypadek gdyby wydarzenia w Polsce przybrały jakiś inny obrót. Samo wprowadzenie stanu wojennego niczego nie przesądzało.

Czy próbowaliście dotrzeć do materiałów w Moskwie?

– Tak. Ale bezskutecznie. Jedyne, co otrzymaliśmy, to list od Gorbaczowa. Niewiele z niego wynikało. Ale my materiałów radzieckich nie potrzebowaliśmy. Bo już dokumenty operacji „Karkonosze" wskazywały, co zamierzali zrobić Rosjanie. Było w nich rozrysowane, kto gdzie wkracza, która dywizja jaki ma cel. Jest rubież… wojska czechosłowackie wchodzą od południa, niemieckie od zachodu, a radzieckie od wschodu. Była tam nawet mapa, a na niej miejsca, gdzie mają się zetknąć… Z tego punktu widzenia mieliśmy dokumentację całkowitą. Tym, czego nie mieliśmy, były dokumenty, które pokazywałyby, jak przebiegał proces decyzyjny. Ale prawdopodobnie takich dokumentów w ogóle

Było rozrysowane, kto gdzie wkracza. Wojska czechosłowackie od południa, niemieckie od zachodu, a radzieckie od wschodu.

eprasa.pl cad94f54b8

nie ma. Na przykład decyzja o interwencji w Afganistanie zapadła, kiedy operacja była w toku, decyzja o interwencji w Czechosłowacji – tak samo. Wobec tego fakt, że w żadnych archiwach nie ma dokumentu mówiącego, że będzie interwencja, o niczym nie świadczy.

Partia Moskwy

Cały czas w powietrzu wisiał wariant wsparcia betonu. Interwencji w interwencji.

– Gdyby odpowiedzią na stan wojenny był strajk generalny, gdyby takie sytuacje jak w kopalni Wujek wystąpiły w setkach zakładów pracy, gdyby wojsko odmawiało wykonywania rozkazów, wtedy nastąpiłaby interwencja.

Nie w imię obrony Jaruzelskiego?

– Nie! Oni by weszli jako tzw. siła stabilizująca. Po drodze pozbyliby się ekipy Jaruzelskiego, wsadziliby na stanowiska swoich. I byłaby normalizacja.

A jak liczna była w roku 1981 partia Moskwy?

– To bardzo trudno powiedzieć. Podział nie był całkowicie jasny. Miałem np. dobre kontakty ze Stefanem Olszowskim, więc w 1981 r. pytałem go, dlaczego stoi na takich pozycjach. A on mi odpowiadał: bo ktoś tu musi być twardy. Bo Jaruzelski jest tak miękki, że tą miękkością doprowadzi do interwencji. Oczywiście to mogło być mówione pod kątem tego, co ja bym przyjął. Ale wcale nie wykluczam, że to była szczera odpowiedź.

Jednak beton chyba rozumował inaczej.

– Ze skrzydła betonowego najlepiej znałem Stanisława Kociołka, bo to był mój pierwszy w życiu magister. Byliśmy w dobrych kontaktach. To był ewidentny fanatyk. Ale czy on chciałby radzieckiej interwencji? Nie sądzę. Choć myślę, że byli też zdecydowani zwolennicy interwencji, niektórzy prawdopodobnie powiązani ze służbami. Wiadomo, że Michał Atłas, kierownik wydziału administracyjnego KC PZPR, pracował dla Stasi. Ale myślę, że znaczna część tego obozu to byli ludzie, którzy uważali, że interwencja radziecka jest mniejszym złem. Mniejszym niż kontrrewolucja, niż oddanie władzy.

Podczas przesłuchań w komisji generałowie mówili m.in., że były wyprowadzone w teren wojska rakietowe. To była dla was sensacja?

– Dla mnie – nie. Natomiast myślę, że dla części naszych posłów, tych mniej zorientowanych, i tych z opozycji, to mogło być sensacją. Bo wyprowadzenie wojsk po to, żeby nie zostały zamknięte w koszarach, było ewidentnym dowodem, że polska armia nie działała jako forpoczta interwencji radzieckiej, tylko na własną rękę. Dlatego nie mogę rozgryźć, jak to właściwie było. W końcu Borusewicz jest bardzo mądrym człowiekiem. I czy on rzeczywiście mimo tych wszystkich dowodów uważał, że interwencja nie groziła? Czy może działał w imię interesu politycznego, jakim było potępienie autorów stanu wojennego?

Nie mógł zaprzeczyć swojemu życiorysowi. On i posłowie Unii Wolności.

– Wciąż twierdzę, że zabrakło po tamtej stronie kogoś kalibru Jaruzelskiego, który by powiedział, że trzeba się porozumieć.

W tamtym czasie to było niemożliwe.

– Jaruzelski też uważał, że to było niemożliwe. A ja nie jestem przekonany.

Operacja „Karkonosze" została odwołana dopiero w maju 1982 r.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Kto szuka prawdy, znajdzie ją u Walenciaka

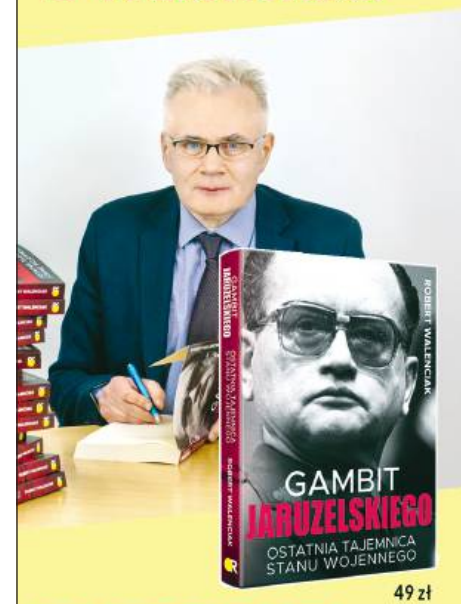

49 zł

DODATKOWY PREZENT!
Książka z autografem i dedykacją autora

wysyłka GRATIS

Prośby o dedykacje można kierować pod nr: 22 635 84 10 wew. 111 lub na: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Zamawiając przez sklep internetowy, wpisz treść dedykacji w uwagach

E-BOOK
29,90 zł

Zamów książkę na **sklep.tygodnikprzeglad.pl**
lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7. **Darmowa wysyłka**
listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl cad94f54b8

Kto podnosi rękę na Jana Pawła II?

Dobrego imienia papieża bronią polscy hierarchowie, którzy sami mają problem z wiarygodnością

Jarosław Makowski

1.

Uwielbiany za życia, czczony po śmierci. Tak wyglądały relacje Polaków z Janem Pawłem II. Żywiliśmy głębokie przekonanie, że papież Wojtyła mówi nie tylko do nas, ale także w naszym imieniu. On zaś naszą miłość odwzajemniał. Żył i pracował w Watykanie, zajmował się całym Kościołem, ale polskie sprawy wciąż znajdowały priorytet na jego biurku. I w jego sercu. Dlatego, jak pisano, był niekoronowanym królem Polski. A dla polskiego Kościoła był pierwszym i ostatecznym autorytetem: „Papież Wojtyła powiedział, sprawa skończona".

To głos papieża i jego słynne słowa: „od Unii Lubelskiej do Unii Europejskiej" przyczyniły się do tego, że Polacy opowiedzieli się za Unią.

To przecież głos papieża i słynne słowa: „od Unii Lubelskiej do Unii Europejskiej" przyczyniły się do tego, że Polacy (mimo oporu wielu polskich księży) opowiedzieli się za Unią, z której dziś chce nas wyprowadzić pisowski rząd. To Jan Paweł II czuwał, by w Polsce nie dochodziły do głosu tępy nacjonalizm i ksenofobia, które obecnie z błogosławieństwem władzy podnoszą głowę. Pisał: „Charakterystyczne dla nacjonalizmu jest bowiem to, że uznaje tylko dobro własnego narodu i tylko do niego dąży, nie licząc się z prawami innych. Patriotyzm natomiast, jako miłość ojczyzny, przyznaje wszystkim innym narodom takie samo prawo jak własnemu". I dalej: „Polskość to w gruncie rzeczy wielość i pluralizm, a nie ciasnota i zamknięcie".

Piszę o naszej niewzruszonej miłości do Jana Pawła II w czasie przeszłym. Bo dziś te relacje są chłodniejsze. Nie tylko dlatego, że papież od kilkunastu lat nie żyje. Przede wszystkim pojawia się coraz więcej znaków zapytania, jeśli chodzi o pontyfikat Polaka. Cieniem kładzie się na nim sprawa seksualnego wykorzystywania dzieci przez duchownych. Skandal, który wstrząsnął końcówką życia papieża Wojtyły, gdy ten był już bardzo chory. Dużą część społeczeństwa nurtuje teraz pytanie, ile Jan Paweł II wiedział. Czy skutecznie interweniował, by chronić dzieci? Dlaczego nigdy nie spotkał się z ofiarami przestępstw seksualnych księży?

2.

Postawy Polaków wobec Jana Pawła II nie są jednolite. Mamy trzy zasadnicze grupy. Pierwsza to radykalni krytycy, którzy najchętniej przewracaliby pomniki Jana Pawła II, tak jak w Gdańsku przewrócono pomnik ks. prałata Henryka Jankowskiego. Nie ma tu miejsca na niuanse. Próbę pokazania kontekstu, ówczesnej sytuacji Kościoła i społeczeństwa. Tu głosi się wprost, że Jan Paweł II wiedział i krył pedofilów w sutannach. A to nie tylko podważa jego kanonizację, ale wprost wskazuje jego odpowiedzialność – Kościół tymczasem próbuje zdjąć ją z barków swojego świętego. I chroni go za wszelką cenę.

Druga grupa to ludzie, w dużej części także katolicy, w których rodzi się wiele wątpliwości i pytań. Oni wciąż traktują Jana Pawła II jak swojego duchowego ojca. Zawdzięczają mu formację duchową i intelektualną, ale zaczynają stawiać pytania o drugie jego oblicze – do tej pory nieznane. To ludzie, którzy czują z jednej strony podziw wobec papieża Wojtyły, z drugiej mają do siebie żal, że wcześniej nie zadawali krytycznych pytań, wszak część z nich to przyjaciele Wojtyły. Dziś już jest za późno, dlatego zostaje zawód przeplatany z miłością. Ale i żal do Kościoła – szczególnie biskupów, którzy coraz częściej swoje grzechy i błędy starają się zasłaniać papieską sutanną.

Grupa trzecia to bezkrytyczni obrońcy Jana Pawła II. Nie wierzą, ba, nie dopuszczają do siebie myśli, że papież Wojtyła mógł wiedzieć i zarazem, w imię dobra kościelnej instytucji, przymykać oko na pedofilię w Kościele. Nie jest tajemnicą, że papież Polak był wychowany w paradygmacie: „Kościół jest jak matka, a matki się nie krytykuje. Matki się broni". To ludzie, którzy uważają, że atak na Jana Pawła II jest tak naprawdę atakiem na Kościół. Dlatego należy bronić jak niepodległości zarówno papieża, jak i Kościoła. Do tej kategorii niewątpliwie zaliczają się polscy duchowni, na czele z naszymi hierarchami, którzy ostatnio napisali nawet list, czytany w kościołach, biorący w obronę św. Jana Pawła II.

eprasa.pl cad94f54b8

Kard. Stanisław Dziwisz, który mógłby odpowiedzieć na pytanie, co Jan Paweł II wiedział o skandalach pedofilskich w Kościele, unika dziennikarzy.

3.

Pytanie w zasadzie brzmiało nie „czy", ale „kiedy". A więc kiedy polscy biskupi, w tym konkretnym przypadku Rada Stała Episkopatu, opublikują oświadczenie wyrażające protest i oburzenie wobec rzekomych ataków na Jana Pawła II. Jak nasi biskupi nie otwierali ust, by nie przywoływać nauczania papieża, gdy ten żył, tak teraz postanowili, że będą bronić jego dobrego imienia, choć – czytając ich oświadczenie – jest to w dużym stopniu obrona ich samych. Nasi hierarchowie wykorzystują sytuację, by zasłonić się papieżem Wojtyłą. Chcą w ten sposób doprowadzić do sytuacji, w której Polacy mają żywić przekonanie, że ręka podniesiona na Jana Pawła II to ręka podniesiona na polskich biskupów.

Dodatkowo hierarchowie zajmują tu pozycję, którą kochają, którą już po wielekroć praktykowali i, by tak rzec, przećwiczyli do perfekcji. To postawa obronna, bo Kościół, w tym przypadku Jan Paweł II, jest ponoć brutalnie atakowany. I znów: Kościół w tej wygodnej dla biskupów sytuacji jawi się jako twierdza oblężona przez siły zła. Ci dzielni i sprawiedliwi mężowie będą teraz jej bronić. Biskupi wytaczają więc największe działa i piszą, że „medialny atak" na św. Jana Pawła II i jego pontyfikat ma przyczynę w nastawieniu do nauczania papieża, gdyż nie odpowiada ono „współczesnym ideologiom propagującym hedonizm, relatywizm i nihilizm moralny".

Paradoks sytuacji polega na tym, że gdy spojrzy się na skalę i rozmiar wykorzystywania dzieci przez księży, to hedonizm, relatywizm i nihilizm moralny wydają się trendami, które praktykowali nie tylko drapieżnicy seksualni w sutannach, ale także instytucje kościelne, kryjące sprawców i tuszujące przestępstwa. Innymi słowy, to Kościół, który pozwolił na wykorzystywanie seksualne dzieci, stał się tym miejscem, w którym rozkwita hedonizm, relatywizm i nihilizm moralny. W tym sensie rację ma niemiecki biskup Heiner Wilmer z Hildesheim, który mówi, że należy „przyjąć do wiadomości, że w Kościele jako wspólnocie istnieją »struktury zła«". „Nadużywanie władzy tkwi w DNA Kościoła – dodaje. – Nie możemy już dłużej ignorować tego problemu". Źródła kościelnych problemów nie znajdują się zatem na zewnątrz Kościoła, ale tkwią głęboko w jego wewnętrznych strukturach.

Jeszcze większym absurdem jest stwierdzenie naszych biskupów, że dociekając odpowiedzialności Jana Pawła II za skandale pedofilskie, trzeba zwrócić uwagę na kontekst historyczno-socjologiczny okresu pontyfikatu. To czas zmagań z następstwami rewolucji kulturowej 1968 r., odrzucającej obiektywne kryteria moralności i osobowej odpowiedzialności: „Powszechnie głoszono, zwłaszcza w środowiskach uniwersyteckich Zachodu, że wszystko ma tę samą wartość i że, w konsekwencji, nie istnieje odtąd żadna różnica między dobrem i złem, prawdą i fałszem, pięknem i brzydotą. Obecnie pojawiają się nowe ideologie, które są spuścizną

Pytania o to, ile Jan Paweł II wiedział o seksualnym wykorzystywaniu dzieci przez duchownych, będą się pojawiać – czy to naszym biskupom się podoba, czy nie.

eprasa.pl cad94f54b8

rewolucji 1968 r. Podważają one chrześcijańską antropologię, której podstawową prawdą jest stworzenie człowieka przez Boga, jako kobietę i mężczyznę, na Jego obraz i podobieństwo".

I znów: sygnały, że w Kościele dochodzi do wykorzystywania dzieci, co dziś jest oczywiste i dobrze udokumentowane, dochodziły do Watykanu długo przed rokiem 1968. Ponadto Kościół, jeśli już, powinien być „znakiem sprzeciwu" wobec rewolucji kulturowych, a nie im ulegać, co sugerują nasi biskupi. Kłopot polega na tym, że dobro instytucji Kościół przedkładał i nadal przedkłada nad dobro ofiar nadużyć seksualnych. A tego w żaden sposób nie da się usprawiedliwić. I żadne zaklęcia naszych hierarchów nie przesłonią tej ich postawy, której nie da się bronić, jeśli chce się zachować odrobinę przyzwoitości.

4.

Trzeba jednak przyznać, że coś pękło, coś się skończyło. To prawda, ja sam bardzo długo żywiłem przekonanie, karmiony frazesami, że w ojczyźnie Jana Pawła II, papieża walczącego z tzw. cywilizacją śmierci, księża nie mogliby gwałcić dzieci. To nie mieściło się w głowie „szeregowego katolika". Pedofilia w Kościele to przecież problem zachodnich wspólnot, gdzie – jak tłumaczyli polscy duchowni i katoliccy publicyści – panują relatywizm moralny i zepsucie. Takie przekonanie za pontyfikatu papieża Polaka było na porządku dziennym.

Głosili je wszyscy współpracownicy papieża. Przykładem jest choćby kard. Darío Castrillón Hoyos, prefekt watykańskiej Kongregacji ds. Duchowieństwa, który podczas prezentacji wielkoczwartkowego listu Jana Pawła II do kapłanów mówił: „W warunkach panseksualizmu i libertynizmu seksualnego, stworzonych przez świat dzisiejszy, niektórzy księża, będąc ludźmi tejże kultury, dopuścili się bardzo ciężkiego grzechu nadużycia seksualnego". Takie postawienie sprawy nam, polskim katolikom, spijającym każde słowo z ust „naszego papieża", dawało poczucie moralnej wyższości. Z niesmakiem przyjmowaliśmy więc doniesienia, że od Ameryki, poprzez Irlandię, a na Francji kończąc, dziennikarze ujawniają kolejne skandale pedofilskie z księżmi w rolach głównych. Nie tylko szeregowymi, ale i biskupami.

Do 2001 r. żyłem w przekonaniu, że skandale pedofilskie nie mogą dotyczyć polskich księży i biskupów. Potem przeżyłem szok.

Żyłem w tym przekonaniu do roku 2001. To wtedy, będąc dziennikarzem „Tygodnika Powszechnego", pod koniec roku pojechałem na kilka miesięcy do Stanów Zjednoczonych. Prywatnie. Przyjechałem, jak za chwilę miało się okazać, w momencie kluczowym dla Kościoła. Nie tylko amerykańskiego. Oto w styczniu 2002 r. amerykański dziennik „Boston Globe" opublikował słynny tekst, jak Kościół przez wiele lat pozwalał na molestowanie dzieci przez księdza. To był pierwszy z wielu artykułów pokazujących skalę przestępstw duchownych i opisujących milczenie kościelnych władz. Tak rozpoczął się dla całego Kościoła proces, w którym i papieże, i biskupi, i wierni musieli się zmierzyć z gorzką prawdą, która – dzięki mediom i wbrew kościelnym władzom – wyszła na światło dzienne.

Dla mnie, katolika z Polski, to był szok. Nie dawałem wiary, że amerykańscy księża katoliccy mogli gwałcić dzieci. W uszach pobrzmiewały mi słowa Ewangelii: „Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili" (Mt 25,40). Nie miałem jednak pojęcia, że był to zaledwie początek koszmaru, z którego Kościół do dziś nie może się obudzić. Wszystko zaczęło się od udowodnienia winy, a następnie skazania przez amerykański sąd na 10 lat więzienia ks. Johna Geoghana. Jego ofiarą padło ponad 130 nieletnich. Ten proces uruchomił lawinę: ofiary zaczęły mówić, posypały się kolejne pozwy. Pękła zmowa milczenia. Ale, co najgorsze, proceder seksualnego wykorzystywania dzieci przez księży nie dotyczył tylko diecezji bostońskiej. Nie dotyczył tylko Ameryki. Dotyczył, jak się okazało, całego Kościoła. Także Kościoła w Polsce.

Paradoks więc polega na tym, że dobrego imienia Jana Pawła II bronią polscy hierarchowie, którzy sami mają problem z wiarygodnością. Przypomnę jedynie sprawę abp. Juliusza Paetza, który wykorzystywał seksualnie kleryków. Hierarchy bronił jego ówczesny poddany, a dziś metropolita krakowski, abp Marek Jędraszewski. Paetz został ostatecznie pozbawiony zarządzania diecezją poznańską, choć Jan Paweł II – to jeden z jego błędów – nigdy publicznie nie powiedział wiernym nad Wisłą, dlaczego zmusza swojego podwładnego do rezygnacji z funkcji.

Wizerunek papieża Polaka konfrontuje się z jego zaniedbaniami, o których coraz więcej wiemy i które są coraz lepiej udokumentowane.

Idźmy dalej: członkiem Rady Stałej Episkopatu Polski jest abp Andrzej Dzięga. Zadziwiające, że hierarcha nie ma żadnych dylematów i broni dobrego imienia Jana Pawła II w sytuacji, gdy przeciw niemu toczy się w Watykanie postępowanie kanoniczne za lekceważenie oskarżeń o molestowanie nieletnich przez ks. Andrzeja Dymera. Jeśli jednak zdamy sobie sprawę, że o tuszowanie pedofilii oskarżanych jest 34 polskich biskupów, zrozumiemy, że ich dzisiejsza nieudolna obrona Jana Pawła II jest de facto obroną samych siebie. Przyjęta przez polskich biskupów strategia jest oczywiście korzystna dla nich samych, ale niekorzystna dla papieża Polaka, którego ponoć chcą bronić.

FOT. EAST NEWS (2)

eprasa.pl cad94f54b8

Marcial Maciel Degollado, założyciel konserwatywnego ruchu Legioniści Chrystusa, na salonach watykańskich czuł się jak ryba w wodzie.

5.

Czy to oznacza, że Jan Paweł II jest wikłany w nie swoje zaniedbania i grzechy? Tak – i to przez swoich duchowych synów, jak lubią o sobie mówić nasi biskupi. „My wszyscy z niego", powtarzają. Nie zmienia to faktu, że wizerunek papieża Polaka konfrontuje się z zaniedbaniami, o których coraz więcej wiemy i które są coraz lepiej udokumentowane. Przywołam tylko jeden przykład, który wciąż bulwersuje świat. Sytuację, która nie tylko woła o pomstę do nieba, ale również jak w soczewce pokazuje dysfunkcyjność administracji kościelnej, która nie potrafiła radzić sobie z drapieżnikami seksualnymi w sutannach. Myślę tu o postaci ks. Marciala Maciela Degollada, założyciela konserwatywnego ruchu Legioniści Chrystusa, który na salonach watykańskich czuł się jak ryba w wodzie. Także dlatego, że w sensie deklaratywnym reprezentował to, co było bliskie papieżowi Wojtyle – konserwatyzm obyczajowy, wierność doktrynie i stawianie Kościoła zawsze na pierwszym miejscu. Dodatkowo w Rzymie, z racji hojności finansowej wobec kurialnych purpuratów, z kard. Stanisławem Dziwiszem na czele, mógł liczyć na parasol ochronny.

Sęk w tym, że w realnym życiu Degollado był pedofilem i bigamistą, gwałcił nawet własne dzieci. Co ważne, otrzymał zakaz publicznych wystąpień i publicznego sprawowania liturgii dopiero w 2006 r., na dwa lata przed śmiercią, w wyniku postępowania wszczętego przez kard. Josepha Ratzingera. Wcześniej pozostawał bezkarny, pomimo że do Watykanu doniesienia o jego przestępstwach seksualnych i narkomanii docierały od lat 40. XX w. Nie ulega zatem wątpliwości, że w Rzymie najbliżsi współpracownicy papieża Polaka wiedzieli, jak złym i zepsutym człowiekiem jest Degollado.

Jest więc oczywiste, że pojawiały się pytania, czy o sprawie wiedział Jan Paweł II. I te pytania będą się pojawiać – czy to naszym biskupom się podoba, czy nie. Ponadto w szukaniu odpowiedzi nie pomaga sam Kościół, gdyż chroni dokumenty przed dziennikarzami i badaczami. Bohaterowie, którzy mogliby opowiedzieć swoją wersję wydarzeń, tacy jak kard. Dziwisz, unikają dziennikarzy niczym diabeł święconej wody, co pokazał cykl reportaży „Bielmo" Marcina Gutowskiego.

Czy zatem Jan Paweł II wiedział o sprawie drapieżnika seksualnego ks. Degollada i setki mu podobnych? Dziś trudno powiedzieć z całkowitą pewnością. Ale nawet jeśli był zwodzony i niedoinformowany przez swoich współpracowników, to w żaden sposób nie zwalnia go z tego, że – jako głowa Kościoła rzymskokatolickiego – wiedzieć powinien. I reagować. Stwierdzenie, że Wojtyła nie miał ręki do ludzi, nie wystarczy. Przeciwnie, prawda, nawet gorzka, jest lepsza niż ta nieudolna próba obrony dobrego imienia Jana Pawła II, której podjęli się polscy biskupi.

O tuszowanie pedofilii oskarżanych jest 34 polskich biskupów. Ich dzisiejsza nieudolna obrona Jana Pawła II jest de facto obroną samych siebie.

Jarosław Makowski

eprasa.pl cad94f54b8

Polowanie na węgiel

Gdy prezes PiS w kwietniu ogłosił, że węgiel będzie po tysiąc złotych za tonę, cała sprzedaż padła. Wszyscy czekali na ten węgiel i się nie doczekali

Helena Leman

Już w połowie października, pół miesiąca przed podpisaniem przez prezydenta ustawy w tej sprawie, dwa chojnickie samorządy – miasto i gmina, zdecydowały, że będą wspólnie uczestniczyć w dystrybucji tańszego rządowego węgla po 2 tys. zł. W komunikacie podanym do publicznej wiadomości wymieniono osiem firm opałowych, które w porozumieniu z samorządami podejmą się tego zadania.

Gdy 10 listopada sprawdzam sytuację, okazuje się, że o rządowym węglu w Chojnicach nikt jeszcze nie słyszał. – Sprawy są dopiero załatwiane, przygotowywane są umowy, to jeszcze potrwa, w całym kraju tak jest – tłumaczy pracownica jednego ze składów opału, przy ulicy Towarowej. Naszej rozmowie przysłuchuje się klientka, która uśmiecha się ironicznie: – Trzeba było kupić wcześniej. Teraz będzie trudno, a zanim ten rządowy dadzą, zima może się skończyć.

Nabywców niewielu, bo wybierać tak naprawdę nie ma w czym; jest tylko ekogroszek czarny i gold, pierwszy po prawie 3,7 tys., drugi po 3,8 tys. zł za tonę w detalu. Z tańszego opału jest brykiet torfowy po 2 tys. za tonę.

– Pani weźmie na próbę ten brykiet, proszę go dotknąć, jest dosyć twardy, ludzie go biorą, jeden klient nawet tonę ostatnio kupił – zachęca młoda sprzedawczyni.

Byle był polski

W kolejnym składzie przy tej ulicy też dużej oferty nie ma, ale jest taniej. Można kupić wolnorynkowy orzech po 3,2 tys. za tonę i węgiel z kopalni Janina. – Z Janiny po 2,3 tys. za tonę jest ten najgrubszy i średni oraz najdrobniejszy, dobry do westfalek po 2,2 tys. Ten gruby najlepiej na noc zasypać, bo trochę kopci i jeszcze syn sąsiada krzyku narobi, czym pani pali. Dawniej węgiel z Janiny był trochę pogardzany, bo w porównaniu z węglem np. z kopalni Ziemowit ma niższą kaloryczność, ale w tym roku schodzi jak świeże bułeczki, jak to mówią: na bezrybiu i rak ryba – opowiada szef składu.

Gdy pytam go, skąd ma węgiel w tak przystępnej cenie, niewiele droższy od zapowiadanego rządowego, wyjaśnia z przekąsem: – Bo nie chcę, żeby uznano mnie za spekulanta i złodzieja, a tak ostatnio o nas się mówi. A serio pojechaliśmy do kopalni, odstaliśmy swoje i przywieźliśmy, ale już nam się kończą zapasy. Wie pani, w każdej profesji zdarzają się ludzie nieuczciwi. Sam słyszałem, że ktoś nakupował ekogroszku po 860 zł za tonę, a teraz sprzedał z wielokrotnym przebiciem, ale to są wyjątki, większość takich firm jak moja ledwo wiąże koniec z końcem.

Podjeżdża klient samochodem z przyczepką, za nim zjawia się starszy mężczyzna. Chce kupić węgla za 500 zł, tłumaczy, że ma małą piwnicę. Podoba mu się ten z Janiny, w grubych kawałkach. Kilka razy pyta o cenę, bo nie dowierza. Gdy przychodzi do płacenia, okazuje się, że nie wziął deklaracji Centralnej Ewidencji Emisyjności Budynków, którą trzeba było złożyć do końca czerwca.

– A bez tego papieru pan mi nie sprzeda? – pyta zdziwiony.

– Na węgiel pochodzący z polskiej produkcji musi być deklaracja – powtarza twardo szef składu. – Takie przepisy, nic na to nie poradzę, bez deklaracji może pan nabyć tylko orzech wolnorynkowy po 3,2 tys., mieszankę: 30% Australia, 30% Indonezja, 30% Kolumbia.

– Nie! Chcę ten polski! Pojadę do domu i przywiozę deklarację – postanawia klient. Gdy wraca, znów ma wątpliwości, pyta, czy kupno na deklarację nie zamknie mu przypadkiem drogi do ubiegania się o węgiel rządowy.

– Nie, to całkiem odrębna sprawa, tamten będzie sprzedawać gmina, musi pan do nich złożyć wniosek, od dzisiaj można je składać. Pierwszy, na półtorej tony, trzeba złożyć do końca grudnia. Drugi, też na tyle, od stycznia 2023 r. – tłumaczy cierpliwie sprzedawca, a starszy pan trochę zagubiony kiwa tylko głową. Potem skrupulatnie przelicza gotówkę i dobiera jeszcze wiaderko, ostatecznie kupuje 260 kg. Lecz jego radość z tej transakcji jest ogromna. – Taki tani i gruby węgiel, jakie piękne kęsy – mruczy pod nosem cały szczęśliwy, jakby trafił szóstkę w lotto.

Od wielu miesięcy ludzie polują na tani węgiel w sklepie internetowym Polskiej Grupy Górniczej.

Szef składu tylko macha ręką zrezygnowany: – Sześć kartek papieru wydrukowałem, żeby sprzedać taką ilość, w tym jest zaświadczenie, że ten pan zużyje węgiel na potrzeby gospodarstwa domowego, a nie np. do ogrzania szklarni.

Mężczyzna sprzedał dziś 3 tony i te 260 kg węgla. W październiku po odliczeniu kosztów własnych zarobił na czysto niewiele ponad 800 zł, na szczęście na składzie dorabia do emerytury, więc jakoś ciągnie, są miesiące lepsze i gorsze. Dzisiaj to

eprasa.pl cad94f54b8

Jeden ze składów przy ulicy Drzymały w Chojnicach.

raczej klientów już nie będzie, a jutro zaczyna się długi weekend.

Opał dla szczęściarzy

Od wielu miesięcy trwa też polowanie na tani węgiel w sklepie internetowym Polskiej Grupy Górniczej. Na stronach PGG jest wiele wskazówek, jak to zrobić, ba, nawet można znaleźć filmik instruktażowy. Aby jednak kupić węgiel tą drogą, trzeba mieć wiele szczęścia.

Zaleca się np. odświeżanie strony, a internauci odpowiadają: „Podczas zakupu strona jest wielokrotnie odświeżana i wtedy tracimy połączenie. Ta sprzedaż internetowa to jedna wielka kpina". Ktoś inny narzeka: „Dramat, dodasz do koszyka, przechodzisz do płatności i wywala. Od dwóch tygodni mam dwie tony groszku w koszyku i nie mogę kupić". „Przed chwilą wbiłem się na stronę, brak węgla. Gdzie on? U Niemców? Kilka dni klikania w F5 i tyle z tego. Non stop strona zawieszona. Nie wiem, kto i w jaki sposób kupuje ten węgiel", denerwuje się kolejna osoba.

Padają także pytania, po co podaje się dni i godziny tzw. sesji, czyli wystawiania towaru na stronie, skoro wiadomo, że wszyscy chętni naraz będą próbować i strona się zawiesi. Ktoś chce wiedzieć, czy może kupić węgiel za gotówkę z pominięciem sklepu internetowego, ktoś inny wolałby zamówienie mejlem, bo przynajmniej by czas zaoszczędził.

„W naszym państwie trzeba skończyć studia, żeby kupić tonę węgla, i do tego trzeba złożyć imienne podanie do rządu i kopalni z odpowiednimi załącznikami. W dodatku w całym procederze jest pełna dyskryminacja osób starszych, biednych i niepełnosprawnych lub inaczej wykluczonych cyfrowo", podsumowuje internauta.

Trudno nie przyznać mu racji. Starsi ludzie, którzy dotąd zaopatrywali się w węgiel w swoim ulubionym składzie w miasteczku, teraz zaskoczeni drożyzną albo kupują po trochu, na ile ich stać, albo zdają się na pomoc pośredników oferujących zakup taniego węgla z e-sklepu. Chociaż ci za transakcję biorą 500-600 zł, i tak się opłaca, bo w e-sklepie węgiel potrafi być nawet trzykrotnie tańszy. Lecz pośrednikowi trzeba podać dane osobowe, np. PESEL, i nigdy nie ma pewności, czy nie zostaną wykorzystane do innego celu.

Fałszywe sklepy oferujące dobrą cenę i dostępność towaru kuszą, a gdy przeleje się im pieniądze – znikają.

Oszukani na węglu

Na facebookowej grupie „Oszukani przez e-sklepy" trafiam na post Kasi Żyłki z 14 listopada br.: „Witam. Znalazłam stronę, gdzie można od ręki kupić węgiel: pgg.wegiel.info, czy ktoś się orientuje, czy to prawdziwa strona PGG?".

Następnego dnia pojawia się komunikat PGG o fałszywych sklepach. Spółka przestrzega, że strony pgg-wegiel.info oraz pgg-wegiel.pl „są fałszywe i nie mają nic wspólnego z naszym internetowym sklepem". PGG przypomina też, że sesje odbywają się w tygodniu po godz. 16: „W poniedziałki, środy i piątki wystawiamy miały, a we wtorki i czwartki węgiel", dodając, że „Kwalifikowany Dostawca Węgla PGG nie używa wiadomości sms, połączeń telefonicznych czy e-maili do potwierdzenia danych osobowych swoich klientów. A właściwy adres sklepu PGG SA to https:// sklep.pgg.pl".

Naciągniętych przez fałszywe sklepy jest niestety wielu, w samym wrześniu niemal co drugi dzień pojawiały się w mediach komunikaty o tym procederze. 13 września oszukany został 51-letni mieszkaniec gminy Lesko – zamówił w sklepie internetowym węgiel, za który zapłacił 7,4 tys. zł przelewem, towaru nie otrzymał. Strona internetowa przestała być aktywna, podobnie jak telefon, pod którym potwierdzał zamówienie. 14 września ponad 4 tys. zł stracił 34-latek z Bojanowa w Wielkopolsce, 16 września oszukany został mieszkaniec gminy Czempin, 21 września dwóch mieszkańców powiatu świdnickiego, 23 września mieszkaniec gminy Gardeja w Pomorskiem. Nie lepiej jest w październiku, fałszywe sklepy oferujące dobrą cenę i dostępność towaru kuszą, a gdy przeleje się im pieniądze – znikają. Kolejne wyrastają jak grzyby po deszczu. Są też inne metody nabijania w butelkę, np. w powiecie oleśnickim oszuści podszywający się pod nieczynny skład opału w Poniatowicach wyłudzili pieniądze od ludzi z całej Polski, a śląscy policjanci ujęli czterech oszustów, którzy dokonywali zakupów w sklepie internetowym PGG, posługując się danymi osobowymi byłych klientów składu opału.

FOT. HELENA LEMAN

eprasa.pl cad94f54b8

Zaczynają się kradzieże. W połowie listopada policja zatrzymała 25-latka z Warszawy, który podczas rodzinnej wizyty ukradł swojej babci 20 worków węgla. Na Lubelszczyźnie w październiku złodzieje wynieśli węgiel z posesji zmarłej kobiety. Wracają także kradzieże z wagonów kolejowych na tzw. usyp, gdy złodzieje otwierają wagony – takie zdarzenie miało miejsce na trasie między Pruszczem Gdańskim a Gdańskiem w ubiegłym miesiącu. Szef chojnickiego składu przy Towarowej mówi, że ma włączone kamery, a mimo to stara się zaglądać do składu nawet w późnych godzinach.

Czekając na rządowy

Gdy w poniedziałek 21 listopada ponownie zaglądam do chojnickich składów, tym razem przy Drzymały i Subisława, wokół zima, mróz, ślisko i dużo śniegu. Pod wiatą jednej z firm żywego ducha nie widać, choć właśnie workowany węgiel z Kazachstanu prezentuje się całkiem dobrze, oprócz tego jest kostka torfowa.

– Ludzie nie kupują, bo w czwartek odbieramy węgiel rządowy z portu w Gdańsku – tłumaczy właściciel składu. – Węgiel będzie z importu. Na tonie mamy 500 zł za przywóz i przechowanie, od tej kwoty trzeba odliczyć VAT, transport. Wielkie pieniądze to nie będą, ale zawsze coś. Zwłaszcza że cały rok jedziemy na stratach, chciałem się już zamykać, ale szkoda mi było – 20 lat w tym biznesie siedzę. Ten rząd przedsiębiorców ma za nic. Gdy prezes PiS w kwietniu ogłosił, że węgiel będzie po 1 tys. zł za tonę, cała sprzedaż padła. Nikt nie przychodził, wszyscy czekali na ten węgiel i się nie doczekali. Teraz czekają na ten po 2 tys., zobaczymy. A nam wiatr w oczy, dwa składy w Chojnicach się zamknęły, cztery w Człuchowie. W kraju jest ok. 3 tys. firm takich jak moja, powinniśmy złożyć pozew.

Firma mojego rozmówcy nabywa towar przez pośredników, mężczyzna podkreśla, że węgiel jest, ale z dalekich krajów, z polskim krucho. Gdy pytam, dlaczego tak się dzieje, odpowiada: – Nie oszukujmy się, w poprzednich latach 70% węgla na rynku to był węgiel rosyjski, podobny do naszego, dobry i tani, po 40-50 dol. za tonę, w detalu po 700 zł. Pośpieszyliśmy się z tym embargiem na jego import w kwietniu. Sankcje UE na dobre weszły w sierpniu. Niemcy najpierw się obkupili, a dopiero potem go zablokowali. Unijne zapowiedzi związane z ekologią spowodowały, że nasze kopalnie przestały inwestować. Mimo to brak naszego węgla zastanawia. Kto wie, może go sprzedano na Zachód za lepsze pieniądze, a nam przywiozą ten z Indonezji czy Kolumbii? Ktoś tym węglem gra? Te wszystkie papiery, dodatki węglowe, jakby chcieli ludziom wbić do głowy, że to oni dają. Myśli pani, że wypłacanie 3 tys. zł dodatku od 19 września zwiększyło ruch w składach? Znamy tu takich, co już go przehulali, powinna być kontrola, na co jest wydawany.

> Te wszystkie papiery, dodatki węglowe, jakby chcieli ludziom wbić do głowy, że to oni dają.

Mój rozmówca uważa, że te środki powinny trafić do małych firm, np. do piekarni, które się zamykają ze względu na wysokie koszty energii elektrycznej. A w ogóle czemu prąd jest tak drogi, skoro ceny węgla brunatnego nie rosną? O oszustwach na węglu słyszał, nawet zna takich, których wykiwano na „czeski". Gdy porobili przedpłaty, firma znikła z sieci.

Podczas naszej rozmowy do składu zagląda tylko dwóch klientów, jeden, aby zapytać, kiedy się pojawi węgiel rządowy i czy będzie z dostawą do domu. Drugi chce kupić dwa worki węgla, gdy słyszy cenę, zmienia zdanie i kupuje jeden. Ale ostatnio w firmach opałowych mówi się, że ceny węgla spadają. Na placu przy ulicy Subisława leży kostka za 3,5 tys. za tonę, wcześniej kosztowała 4,3 tys. Tu też przygotowano miejsce na węgiel rządowy.

Jak donosiła Wirtualna Polska, 2 października na spotkaniu z wyborcami w Szczecinie Jarosław Kaczyński zapewniał: – Będą dopłaty, będzie mechanizm obniżenia ceny węgla. Celem jest 1999 zł za tonę, plus 1 tys. zł dopłaty, czyli węgiel po 1 tys. zł.

Według polityka ceną tego paliwa spekulują składy.

Samorządy przywalone węglem

Wiceburmistrz Chojnic Adam Kopczyński podaje, że do 22 listopada złożono 421 wniosków na zakup preferencyjny paliwa stałego, czyli węgla. Mogą go kupić osoby, które otrzymały dodatek węglowy lub pozytywnie rozpatrzono ich wniosek o taki dodatek. Węgla po cenach preferencyjnych nie mogą kupić osoby mieszkające na działkach.

– Na podstawie złożonych wniosków Gmina Miejska Chojnice zgłosiła zapotrzebowanie do PGE na 550 ton węgla – informuje wiceburmistrz. – Nie mamy jeszcze podpisanej umowy ani wiedzy, skąd będzie węgiel i jakiej jakości. Gmina Wiejska Chojnice, nasz obwarzanek, odebrała pierwszą partię węgla 21 listopada z portu w Gdańsku, to węgiel kolumbijski. Minister finansów rozporządzeniem z 2 listopada 2022 r. zwalnia gminy z obowiązku ewidencji sprzedaży węgla przy zastosowaniu kas rejestrujących, ponieważ dostawa ta udokumentowana jest fakturą. Chojnickie samorządy realizują sprzedaż oddzielnie, a jedynym wspólnym mianownikiem jest wykorzystanie tych samych ośmiu składów węgla do obsługi zadania.

Wiceburmistrz przyznaje, że dodatkowe zadania związane z dystrybucją węgla, realizowane przez Urząd Miejski w Chojnicach i miejski ośrodek pomocy społecznej, zdominowały w ostatnich miesiącach codzienną pracę, a ich obsługa generuje znaczne koszty.

W środę 23 listopada, przed oddaniem tekstu, dzwonię do składu przy Towarowej, jego szef mówi, że węgiel rządowy już jest, to orzech i ekogroszek z Kolumbii. – Mam go dopiero od dwóch dni, więc trudno ocenić jego jakość, ale zainteresowanie nim jest duże – dodaje.

Helena Leman

eprasa.pl cad94f54b8

Z Galicji

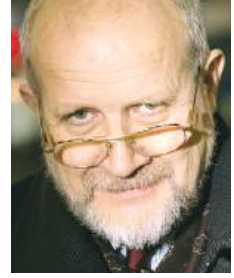

Jan Widacki

A może by tak przywrócić tortury?

Przez całe stulecia wierzono święcie, że strach przed surową karą powstrzymuje ludzi przed popełnianiem przestępstw. Od czasów Hammurabiego (1792-1750 p.n.e.) znana też była zasada „oko za oko, ząb za ząb". Tłumaczono ją mniej więcej tak, że przestępstwo czyni szkodę w idealnym ładzie moralnym. Tę szkodę naprawia się karą. Musi więc ona być odpowiednio surowa, proporcjonalnie do wyrządzonej szkody. W tym tradycyjnym ujęciu kara miała cel metafizyczny – naprawienie ładu zaburzonego przestępstwem, powinna także odstraszać, powstrzymać potencjalnych przestępców. Miała jeszcze cel trzeci. Ponieważ przestępstwo było zarazem grzechem, kara wymierzona tu, na ziemi, była zadatkiem na poczet mąk piekielnych. Im delikwenta bardziej pomęczono na ziemi, tym mniej już będzie cierpiał po śmierci. A że troska o zbawienie duszy była wielka, to wymierzane na ziemi tortury były coraz wymyślniejsze, coraz bardziej okrutne. Wszystko z myślą o ulżeniu duszy skazańca. Aby ulżyć późniejszym mękom piekielnym, łamano kołem, obdzierano żywcem ze skóry, ćwiartowano, palono żywcem na stosie, nabijano na pal…

Kary były coraz okrutniejsze, a przestępczość, w miarę jak rozrastały się miasta, jak zwiększała się rozpiętość bogactwa, a coraz większemu bogactwu nielicznych towarzyszyła nędza coraz liczniejszych – rosła i rosła. Co światlejsi nabrali wątpliwości, czy istotnie już nie tylko surowość kar, ale ich wręcz okrucieństwo powstrzymuje przed popełnianiem przestępstw. W pewnym okresie tych światlejszych było tylu, że ich epokę nazwano oświeceniem.

Pewien Francuz, niejaki Monteskiusz, nie dosyć, że na złość PiS wymyślił trójpodział władz, to jeszcze zawczasu skrytykował Ziobrę. Jakby specjalnie chcąc sprowokować naszego ministra, głosił: „Surowość kar lepiej odpowiada despotyzmowi, którego zasadą jest groza, niż monarchii i republice". Albo – powiedziałbym nawet, że bezczelnie – twierdził, iż „łatwo byłoby udowodnić, że we wszystkich państwach Europy kary zmniejszały się lub powiększały, w miarę jak zbliżano się albo oddalano od wolności". To nie widzi, że Polska rządzona przez PiS, zaostrzając kary, właśnie zbliża się do prawdziwej wolności i demokracji? Wyraźnie miesza się w polskie sprawy! Tylko czekać, aż w swojej bezczelności posunie się jeszcze dalej i np. zadzwoni do prezydenta Dudy! Panie prezydencie, niech pan z nim nie rozmawia. To nie on, to znów ruscy komicy za kogoś się podają. Monteskiusz zmarł w 1755 r. i polskie służby właśnie ustaliły, że w dalszym ciągu nie żyje.

Albo taki Włoch, Cesare Beccaria. Kolejny wróg PiS i ministra Ziobry osobiście. Twierdził, że prawo karne ma być humanitarne. W dodatku prowokacyjnie głosił, że „lepiej przestępstwom zapobiegać, niż za nie karać". A przecież wiadomo, że karze się dużo łatwiej, niż zapobiega. Albo tak sobie rzucił kiedyś, jakby się nie widział z Patrykiem Jakim, jakby nie znał głębokich myśli ministrów Kowalskiego, Kalety, a nawet samego Ziobry, że „nieuchronność kary jest ważniejsza od jej surowości". To nie wie makaroniarz jeden, że u nas tak wiele dla tej nieuchronności się robi, że nie tylko winnych, ale też niewinnych ochoczo się ściga? (Gdyby dzwonił do pana prezydenta, to też nie łączcie! To znów ruscy komicy).

A tak na poważnie – pewien zmarły niedawno emerytowany profesor, swego czasu mentor ministra Ziobry, chronicznie przez lata nienawidził profesorów Kazimierza Buchały i Andrzeja Zolla, a to ich uważał za twórców Kodeksu karnego z 1997 r. Niezupełnie słusznie, bo w pisanie projektu kodeksu zaangażowani byli, w różnym stopniu, praktycznie wszyscy ówcześni polscy profesorowie prawa karnego. W sumie może ten kodeks uchwalony w 1997 r. nie był idealny, ale na pewno był najlepszy, na jaki polskich prawników karnistów było stać. Tenże zmarły niedawno profesor swego czasu wypowiedział się na łamach „Rzeczpospolitej" na temat Kodeksu karnego. Kierując się ewidentnie osobistymi pobudkami, chcąc dokuczyć profesorom Zollowi i Buchale, powiedział, że kodeks będący ich dziełem jest fatalny, zbyt liberalny, łaskawy dla przestępców, niewyrozumiały dla ofiar. Ta ewidentna bzdura poszła w świat. Powtarzali ją publicyści, podchwycili politycy, PiS wzięło na sztandary w wyborach w 2005 r. Zaostrzanie Kodeksu karnego było jednym z haseł programowych PiS. Taka udawana troska o bezpieczeństwo obywateli, bezwzględne ściganie i karanie przestępców (co z tego, że przy okazji ukarze się trochę niewinnych) nawet podoba się gawiedzi. To klasyczny przykład dobrze przez socjologów i kryminologów zbadanego fenomenu – populizmu penalnego. Zaostrzanie kodeksu, niczym poza populizmem nieuzasadnione, jest swoistym barometrem pokazującym, jak nasze państwo oddala się od wolności.

Zaostrzanie Kodeksu karnego jest swoistym barometrem pokazującym, jak nasze państwo oddala się od wolności.

A prawda jest taka: to, czy prawo karne i jego realizacja (polityka kryminalna) są surowe, czy łagodne, to nie kwestia czyjejś oceny. To się da wyliczyć! Współczynnik przestępstw (ich liczba na 100 tys. mieszkańców) jest w Polsce znacznie poniżej europejskiej średniej, ale współczynnik prizonizacji (liczba siedzących w kryminałach na 100 tys. mieszkańców) najwyższy w UE.

Wynika z tego, że będąc jednym z bezpieczniejszych krajów, mamy równocześnie jeden z najsurowszych kodeksów karnych i jedną z najsurowszych polityk kryminalnych w Europie. Coraz bliżej nam także pod tym względem do Białorusi, Rosji czy postradzieckich republik Azji Środkowej niż do Zachodu. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cad94f54b8

Fabryki czy montownie?

Chcemy mieć potężne wojska pancerne i artylerię. I większość tego sprzętu wyprodukować w Polsce. Nie bardzo tylko wiadomo jak

Marcin Ogdowski

Imponująca fabryka czołgów w Charkowie przez dekady zapewniała armii radzieckiej stałe dostawy. W ostatnim roku istnienia ZSRR jej linie montażowe opuściło 800 maszyn. Po 1991 r. miasto i zakład stały się częścią Ukrainy, która aż do 2014 r. intensywnie się demobilizowała. Wojsko klepało biedę, zainteresowanie wyrobami fabryki przejawiała głównie odległa zagranica. Skala produkcji zmniejszyła się 20-krotnie, a przyfabryczny plac, na którym niszczały setki pojazdów z rodziny T, nabrał wymiaru symbolu rozpoznawalnego w świecie. Rdzewiejące, zdekompletowane (także na skutek masowych kradzieży) czołgi świetnie ilustrowały nie tylko stan ukraińskiej armii i zbrojeniówki, ale i ogólny rozkład poradzieckiej strefy kulturowej.

Gorąca granica

Gdy osiem lat temu wybuchła wojna z Rosją, charkowska fabryka dostała drugie życie. Nowych maszyn nie produkowano – skupiono się na przywracaniu do służby i modernizacji zapasów. Rezerwuar był ogromny – szacuje się, że Ukraina odziedziczyła po ZSRR ponad 5 tys. czołgów. Po latach składowania pod chmurką wiele nie nadawało się już do niczego, lecz i tak stworzono siły pancerne, które wiosną 2022 r. zadały Rosjanom bolesne straty.

Ucierpiała też Ukraina – Charków znalazł się na osi natarcia, miasto wielokrotnie bombardowano. I choć Rosjanie na Charkowszczyźnie ponieśli porażkę, niekorzystne położenie – 20-30 km od granicy z Federacją Rosyjską – czyni Charków miejscem niebezpiecznym. Funkcjonowanie tam istotnego dla wojennego wysiłku zakładu jest zbyt ryzykowne. W efekcie poturbowana w ostrzałach fabryka funkcjonuje dziś w rozproszeniu. Istotną część działalności przeniesiono w bezpieczniejsze rejony zachodniej Ukrainy, charkowskich fachowców delegowano również za granicę, do zakładów zbrojeniowych w Polsce, Czechach czy na Słowacji, pracujących na rzecz ukraińskiej armii.

Wspominam o tym nie bez powodu. Imponujące plany rozwojowe Wojska Polskiego – oparte na broni i technologii kupionych u Koreańczyków – wiążą się z przetasowaniami w zbrojeniówce. Miano „pancernej stolicy" ma przypaść Poznaniowi, dotąd nieszczególnie znanemu z tego rodzaju produkcji. To tam powstaną czołgi K2/K2PL, których polska armia nabędzie 1000 (pierwsze 180 dotrze do nas z Korei). Niemal 500 dział samobieżnych K9 wyprodukowanych zostanie w Zakładach Mechanicznych Bumar-Łabędy, nie zaś w Hucie Stalowa Wola w Podkarpackiem. HSW od kilkunastu lat wytwarza kraby – bardzo podobne do K9 systemy artyleryjskie – wydawało się zatem, że jest to oczywista lokalizacja. W Polskiej Grupie Zbrojeniowej słyszymy jednak, że odsunięcie produkcji strategicznego uzbrojenia od „gorącej wschodniej granicy" to konieczność.

Bartłomiej Kucharski z magazynu „Wojsko i Technika" zwraca uwagę na możliwości współczesnej artylerii rakietowej i lotnictwa. – Polska nie jest rozległym krajem – mówi. – Gdziekolwiek coś postawimy, i tak znajdzie się w zasięgu potencjalnego wroga.

Tym wrogiem jest Rosja – wcześniej niewymieniana z nazwy. W tej perspektywie przesuwanie zaplecza produkcyjnego na zachód jest racjonalnym krokiem.

Dziwna sprawa

Racjonalność to słowo klucz, często pojawiające się w kontekście koreańskich zakupów. Rząd PiS działa tu z silnym mandatem społecznym – za sprawą agresywnych poczynań Rosji większość Polaków uważa zbrojenia za konieczność. Obawy rodzi skala i charakter transakcji („na szybkości") oraz wybór wiodącego partnera (w wartości dostaw Koreańczycy zdetronizowali Amerykanów). Na użytek tego tekstu nie będę się zajmował kwestiami ekonomicznymi, szukał odpowiedzi na pytanie, czy to się zepnie. Jeżeli zaś chodzi o jakość sprzętu i kraj pochodzenia, to Kucharski, specjalizujący się w broni pancernej, wskazuje: – Czołg K2 to dobra konstrukcja, generalnie lepsza od rosyjskich wozów. A relatywnie szybkie wzmocnienie potencjału Wojska Polskiego nie będzie jedyną korzyścią. Koreańczycy mają ambitne plany sprzedaży czołgów do innych krajów. Jeśli w Polsce powstanie odpowiednia baza, moglibyśmy się stać hubem produkcyjnym dla innych odbiorców.

Koreańczycy chcą sprzedawać czołgi do innych krajów. Jeśli w Polsce powstanie odpowiednia baza, moglibyśmy się stać hubem produkcyjnym dla innych odbiorców.

eprasa.pl cad94f54b8

zastępowanie elementów konstrukcji pochodzących z Korei odpowiednikami z Polski. W idealnym układzie w pewnym momencie cały czołg czy armata byłyby wytwarzane nad Wisłą. Problem w tym, że „polonizacja" pozostaje hasłem mało konkretnym. Umowy ramowe podpisane z Koreańczykami są dziś tajemnicą strzeżoną pilniej niż atomowe sekrety Układu Warszawskiego. Próbowałem rozmawiać o treści tych dokumentów z kilkoma formalnie wpływowymi oficerami. Nie dostałem nic, co nadawałoby się do druku, co pozwoliłoby choć w przybliżeniu ustalić zakres i harmonogramy „polonizacji" koreańskiego sprzętu. MON tymczasem zbywa dziennikarzy zapowiedzią ujawnienia szczegółów „w stosownym czasie".

Polskie systemy artyleryjskie Krab w Ukrainie sprawdzają się znakomicie. Zdobyte doświadczenie pozwoliłoby rozwijać projekt, ale kraby będą „zwijane".

Czy mamy odpowiednie kompetencje, przede wszystkim kadrowe? – O kadrę inżynierską i wykwalifikowanych pracowników bym się nie martwił – odpowiada mój rozmówca. – Tu potrzeba nie tysięcy ludzi, ale kilkuset fachowców. Gorzej z obsadą menedżerską; nasza zbrojeniówka już od dawna nie ma szczęścia do zarządzających. Ale wolę pozostać optymistą i projekt czołgowy generalnie oceniam pozytywnie. Gorzej z działami samobieżnymi. Ocena Kucharskiego jest zbieżna z opiniami innych ekspertów. Zdaniem wielu zakup K9 to „dziwna sprawa". Trwające 20 lat prace nad samobieżną armatohaubicą Krab zaowocowały konstrukcją, która w boju – w Ukrainie, gdzie wysłaliśmy 48 sztuk – sprawdza się znakomicie. Zdobyte doświadczenie pozwoliłoby rozwijać projekt, tymczasem kraby będą „zwijane". MON zamówiło co prawda kolejne 48 wozów (w sumie już 170 krabów, te ostatnie w miejsce sprzętu wysłanego na wschód), a latem Ukraińcy podpisali kontrakt na fabrycznie nowe, prawdopodobnie 54 armatohaubice (szczegóły pozostają tajemnicą). Przy takim wolumenie HSW ma co robić przez kilka lat, lecz zapowiedzi dotyczące przyszłości pozostają mgliste.

Pilnie strzeżone sekrety

K9 i Krab mają podobne podwozia (koreańskiego Samsunga), a zasadnicza różnica sprowadza się do automatu ładowania – K9 też go nie ma, ale prototyp wersji rozwojowej K9A2 już tak. – To jest atut, jednak musimy pamiętać, że o skuteczności systemów artyleryjskich decydują inne czynniki – komentuje Kucharski. – Amunicja, a kraby w Ukrainie strzelają najbardziej zaawansowanymi (i drogimi) pociskami Excalibur, oraz systemy kierowania ogniem. W przypadku krabów jest to Topaz, rodzime rozwiązanie, jedno z najlepszych na świecie. Zakup niewielkiej partii K9, które szybko zastąpiłyby kraby posłane Ukraińcom, byłby dobrym rozwiązaniem, ale tak wielkie zamówienie jest nam potrzebne jak piąte koło u wozu. Lepiej byłoby rozwijać projekt Krab i na nim oprzeć zwiększenie produkcji.

Wątpliwości jest więcej. Jak zapewnia szef MON Mariusz Błaszczak, K2 i K9 mają być „polonizowane". Za tym słowem kryje się stopniowe

Wedle oficjalnych zapowiedzi pierwsze licencyjne K2 i K9 powinny opuścić polskie zakłady w 2026 r. Tak krótki czas oznacza, że z dużym prawdopodobieństwem będą to składaki – wozy złożone u nas z części wyprodukowanych w Korei. Kiedy z linii produkcyjnej zjedzie pojazd w całości polski? Czy plany przewidują 100-procentową „polonizację"? A jeśli nie, to jaki ma być nasz udział? Czy są jakieś elementy konstrukcji, w przypadku których z zasady odstępujemy od „polonizacji"? Nie potrafimy dziś wyprodukować solidnej armaty czołgowej czy silnika – utrwalamy te niedyspozycje czy z pomocą Koreańczyków próbujemy je przełamać? Co w kontekście „polonizacji" wozów jest dla nas priorytetem, a co nie jest? Pytań można zadać wiele, większość zmierza do ustalenia, czy postawimy w Polsce montownie, czy fabryki. Trwałość powiązań, skala samodzielności (kluczowa w produkcji zbrojeniowej) oraz zaplecze badawczo-rozwojowe jako cechy przedsiębiorstw premiują rzecz jasna fabryki. Czy nasi decydenci zapewnili powstanie zakładów z prawdziwego zdarzenia?

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

FOT. HUTA STALOWA WOLA

eprasa.pl cad94f54b8

Czeski desant na polskie sklepy

W Bogatyni boją się, że Czesi zostawią puste półki, i apelują o „zachowanie kultury zakupów”

Łukasz Grzesiczak

Należę do pokolenia pamiętającego jeszcze przywożone z Czechosłowacji piórniki, przybory do pisania czy buty. Zwłaszcza w latach 80. autokarowe wycieczki Polaków połączone z ogołacaniem sklepowych półek wywoływały poruszenie u naszych sąsiadów, którzy na widok gości z Polski zamykali sklepy. Dziś karta się odwróciła i to Polacy zaczęli psioczyć na czeski desant na markety.

Polacy na Czechów narzekali dotąd przede wszystkim we własnym gronie. Po tym jak rząd Mateusza Morawieckiego zlikwidował VAT na wiele podstawowych produktów spożywczych, sąsiedzi tłumnie ruszyli na zakupy do Polski. Wówczas zerowy VAT miał funkcjonować do 31 lipca 2022 r., ale nadal obowiązuje. Czesi ciągle uprawiają masową turystykę marketową i pewnie nie porzucą jej do końca roku. Dlatego Artur Sienkiewicz, radny powiatu zgorzeleckiego, który mandat zdobył z komitetu Porozumienie Prawicy dla Powiatu, odważył się powiedzieć głośno to, co inni pozwalają sobie najwyżej pomyśleć, i postanowił Czechów nauczyć „kultury zakupów”.

Sienkiewicz przygotował apel, przetłumaczył go na czeski i ruszył na parkingi pod marketami, gdzie zaczepiał Czechów, a za wycieraczki ich samochodów wkładał ulotki. Na nich Czesi mogli przeczytać, że „my mieszkańcy Miasta i Gminy Bogatynia zwracamy się do Was z prośbą o zachowanie Kultury Zakupów”. Wiadomo, że „kultura zakupów” to ważna sprawa, dlatego autor napisał ją wielkimi literami. Dalej zaś wyjaśniał (pisownia oryginalna): „Z ekonomicznego punktu widzenia logicznym wydaje się dokonywanie zakupów tam, gdzie taniej. Jednak należy to robić z poszanowaniem swoich sąsiadów. Nieuzasadnionym wydaje się hurtowe wykupywanie wielu produktów: kartonów jogurtów, śmietany, masła, mięsa… Budzi to wątpliwości czy zakupy te robione są wyłącznie na użytek własny. My mieszkańcy Gminy Bogatynia chcemy by nasze dzieci również miały dostęp do świeżych produktów (warzyw, owoców, etc.). Pomału jednak staje się to niemożliwe-przychodząc do sklepów coraz częściej zastajemy puste półki”.

Przy okazji prawicowy radny odgryzł się Czechom za spór o kopalnię Turów. Jego zdaniem działania czeskiego rządu doprowadziły do zahamowania rozwoju partnerskich relacji. „Emocje naszych mieszkańców jeszcze nie opadły. Teraz od Was zależy odbudowa dobrosąsiedzkich stosunków”, przestrzegł w imieniu mieszkańców gminy Bogatynia. I na koniec zaapelował, by Czesi nie dolewali oliwy do ognia podczas przedświątecznych zakupów.

Fotorelację z akcji ulotkowej udostępnił na swoim oficjalnym koncie na Facebooku, gdzie zapowiedział, że nie ustanie w apelach do Czechów o kulturalne zakupy.

Internauci zdają się popierać akcję radnego Sienkiewicza, choć są sceptyczni, czy przyniesie efekt. „Brawo za chęci i inicjatywę, ale nic to nie zmieni. Moim zdaniem należy wprowadzić limity na towary spożywcze dla obcokrajowców. W przeciwnym razie wszystko będzie się zaogniać, każdy ma swoje granice cierpliwości. Nie będę się tu już rozpisywał o zachowaniu co poniektórych gości”, proponuje mieszkaniec Bogatyni, który – jeżeli wierzyć jego opisowi na FB – pracuje w kopalni Turów. Inny komentujący zwraca uwagę, że obcokrajowcom powinien być naliczany pełny VAT, a „nie ulgowy jak dla swoich”. Sceptyczni wskazują, że wymagałoby to sprawdzania przy kasie paszportów. Entuzjaści tego pomysłu podpowiadają, że wysoki VAT powinien być po prostu naliczany, kiedy klient płaci czeską kartą płatniczą. Radny Sienkiewicz podwyższonego VAT dla Czechów nie popiera, ale wprowadzenie limitów na towary spożywcze dla obcokrajowców – już tak. Niektórzy komentujący są bardziej wojowniczy – proponują przebijanie opon w czeskich autach lub „wzięcie gwoździ do kieszeni”.

Na zachowania czeskich klientów narzekają także mieszkańcy Cieszyna. Na lokalnych grupach dyskusyjnych żalą się na puste półki sklepowe po wizycie Czechów, z którymi muszą walczyć o podstawowe produkty spożywcze. Niektórzy proponują, by pobierać drobną opłatę za wjazd Czechów na zakupy do Polski.

Niektórzy proponują, by pobierać drobną opłatę za wjazd Czechów na zakupy do Polski.

Czechom zakupy w Polsce opłacają się nie tylko ze względu na zerowy VAT na niektóre produkty spożywcze, ale również ze względu na złotówkę, która traci w stosunku do korony czeskiej. Wystarczy porównać średni kurs NBP obu walut w ciągu ostatnich trzech lat. Na początku listopada 2019 r. 100 koron czeskich kosztowało 16,67 zł, teraz za 100 koron czeskich trzeba zapłacić aż 19,34 zł. Dla Polaka wizyta w czeskiej hospodzie, gdzie chciałby zjeść na obiad smażony ser z frytkami i sosem tatarskim, popijając go kuflem piwa (200 koron czeskich), w ciągu ostatnich trzech lat podrożała o 5 zł,

eprasa.pl cad94f54b8

niż w Katowicach okazuje się nawet piwo lokalnego producenta (ponad 18%), a paczka papierosów Marlboro jest droższa o prawie 44%. Według wspomnianego serwisu natomiast cena litra benzyny w Katowicach jest wyższa o ponad 38% niż w Ostrawie.

Te wyliczenia potwierdzają czeskie media. Internetowy serwis informacyjny SeznamZprávy.cz latem porównał ceny 25 produktów spożywczych i drogeryjnych. W Lidlu w czeskiej miejscowości Frýdlant zapłacono za nie 1181 koron czeskich, a w Polsce kosztowały równowartość 838 koron. Zakupy w Polsce przyniosły oszczędność 343 koron czeskich, czyli ponad 66 zł. Serwis przypomina, że opłacałyby się nawet po likwidacji zerowej stawki VAT

Czechom zakupy w Polsce opłacają się ze względu na zerowy VAT na niektóre produkty spożywcze i spadek wartości złotego w stosunku do czeskiej korony.

biorąc pod uwagę samą różnicę kursową. Czeska korona zyskała wobec złotówki 16%.

Czesi czują to w kieszeni. Trudno to ocenić na podstawie danych o cenach najważniejszych produktów spożywczych publikowanych regularnie przez polski Główny Urząd Statystyczny i Český statistický úřad. Według nich ceny produktów spożywczych w zasadzie nie są porównywalne. Kiedy Polacy podają cenę półkilowego chleba pszenno-żytniego, Czesi informują o cenie kilogramowego chleba z kminkiem. Gdy my skupiamy się na cenie kiełbasy wędzonej, Czesi wolą informować o cenach parówek i kiełbasy z papryką. Zestawić można jedynie ceny kilku wyrobów uwzględnianych przez GUS i ČSÚ. I tak w październiku średnia cena kilograma szynki wieprzowej gotowanej w Polsce wynosiła 37,62 zł, a w Czechach równowartość 49,62 zł. Kilogram mrożonych filetów z morszczuka kosztował w Polsce 34,65 zł, kiedy w Czechach trzeba za nie zapłacić aż 50,24 zł. Według danych GUS i ČSÚ są też produkty nieznacznie tańsze u sąsiadów. Cena kilograma mąki pszennej w Polsce wynosiła 4,71 zł, kiedy w Czechach równowartość 3,96 zł. Minimalnie droższe są u nas jajka kurze – jedno jajko w Polsce kosztowało w październiku 0,89 zł, a w Czechach równowartość 0,87 zł.

To, czego nie widać dokładnie w trudnych do porównania polskich i czeskich oficjalnych bazach statystycznych, jest wyraźnie widoczne np. w serwisie Numbeo. To globalna baza danych na temat kosztów i jakości życia, uzupełniana przez użytkowników. Serwis chwali się, że dysponuje ponad 8,3 mln cen w ponad 11 tys. miast, które uzupełniło ponad 700 tys. użytkowników, z czego 82 jest z Katowic, a 78 z Ostrawy. Za pomocą Numbeo można porównać ceny 19 produktów spożywczych w Katowicach i Ostrawie przy granicy z Polską. Z Katowic do trzeciego najludniejszego miasta w Czechach jest mniej niż 100 km.

Wyraźnie tańsze w Ostrawie są jedynie pomidory (28,78%) i jajka (15,01%), poza tym nieznacznie tańsza w Czechach jest cebula (1,33%). Resztę produktów zdecydowanie taniej kupi się w Katowicach. Jabłka w Ostrawie są droższe o ponad 85%, pierś z kurczaka o ponad 60%, ser żółty lokalnego producenta o niemal 48%, a mleko o ponad 17%. W Ostrawie droższe na niektóre produkty spożywcze w Polsce – wtedy nadal zakupy u nas byłyby tańsze o ok. 60 zł. Nic dziwnego, że w czeskim internecie funkcjonuje serwis Polske-letaky.eu, gdzie publikowane są aktualne ulotki polskich sklepów z informacjami o promocjach. Czesi wymieniają się również w mediach społecznościowych podpowiedziami, co, kiedy i gdzie najlepiej kupić w Polsce.

Zakupy w polskich sklepach stały się istotnym tematem politycznym w Czechach. Były premier i aktualny kandydat na urząd prezydenta Andrej Babiš wybrał się na zakupy do Polski, gdzie krytykował urzędującego premiera. Jego zdaniem premier Petr Fiala jest odpowiedzialny za drożyznę w Czechach. Babiš uważa, że rząd w Pradze powinien pójść polską drogą i zlikwidować VAT na podstawowe produkty spożywcze. To spora zmiana w stosunku czeskiego polityka i biznesmena do jedzenia z Polski. W 2013 r. Babiš, który potem został wicepremierem i premierem, w programie telewizyjnym odmówił degustacji polskiej kiełbasy, mówiąc: „Ja nie jem tego waszego gówna".

l.grzesiczak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KRZYSZTOF ĆWIK/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl cad94f54b8

Przebudowa wiaduktów przy ul. Przybyszewskiego w Łodzi.

Łódź wiadukty stawia

Fuszerka rodem z domowego remontu?

Przemysław Staciwa

To miała być sprawna i szybka budowa, bez żadnych niespodzianek. Łódź remontuje wiadukty. Przy ulicy Przybyszewskiego stara konstrukcja czekała na rozbiórkę od lat. Wykonawca po wybudowaniu podpór stwierdził, że oparł się na niezweryfikowanej dokumentacji i cały wiadukt byłby za niski o… No właśnie, tego też do końca nie wiadomo.

Początek kłopotów

Rok temu miasto podpisało umowę na modernizację trzech wiaduktów. Wszystkie powstały w latach 70. Ich stan techniczny od prawie trzech lat uniemożliwia miejskim autobusom przejazdy po nich. Na pierwszy ogień poszedł wiadukt przy ulicy Przybyszewskiego. Stara konstrukcja miała zostać rozebrana, a na jej miejsce wykonawca zobowiązał się wybudować nową przeprawę. Prace rozbiórkowe rozpoczęto od sfrezowania wierzchniej warstwy asfaltu. Wtedy nic nie zwiastowało problemów. „Myślę, że wiosną zobaczycie nas państwo już z podporami na powierzchni”, mówił prezes firmy, która pojęła się budowy, Piotr Jurczyk.

Wiosną tego roku podpory rzeczywiście się pojawiły, ale w maju wykonawcy i zleceniodawca inwestycji, czyli miasto Łódź, zorientowali się, że są one za niskie i pod nowym wiaduktem nie mogłyby przejeżdżać pociągi. Od tego czasu miały się rozpocząć prace nad projektem zamiennym. „Wprowadzamy pewne zmiany do samej konstrukcji, tak by pomost, bo tak to też można nazwać, był na odpowiedniej wysokości”, mówił autor nowego projektu, Piotr Gosławski.

Problem w tym, że nie bardzo wiadomo, o ile wiadukt jest za niski. „Chodzi o ok. 20 cm, o ile pamiętam”, mówił na spotkaniu z dziennikarzami w październiku Przemysław Bodzak prowadzący nadzór autorski nad projektem inwestycji. Gdy dopytywałem o tę sprawę w listopadzie, jedna z urzędniczek nieoficjalnie powiedziała mi, że może chodzić jednak o 30 cm.

Winnych brak

Do niedawna na błotnistym terenie trwały prace, teraz hula tu wiatr, a maszyny stoją. Jak doszło do takiej sytuacji? Podczas konferencji prasowej inwestor, którego reprezentuje Zarząd Inwestycji Miejskich, nadzorca oraz architekt starali się kreślić wizję drobnej pomyłki, za którą nie ponosi winy żaden z podmiotów obecnych na spotkaniu z mediami. Winne miały być (w domyśle) PKP. „W czasie przebudowy sieci

> Nie bardzo wiadomo, o ile wiadukt jest za niski. Raz mowa jest o 20 cm, raz o 30 cm.

FOT. CEZARY PECOLD/FORUM

eprasa.pl cad94f54b8

trakcyjnej PKP okazało się, że występuje rozbieżność pomiędzy mapą do celów projektowych, którą miasto pozyskało z zasobów PKP, a stanem rzeczywistym. I z tego powodu pewne działania muszą zostać podjęte", przekonywał Przemysław Bodzak.

Wykonawcy miejskiej inwestycji bazowali więc na nieaktualnej dokumentacji sprzed niemal 10 lat. W międzyczasie PKP remontowały w tym miejscu linię kolejową. W lokalnych mediach spekulowano, czy przypadkiem państwowy przewoźnik nie podniósł torów kolejowych i dlatego przeprawa okazała się za niska. Tych spekulacji strona miasta nie dementowała, wręcz je potwierdzano: „Nie wiem, jaki oddział PKP to zrobił, ale musieli to torowisko podnieść, bo nie sądzę, by tak po prostu wydali złą mapę", mówiła dyrektorka Zarządu Inwestycji Miejskich, Agnieszka Kowalewska-Wójcik.

Kolejarze jednak stanowczo zaprzeczyli: „PKP Polskie Linie Kolejowe SA nie zmieniły szerokości ani wysokości torów. Wykonawca robót budowlanych przed przystąpieniem do prac powinien zweryfikować i sprawdzić stan zastany na gruncie z tym, który opisany jest w projekcie, i wykonać pomiary geodezyjne. Takie działania umożliwiają weryfikację danych i uniknięcie błędów podczas prac", mówił Karol Jakubowski z PKP PLK SA. Z tym stanowiskiem nie zgadzają się nadzorcy inwestycji. Przemysław Bodzak: „To jest zapisane w zasobach geodezyjnych i każdy, kto pobiera mapę, na tych zasobach polega. Nie ma obowiązku, by inwestor przeprojektowywał obiekt, bo w międzyczasie coś się pozmieniało".

Problem jest tym poważniejszy, że wiadukt będzie połączony z przystankiem kolejowym, który ma powstać za dwa lata. Pytaliśmy, jak to możliwe, że miasto na bieżąco nie wymieniało się informacjami z PKP. „Koordynujemy się, ale wątek torowiska nie był poruszany", odpowiadała Agnieszka Kowalewska-Wójcik.

Jakie opóźnienie

Przetarg na modernizację wiaduktów, w tym wiaduktu przy ulicy Przybyszewskiego, uruchomiono w 2020 r. Wtedy oferenci zasypali zamawiającego setkami pytań dotyczących potencjalnej inwestycji. Jak twierdziła wówczas dyrektorka ZIM, firmy znalazły różne nieścisłości w dokumentacji. Jedno z pytań dotyczyło właśnie aktualności przekazanej dokumentacji, na której miały się oprzeć późniejsze roboty. Odpowiedź miasta brzmiała: „Zamawiający potwierdza, że ww. decyzja jest aktualna, i uprawnia wykonawcę do prowadzenia robót budowlanych zgodnie z przekazaną dokumentacją projektową".

Nie ma chętnych do wzięcia na siebie winy za fuszerkę przy budowie sławnego już wiaduktu. Otwarte pozostaje pytanie, kiedy inwestycja się zakończy. Choć oficjalna dokumentacja mówi o maju przyszłego roku, dziś ta data wydaje się nierealna, aczkolwiek wykonawca przekonuje, że skala poprawek nie jest wielka. „Filary i przyczółki pozostaną na odpowiedniej wysokości, zostanie zmieniona tylko niweleta (wysokość) obiektu i prace ruszą dalej", zapewniał Zdzisław Piętek, przedstawiciel wykonawcy. Nie chciał jednak mówić, kiedy wiadukt będzie gotowy.

Gdy pod koniec listopada dopytywałem się o postęp prac, przedstawiciele Zarządu Inwestycji Miejskich odpowiedzieli, że wciąż przygotowywany jest projekt zamienny. Agnieszka Kowalewska-Wójcik z ZIM: „Informujemy Urząd Marszałkowski o problemach, monitujemy również na poziomie ministerstwa, że prosimy o dodatkowy czas". Chodzi bowiem także o to, by nie przepadło unijne dofinansowanie, które musi być terminowo rozliczone. Inwestycja obejmuje bowiem wybudowanie trzech wiaduktów za kwotę 87 mln zł, a opóźnienie pierwszego może rzutować na następne. Oznacza to, że nawet kolejny termin, czyli koniec przyszłego roku, mógłby nie zostać dotrzymany.

Wykonawcą jest firma, która wcześniej była odpowiedzialna za remont alei Marszałka Śmigłego-Rydza w Łodzi. Ten remont był opóźniony o rok i cztery miesiące. ■

Wykonawcą jest firma, która remontowała aleję Marszałka Śmigłego-Rydza. Prace opóźniły się o rok i cztery miesiące.

eprasa.pl cad94f54b8

Egzotyczne ogrzewanie

Algieria, Izrael, a może Trynidad i Tobago? Skąd Europa bierze energię na najtrudniejszą zimę?

Mateusz Mazzini

Wszystko wskazuje na to, że jednak się uda. Przynajmniej tym razem. Niepewność panuje wciąż w kontekście zimy przyszłorocznej, która zdaniem wielu analityków może się okazać jeszcze trudniejsza do przetrwania niż najbliższe kilka miesięcy. Inwazja Rosji na Ukrainę, a wraz z nią spirala wydarzeń nieuchronnie pchających Stary Kontynent w kierunku kryzysu energetycznego, zaczęła się dziewięć miesięcy temu. Gazowy szantaż ze strony Kremla był tyleż niebezpieczny, co przewidywalny. Wiadomo było, że Władimir Putin ma tę broń w arsenale i sięgnie po nią stosunkowo szybko. Krajom najbardziej uzależnionym od rosyjskiego gazu, a więc Niemcom, Włochom czy Holandii, udało się wypełnić niemal w całości magazyny, choć proces ten bardziej przypominał łatanie ogromnego żagla prowizorycznymi naszywkami niż systemową reformę polityki energetycznej w Europie Zachodniej. Na to przyjdzie jeszcze czas, na razie trzeba było się skupić na własnym przetrwaniu przy zachowaniu wsparcia dla Ukrainy.

Jak to robią inni

Pomimo nawoływań do obywatelskiej oszczędności w imię solidarności z walczącymi Ukraińcami oraz różnych kar administracyjnych za nadużywanie energii w przestrzeni publicznej (władze Paryża karzą mandatem w wysokości 500 euro za ogrzewanie ogródków kawiarnianych palnikami gazowymi) problem zastąpienia rosyjskiego gazu nie zniknął. A jest co zastępować. Według danych Komisji Europejskiej za rok 2021 aż 45% gazu importowanego przez wspólnotowe gospodarki pochodziło z Rosji. Te liczby to już przeszłość, nie tylko ze względu na sankcje, ale też z powodu sabotażu – coraz bardziej prawdopodobne, że rosyjskiego – który uszkodził nitki gazociągu Nord Stream. Infrastruktura rdzewieje, lada moment zniszczenia będą nieodwracalne, gaz tamtędy nie popłynie, jeśli rura nie zostanie gruntownie wyremontowana, a na to w najbliższych latach nie ma szans.

Europa musi więc zapomnieć o Rosji i szukać surowców energetycznych gdzie indziej, czasami bardzo daleko. Pierwsza część planu została zrealizowana ponad normę. Jak wskazują dane firmy doradczej Wood Mackenzie, cytowane przez stację CNN, w tej chwili gaz importowany z Rosji stanowi tylko 6% surowca zużywanego przez kraje UE. Magazyny są wypełnione w 91%, to aż o 11 pkt proc. więcej, niż wynosił cel na koniec listopada wyznaczony przez Komisję Europejską. Teraz czas na drugi fundament nowego energetycznego domu, w którym będą mieszkać Europejczycy. A surowiec do jego budowy w dużej mierze będzie pochodził spoza Europy.

Według danych European Council on Foreign Relations, największego kontynentalnego think tanku zajmującego się sprawami międzynarodowymi, kraje członkowskie Unii od stycznia tego roku zawarły aż 56 kontraktów na import energii z 23 różnymi krajami. Dziewięć zostało podpisanych na szczeblu unijnym, czyli to Wspólnota jest ich stroną i będzie odpowiedzialna za rozdysponowywanie energii. Pozostałe umowy mają już charakter bilateralny i są wypadkową relacji poszczególnych krajów z ich pozaeuropejskimi partnerami, ale też geografii. Oczywiste jest bowiem, że kraje basenu Morza Śródziemnego będą szukać dostawców przede wszystkim po drugiej stronie tego akwenu. Nawet jeśli coraz głośniej się mówi o konieczności osiągnięcia energetycznej suwerenności na szczeblu nie unijnym, ale krajowym.

Taką przyszłość dla swojego państwa widziałaby szefowa włoskiego rządu Giorgia Meloni, której marzeniem jest napędzanie włoskiej gospodarki gazem z Adriatyku. W kampanii wyborczej grzmiała, że Chorwaci już eksploatują te złoża, a Włosi jak zawsze się spóźniają z kluczowymi inwestycjami.

Europa szuka energii w starym stylu i robi to po całym świecie. A na rynku krajowym po cichu przeprasza się z atomem.

Włochy są najaktywniejszym w Europie krajem na rynku międzynarodowych kontraktów energetycznych, bo takich umów od stycznia Rzym podpisał aż 12, z czego 10 na dostawy gazu naturalnego. Trzeba przyznać, że w poszukiwaniu partnerów Włosi zarzucili sieci globalnie, bo na liście kontrahentów widnieje aż dziewięć krajów spoza Europy. Oprócz umów z Wielką Brytanią i Azerbejdżanem (który w tym wypadku zalicza się do państw europejskich) kontrakty zawarto chociażby z Algierią (dwa), Beninem, Libią, Katarem, Demokratyczną Republiką Konga czy Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. Niemal wszyscy partnerzy Włoch to kraje otwarcie autokratyczne. Taką cenę Europa musi płacić, bo nie za bardzo ma wybór. Uciekając z energetycznego uścisku jednego dyktatora, trafiła w zbiorowy kordon kilku innych.

Kierunek Trynidad i Tobago

Nieco lepiej, czyli bardziej demokratycznie, radzą sobie na froncie energetycznym Niemcy, drugi po

eprasa.pl cad94f54b8

18 lipca 2022 r. Francja i Zjednoczone Emiraty Arabskie podpisały porozumienie w sprawie współpracy energetycznej.

Włoszech kraj z największą liczbą kontraktów bilateralnych (osiem). Poza Emiratami i Katarem, czyli bliskowschodnimi satrapiami, nad których charakterem Zachód już przeszedł do porządku dziennego, wśród kontrahentów Niemiec są Stany Zjednoczone, Singapur i Japonia. W dodatku niemal w całości są to umowy zawierane ze spółkami prywatnymi, co minimalnie, ale zawsze zwiększa polityczną pewność i stabilność dostaw.

Niemal odwrotnie wygląda natomiast strategia handlowa Węgier, które jak na relatywnie mały kraj zawarły sporo, bo aż cztery kontrakty. Dwa z Serbią, jeden z Azerbejdżanem i jeden z… Rosją. Niby to informacja szokująca w kontekście wojny i ogólnej polityki ograniczania handlu z Kremlem, jednak rola Viktora Orbána jako wojennego symetrysty i unijnego łamistrajka jest powszechnie znana. Nie powinno więc dziwić, że węgierski koncern MVM w połowie sierpnia podpisał z Gazpromem kontrakt na zwiększenie dostaw gazu na Węgry przez Serbię. Początkowo tylko do końca miesiąca, ale we wrześniu kontrakt przedłużono, według danych ECFR – bezterminowo. Krótko mówiąc, Orbánowi rosyjski gaz nie śmierdzi.

Wśród dostawców energii – przede wszystkim gazu – dla Europy znaleźć można kraje naprawdę odległe, żeby nie powiedzieć egzotyczne. Oman, Korea Południowa, Angola, Kanada, Kazachstan, Egipt. Kontraktów na inne surowce na razie jest jak na lekarstwo. Od stycznia Wspólnota zawarła jedynie siedem kontraktów wodorowych, w tym trzy na szczeblu unijnym. Wodór trafi do Europy z Egiptu, Kanady czy Kazachstanu, ale też z Namibii. A to zapewne nie koniec globalnej ekspansji handlowej.

Żeby pozyskać karaibski LNG, Europa będzie musiała w jakiś sposób dorzucić się do nowych instalacji energetycznych.

W środowiskach ekspertów do spraw strategii i stosunków międzynarodowych sporo się mówi o rozwinięciu partnerstwa z krajami Ameryki Łacińskiej i Karaibów. W tym drugim przypadku ciekawym kierunkiem wydaje się zwłaszcza Trynidad i Tobago, wyspiarskie państewko u wybrzeży Wenezueli. Już w 2021 r. Trynidad był szóstym największym eksporterem skroplonego gazu ziemnego (LNG) do Europy, odpowiadając za 2% dostaw tego surowca na Stary Kontynent. Szczególnie ważnym jego odbiorcą była Hiszpania, dla której trynidadzki gaz stanowił 5% całej importowanej energii. To dość naturalne, Hiszpanie nadal uważają Karaiby za swoją strefę wpływów handlowych, jeśli cokolwiek próbują zdziałać w unijnej polityce zagranicznej, zawsze jest to rekalibracja unijnego wektora handlowego właśnie w tym kierunku.

Dla samego Trynidadu Europa też jest coraz ważniejszym partnerem. W 2021 r. do niej szło 26% tamtejszego eksportu LNG, ale według danych ministerstwa energii w pierwszej połowie tego roku odsetek ten wzrósł już do 40%. I może rosnąć dalej, bo Europa gazem skroplonym interesuje się coraz bardziej. Powstają kolejne gazoporty do jego odbioru, rekordziści z Niemiec zbudowali swoją najnowszą instalację w mniej niż 200 dni. W dodatku Trynidad może być dla Europy dobrą inwestycją długoterminową, bo wciąż jest daleki od wykorzystania

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl cad94f54b8

swojego pełnego potencjału. Jak pokazują wyliczenia portalu ekonomicznego BNamericas, produkcja LNG w pierwszych pięciu miesiącach 2022 r. wynosiła zaledwie 57% tego, co udało się wyprodukować w analogicznym okresie rekordowego pod tym względem roku 2009 r. Wnioski z tego dla Europy są trzy. Pierwszy, w krótkiej perspektywie czasowej, jest mało optymistyczny, bo oznacza to, że Trynidad nie ma gotowych do eksportu takich ilości surowca, których Stary Kontynent potrzebuje. W dłuższej perspektywie czasowej wygląda to lepiej, bo po niewykorzystane w tej chwili zasoby można będzie jeszcze sięgnąć. Tyle że – i to jest perspektywa średniego terminu, stanowiąca największe wyzwanie – Trynidad nie korzysta w pełni z posiadanego gazu, bo nie ma właściwej infrastruktury, by zwiększyć wydobycie, a co za tym idzie – eksport. A trudno się spodziewać, żeby zbudował ją w całości sam. Żeby zatem pozyskać karaibski LNG, Europa będzie musiała w jakiś sposób dorzucić się do nowych instalacji energetycznych.

Powitanie z atomem

Znacznie bardziej kontrowersyjny jest ewentualny handel z drugim ważnym eksporterem energii z tej samej części świata, czyli Wenezuelą. Tutaj już o demokracji nie ma mowy, nikt nie udaje, że to reżim w jakimkolwiek aspekcie przyjazny, nawet w kwestiach gospodarczych. Na działania Nicolása Madura, inaczej niż na poczynania autokracji bliskowschodnich, Unia oczu nie przymykała. Parlament Europejski potępiał je i uznawał Juana Guaidó za prawowitego prezydenta kraju, Unia obłożyła Wenezuelę sankcjami. Komisja Europejska do dziś oficjalnie prowadzi wobec tego kraju politykę *no comment*, a jej przedstawicielstwo działa tam stricte nieoficjalnie, zajmując się przede wszystkim pomocą humanitarną i trzymając z dala od polityki. Chociażby z tego powodu wenezuelskie surowce w Europie trudno byłoby przełknąć, bo ich import stałby się ogromną manifestacją unijnej hipokryzji. Od stycznia 2019 r., kiedy w Wenezueli wybuchł kryzys, niewiele tam się zmieniło, ale z europejskiej perspektywy zmieniło się praktycznie wszystko. Za wyborem tego kraju przemawia bogactwo tamtejszych złóż. Rezerwy gazowe Wenezueli są aż 22-krotnie większe niż te, które ma Trynidad. Proporcjonalnie większe są również problemy infrastrukturalne. Instalacje energetyczne są w opłakanym stanie, do tego dochodzi fatalne zarządzanie publicznymi spółkami, przeżartymi korupcją i reżimowym partyjniactwem. Tu nie wystarczyłoby zainwestowanie masy pieniędzy, potrzeba odgórnej reformy politycznej. A tego Unia nie będzie w stanie przeprowadzić, więc wenezuelski gaz mógłby się stać co najwyżej uzupełnieniem europejskiego miksu, bo na pewno nie jego podstawą.

W tle tej skomplikowanej dyplomatyczno-handlowej mozaiki jest zaś kwestia katastrofy klimatycznej. Świat miał przecież stopniowo odchodzić od paliw kopalnych, przerzucić się na źródła odnawialne i przestać truć planetę gazem i ropą. Zakończony niedawno w Egipcie szczyt klimatyczny COP27 znowu nie przyniósł przełomu, Brazylia, Rosja i kraje arabskie zablokowały wpisanie do deklaracji końcowej nakazu odejścia od gazu i ropy. Nie było w Szarm el-Szejk konstruktywnie, bywało natomiast groteskowo, jak w momencie gdy rosyjska delegacja tłumaczyła, że nie czas na reformę energetyczną, bo „na rynku energii panuje niesprzyjający klimat". Nie zająknęli się Rosjanie słowem o tym, kto ów klimat wywołał. Chiny natomiast odmawiają rezygnacji ze statusu kraju rozwijającego się, więc do funduszu reparacji klimatycznych dla Globalnego Południa nie chcą się dorzucić. Chcą otrzymywać z niego pieniądze. W takich warunkach trudno myśleć o zeroemisyjności.

Europa szuka więc energii w starym stylu i robi to po całym świecie. A na rynku krajowym po cichu przeprasza się z atomem. Prezydent Francji Emmanuel Macron przedstawił ustawę upraszczającą biurokrację związaną z budową nowych reaktorów atomowych, francuski parlament już ją przyjął. Nawet klimatycznie radykalnej, opozycyjnej wobec Macrona lewicy spod znaku Jeana-Luca Mélenchona nie udało się jej zablokować. Podobnych inicjatyw należy się spodziewać w całej Europie, w tym w Polsce, co zresztą już widać. Bo ta zima, pomimo pełnych magazynów i uspokajających deklaracji ze strony polityków, będzie bardzo trudna. A kolejna jeszcze trudniejsza.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

KSIĄŻKI

Gospodarki Danii, Finlandii, Islandii, Norwegii i Szwecji zasługują na zainteresowanie m.in. z dwóch powodów. Po pierwsze, wyjątkowe są gospodarcze i społeczne sukcesy tych krajów. Po drugie, ich polityka gospodarcza i instytucje mogą być inspiracją np. dla Polski. Tym ważniejsza jest ta praca.

Książkę napisała grupa autorów z warszawskiej Szkoły Głównej Handlowej. Tematem są m.in. kapitał społeczny w krajach nordyckich, wpływ nordyckiego państwa dobrobytu na nierówności oraz spór, czy przyczyną nordyckich osiągnięć są unikatowe cechy tej kultury (kapitał społeczny), czy raczej działania państwa dobrobytu.

Szkice o gospodarce krajów nordyckich na początku XXI wieku, **redakcja naukowa Bogusław Czarny, Oficyna Wydawnicza SGH, Warszawa 2022**

eprasa.pl cad94f54b8

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Ten miły, sympatyczny rasista i morderca polityczny

Janusz Waluś odsiadujący karę dożywocia za zastrzelenie w 1993 r. Chrisa Haniego, przywódcy partii komunistycznej, dowódcy bojowego skrzydła Afrykańskiego Kongresu Narodowego, decyzją Trybunału Konstytucyjnego RPA wychodzi po 29 latach więzienia na wolność. Skazany za polityczny mord na karę śmierci, zamienioną później na dożywocie, polski emigrant, zakopiańczyk, rasista, zwolennik supremacji białych w RPA i na świecie, był uczestnikiem spisku politycznego, któremu przewodził Clive Derby-Lewis, konserwatywny parlamentarzysta i skrajny przeciwnik zniesienia apartheidu w RPA. Wyposażając Polaka w broń palną, miał nadzieję, że zastrzelenie któregoś z trzech najważniejszych przywódców czarnych (Mandeli, Slova, Haniego) doprowadzi do zamieszek, które pozwolą białym wprowadzić stan wyjątkowy i nie dopuścić do oddania władzy czarnej ludności w demokratycznych wyborach. Zamieszki wybuchły na krótko (kosztowały życie 70 osób), ale później dzięki zaangażowaniu Nelsona Mandeli udało się doprowadzić do deeskalacji konfliktu, w konsekwencji Kongres Narodowy wygrał wybory, a Mandela został prezydentem. Zniósł karę śmierci. Waluś i jego patron Derby-Lewis mieli resztę życia spędzić za kratami.

Wbrew swoim oczekiwaniom Waluś nie stał się bohaterem odsuniętych od władzy białych rasistów. Zapomniano o nim. I wtedy przypomniał sobie, że jest wciąż Polakiem, zrezygnował z obywatelstwa RPA i podjął wysiłki dyplomatyczne, żeby resztę kary (licząc na wcześniejsze zwolnienie) odsiadywać w Polsce. Te poczynania nie były skuteczne. Natomiast mniej więcej od 2010-2011 r., kiedy rósł w siłę polski skrajny, faszyzujący nacjonalizm, co wyrażało się formą i liczebnością uczestników tzw. Marszu Niepodległości, Waluś zapełnił zbiorową wyobraźnię środowisk skrajnej prawicy w Polsce. Na stadionach i demonstracjach zaczęły się pojawiać jego wizerunki, żądania uwolnienia go lub przewiezienia do Polski. Do celi Walusia zaczęły trafiać setki, tysiące listów od sympatyków skrajnej prawicy. Waluś w więzieniu odżył. Jeden z uznanych polskich reporterów, Cezary Łazarewicz, poświęcił mu całą książkę „Nic osobistego", pozostając pod dużym wpływem poznanego „sympatycznego i miłego człowieka". Polubił go, bo Waluś odbiegał od wzorca, który miał Łazarewicz: „Spodziewałem się spotkać kogoś innego. Dlatego dziwnie się poczułem, ale go polubiłem. Bo w naszej kulturze ktoś, kto dokonuje strasznych czynów, musi być zaraz straszny i mieć zły charakter…". Równocześnie reporter zastrzegał się, że jego przybliżenie postaci Walusia ma charakter przestrogi.

W Polsce Waluś pojawiał się w oficjalnych interpelacjach posłów Konfederacji Grzegorza Brauna, Artura Dziambora i Roberta Winnickiego, którzy próbowali wpłynąć na swojego skrytego sojusznika i poplecznika, ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobrę, żeby doprowadził do ściągnięcia Walusia do Polski i umożliwienia mu odsiadywania kary w pierwszej ojczyźnie. Tak jednak się nie stało.

Chris Hani, który był partyzantem i legendą oporu i walki przeciw apartheidowi, nie doczekał się w Polsce książki. Był wszak „komunistą". Grzegorz Braun, poseł polskiego parlamentu, w ostatnich dniach powiedział publicznie: „Ja osobiście sytuuję się po stronie tych, którzy uważają strzelanie do sekretarzy partii komunistycznych za czyn niekoniecznie domagający się penalizacji, a w niektórych przypadkach być może działanie w stanie wyższej konieczności". Waluś zastrzelił Haniego na podjeździe jego domu, czterema strzałami. Ostatni, dobijający ofiarę, oddał z bliska w głowę. Sam nazywa się żołnierzem.

Nadzieje, że wypuszczony na wolność Waluś wróci do Polski na białym apartheidowym koniu w nimbie bohatera walki o supremację białych i odegra jakąś rolę w skrajnie nacjonalistycznej polityce, raczej okażą się płonne. Warunki zwolnienia najprawdopodobniej obejmą zakaz opuszczania granic prowincji, oddanie paszportu, codzienne meldowanie się na komisariacie policji i inne formy nadzoru służb więziennych.

A jednak należy patrzeć z niepokojem na rozwój wypadków związanych z wypuszczeniem zabójcy Haniego. Będziemy wkrótce wspominać setną rocznicę zamordowania prezydenta Narutowicza. Ten mord założycielski polskiej skrajnej prawicy odegrał niewyobrażalnie ponurą rolę. Doskonale, choć wstrząsająco, opisał ją w książce „Gotowi na przemoc" Paweł Brykczyński. Tamta nieprzepracowana zbrodnia i nierozliczenie prawicy położyły się potwornym cieniem na polskiej polityce w II RP. Przemoc w czystej formie wyraża ogromną moc, atakującym daje realną siłę, ofiary i zastraszonych spycha w bezradność. Żywię nadzieję, że na podziw i akceptację Walusia nie będzie w naszej współczesności żadnego miejsca. I naprawdę nie porusza mnie, że może się wydawać miłym i sympatycznym, pełnym autoironii, prostym i inteligentnym osobnikiem. Właśnie na tym polega problem z normalizowaniem i oswajaniem rasizmu i faszyzmu tuż obok nas. Waluś ma na sumieniu nie tylko Haniego, ale też tamtych zapomnianych 70 zabitych podczas protestów. I w jakimś sensie tysiące zamordowanych skrytobójczo przez całe rządy afrykanerskiego apartheidu. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cad94f54b8

Jak znikają miliardy dolarów

Kryptowaluty miały być przyszłością rynków finansowych, a stają się niebezpieczną patologią

Marek Czarkowski

11 listopada br. upadła trzecia co do wielkości giełda kryptowalut, o nazwie FTX. Obroty na niej sięgały dziennie 15 mld dol. Jej założyciel, 30-letni dziś Samuel Bankman-Fried, znany jako SBF, był do niedawna najmłodszym miliarderem na świecie. Wiosną jego majątek szacowano na 20 mld dol. A dorobił się go w ciągu zaledwie kilku lat.

SBF wraz ze współpracownikami mieszkał na Bahamach. Jako strój służbowy służyły mu wymięty T-shirt, niebieskie szorty i klapki. Do pracy jeździł skromną toyotą corollą, sypiał na rozłożonych pufach, a na jego obstawionym monitorami biurku walały się resztki wegańskiego jedzenia.

Miliarder publicznie deklarował, że dla siebie zatrzymuje 1% swoich zarobków, lub 100 tys. dol., by „żyć wygodnie", a resztę ma zamiar przeznaczyć na cele charytatywne. Dziś wiemy, że to wszystko okazało się lipą, niezbędnym elementem nadzwyczaj skutecznego PR, a w rzeczywistości Sam Bankman-Fried po mistrzowsku kręcił lody. Pełnej prawdy o jego wyczynach pewnie nie poznamy nigdy. Dlaczego? Bo świat kryptowalut to dla laików tajemnica.

Jak się nie narobić i zarobić

SBF mógł uchodzić za „amerykańskiego księcia". Jego rodzice, Joseph Bankman i Barbara Fried, to prawnicy, profesorowie Uniwersytetu Stanforda. Ciotka Linda P. Fried jest dziekanem jednego z wydziałów na Uniwersytecie Columbia. Samuel wychował się w środowisku akademickim. Odebrał staranne wykształcenie i wróżono mu karierę. W latach 2010-2014 studiował fizykę i matematykę w Massachusetts Institute of Technology, lecz rzucił naukę, by zająć się interesami.

Punktem zwrotnym było założenie w roku 2017 funduszu inwestycyjnego Alameda Research. Rok później Bankman-Fried zarobił duże pieniądze, wykorzystując różnice w cenie bitcoina między Stanami Zjednoczonymi a Japonią. Dzienne obroty jego funduszu wynosiły wówczas 25 mln dol.

Pod koniec 2018 r. SBF przeniósł się do Hongkongu i wiosną następnego roku założył giełdę FTX, która zaczęła emitować własną kryptowalutę o nazwie FTT.

Do jesieni br. Samuel Bankman-Fried, jego giełda oraz powiązany z nią fundusz inwestycyjny uchodziły za wielką nadzieję przeżywającego coraz poważniejsze problemy rynku cyfrowych walut. Giełdy, na których handlowano kryptowalutami, nie tyle upadały, ile znikały, wraz ze zdeponowanymi na nich cyfrowymi pieniędzmi… i całkiem realną gotówką, wyrażoną w dolarach, euro lub innych tradycyjnych walutach. W ciągu ostatnich ośmiu lat w ten sposób zakończyło działalność 42% giełd.

Być może dlatego weganin w pomiętym T-shircie i klapkach budził zaufanie inwestorów, którzy pchali się do niego drzwiami i oknami. Szczególnie że SBF łączyły świetne relacje z czołowymi amerykańskimi politykami.

W roku 2020, w którym odbyły się wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych, Samuel Bankman-Fried przekazał ponad 5 mln dol. dwóm niezależnym komitetom politycznym wspierającym kandydaturę Joego Bidena. Więcej na kampanię wyborczą obecnego prezydenta dał tylko miliarder Michael Bloomberg.

Ale z hojności SBF korzystali też republikańscy politycy, m.in. senatorowie Mitt Romney, Lisa Murkowski i Susan Collins. A że w latach 2021-2022 Bankman-Fried pod względem przekazanych środków był drugim po George'u Sorosie darczyńcą Partii Demokratycznej, mógł lobbować w Waszyngtonie za wprowadzeniem takich rozwiązań prawnych, które

Bitcoin – kryptowaluta wprowadzona do obrotu w 2009 r. przez osobę bądź grupę osób o pseudonimie Satoshi Nakamoto. Obecnie najpopularniejszy cyfrowy pieniądz na świecie. Określenie statusu prawnego bitcoina wywołuje ogromne kontrowersje. W większości krajów BTC jest albo nieregulowany, albo dozwolony.

Kryptowaluta – rozproszony system księgowy bazujący na kryptografii, przechowujący informację o stanie posiadania w umownych jednostkach. Przez większość państw nie jest uznawana za jednostkę walutową, środek płatniczy czy pieniądz elektroniczny, dzięki czemu tworzenie jednostek w ramach wbudowanego w system algorytmu (tzw. wydobywanie lub wykopywanie) jest legalne. Najpopularniejszą kryptowalutą jest bitcoin, jednak istnieje kilka tysięcy innych kryptowalut, które określa się mianem altcoiny: ethereum, ripple, litecoin czy stellar. Dziś każdy może stworzyć własną kryptowalutę, korzystając z powszechnie dostępnego oprogramowania.

Giełda kryptowalut, czyli kryptogiełda – serwis internetowy, w którym użytkownicy składają oferty kupna i sprzedaży kryptowalut, takich jak bitcoin, ethereum czy ripple.

eprasa.pl cad94f54b8

11 listopada upadła giełda kryptowalut FTX. Jej założyciel, 30-letni dziś Samuel Bankman-Fried, był do niedawna najmłodszym miliarderem na świecie.

miałyby uregulować rynek kryptowalut, ale jednocześnie sprzyjać jego interesom. Pewnie by mu się to udało, gdyby nie wydarzenia, do jakich doszło we wrześniu i październiku br., gdy w sieci pojawiły się pierwsze informacje o tym, że giełda FTX oraz fundusz inwestycyjny Alameda Research nie mają pieniędzy. Lawina ruszyła, gdy Changpeng „CZ" Zhao, prezes największej na świecie giełdy kryptowalut Binance, ogłosił na Twitterze, że sprzedaje wszystkie posiadane kryptowaluty FTT, które wyemitowała FTX. Niemal natychmiast interes Bankmana-Frieda zaczął się sypać.

Król jest nagi

Nie tylko upadek giełdy FTX sprawił, że rok 2022 okazał się fatalny dla rynku walut cyfrowych. Jeśli rok temu najbardziej znana kryptowaluta – bitcoin – kosztowała 64 tys. dol., to dziś cena jednego bitcoina oscyluje wokół 16 tys. W roku 2015 za bitcoina płacono 327 dol.

W tym roku zbankrutowała Luna, na której handlowano kryptowalutą o tej samej nazwie. Straty inwestorów oszacowano na 60 mld dol. Upadła też, założona przez pochodzącego z Ukrainy Alexa Mashinsky'ego, sieć Celsius. Oferowała ona klientom pożyczki i oprocentowane na 18,6% depozyty w bitcoinach, ethereum oraz innych kryptowalutach. Można powiedzieć, że Celsius to był bank, tylko kryptowalutowy. Strata ogłoszona po jego upadku sięgnęła 2 mld dol. W sierpniu br. poszła zaś na dno spółka Voyager Digital, oferująca podobnie jak Celsius pożyczki i depozyty w walutach cyfrowych. Poszkodowanych zostało 3,5 mln klientów. Straty liczone są w miliardach dolarów.

Inne głośne tegoroczne skandale to upadek firmy Terra, który kosztował 45 mld dol., oraz kryptowalutowego funduszu hedgingowego Three Arrows Capital. I w tym przypadku straty sięgnęły miliardów. Ostatni raz rynek cyfrowy widział taki armagedon na początku tego stulecia, gdy pękła „bańka internetowa" i z amerykańskiej giełdy NASDAQ wyparowały dziesiątki, jeśli nie setki miliardów dolarów.

A to nie koniec kłopotów. Na liście podejrzanych znalazła się ostatnio założona przez naszego rodaka Krisa Marszalka (czyli Krzysztofa Marszałka, absolwenta Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu) giełda kryptowalut o nazwie Crypto.com, do której należy najpopularniejsza na świecie aplikacja o tej samej nazwie, pozwalająca na handel cyfrowymi walutami. Firma prowadzi szeroko zakrojoną działalność reklamową. Pozyskała do współpracy aktora Matta Damona i koszykarza LeBrona Jamesa, kupiła prawa do nazwy hali, w której rozgrywa mecze drużyna koszykarska Los Angeles Lakers – teraz nazywa się ona Crypto.com Arena. Sponsoruje także kilka klubów piłkarskich włoskiej Serie A. Największym sukcesem reklamowym biznesu Marszalka jest sponsoring mundialu w Katarze. Osiągnięcia te budzą szacunek, ale i niepokój. Inne, upadłe giełdy i spółki działające na rynku kryptowalut również nie żałowały pieniędzy na wydatki reklamowe.

Giełda FTX założona przez Bankmana-Frieda zatrudniała Toma Brady'ego, słynnego rozgrywającego drużyny futbolu amerykańskiego NFL Tampa Bay Buccaneers, jego byłą żonę supermodelkę Gisele Bündchen, tenisistkę Naomi Osakę i komika Larry'ego Davida. Logo FTX znalazło się na bolidach Formuły 1 należących do stajni Mercedes AMG Petronas.

Transakcje dokonywane w kryptowalutach były tańsze, szybsze, a dzięki technologii blockchain – bezpieczne.

W przeszłości kryptowaluty były reklamowane jako alternatywa dla tradycyjnych „papierowych" pieniędzy. Transakcje w nich dokonywane były tańsze, szybsze, a dzięki technologii blockchain – bezpieczne. Posługiwanie się cyfrowym pieniądzem gwarantowało anonimowość. To miał być nowy świat, bezkonkurencyjny wobec tradycyjnej bankowości.

Stało się inaczej. Pierwsi zalety kryptowalut odkryli przedstawiciele zorganizowanych grup przestępczych. Meksykańskie i kolumbijskie kartele narkotykowe dosłownie pokochały bitcoina, przeprowadzając większość transakcji w tej cyfrowej walucie.

Dziś wiemy już, że posługiwanie się kryptowalutami nie gwarantuje

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl cad94f54b8

anonimowości – Binance, największa giełda, na której można handlować cyfrowymi pieniędzmi, podobno przekazała rosyjskiej Federalnej Służbie Bezpieczeństwa informacje o darczyńcach wspierających współpracowników Aleksieja Nawalnego. Z przykrymi dla nich konsekwencjami.

Trudno też mówić o bezpieczeństwie powierzonych środków, skoro właściciele giełd albo ordynarnie je kradną, albo idiotycznie inwestują lub zarządzają nimi w sposób skrajnie nieodpowiedzialny. Audytorzy, którzy po 11 listopada br. weszli do firmy Samuela Bankmana-Frieda, stwierdzili, że w księgowości panował zupełny chaos, a część środków, liczona w miliardach dolarów, została przekazana z giełdy do funduszu inwestycyjnego Alameda Research, którym zarządzała partnerka SBF Caroline Ellison.

Także w Polsce miały miejsce podobne zdarzenia. Ich skala była rzecz jasna nieporównywalnie mniejsza. W lipcu 2019 r. upadła najstarsza rodzima giełda kryptowalut BitMarket. Śledztwo w tej sprawie wszczęła Prokuratura Okręgowa w Olsztynie. Jeden z właścicieli spółki wydał oświadczenie, w którym przekonywał, że upadek był wynikiem „sytuacji nadzwyczajnych i nadzwyczajnych błędów w zarządzaniu, popełnionych przez osoby faktycznie zarządzające wówczas giełdą" oraz włamania hakerskiego na serwery giełdy, „w wyniku którego z kont kilku użytkowników oraz kont technicznych giełdy zginęło ponad 600 bitcoinów".

25 lipca 2019 r. na jednym z olsztyńskich osiedli znaleziono zwłoki Tobiasza N., jednego z właścicieli BitMarketu. Było to samobójstwo. Do dziś nie wiadomo, co się stało z pieniędzmi klientów.

W światowych mediach trwa dyskusja na temat przyszłości kryptowalut. Od dawna słychać apele, że ten rynek powinien zostać objęty regulacjami, tak jak rynek akcji. A władze państwowe nie mogą się uchylać od odpowiedzialności za to, co się dzieje w sieciowych finansach. Problem w tym, że prawo powinno w tym przypadku obowiązywać globalnie. Inaczej powstaną luki, które osoby przedsiębiorcze natychmiast wykorzystają. Na razie mimo gigantycznych strat spowodowanych nie tyle upadkami, ile „zniknięciami" dużych firm działających na rynku cyfrowych walut, nie zanosi się na zmiany w prawie.

Pierwsi zalety kryptowalut odkryli przestępcy. Meksykańskie i kolumbijskie kartele narkotykowe pokochały bitcoina.

Co dalej z SBF?

Od połowy listopada nie wiadomo, czy Samuel Bankman-Fried znajduje się na Bahamach. Pojawiły się informacje, że jego prywatny samolot widziano na lotnisku w Buenos Aires. Na jaw wychodzą pikantne szczegóły dotyczące działalności obu jego firm – giełdy FTX oraz funduszu Alameda Research. Wiadomo, że między tymi podmiotami przepływały ogromne sumy, zarówno w cyfrowych, jak i „papierowych" pieniądzach. Niektóre inwestycje funduszu okazały się skandalicznie głupie. Wbrew zapewnieniom medialnym SBF nie był tak wielkim ascetą. Za powierzone mu pieniądze on oraz jego współpracownicy – jak stwierdzono, „kadra kierownicza" – kupili liczne nieruchomości na Bahamach, na które wydano 300 mln dol. Luksusowe apartamenty na wyspie kupili również jego rodzice – Joseph Bankman i Barbara Fried. Jak powiedzieli dziennikarzom, „był to ich domek letniskowy". Na czarny charakter afery kreowana jest Caroline Ellison, która zarządzała Alameda Research i, jeśli wierzyć rozpowszechnianym w sieci plotkom, „sprowadziła SBF na złą drogę". Oberwało się też prezesowi giełdy Binance, który swoim tweetem miał zniszczyć konkurencję. Gdyby nie deklaracja, że sprzedaje cyfrową walutę emitowaną przez FTX, być może nic by się nie stało.

Jest pewne, że jeśli Bankman-Fried będzie chciał zniknąć, ma na to środki. Świetnym przykładem może być dr Ruża Ignatowa, która stworzyła kryptowalutę o nazwie OneCoin i oszukała tysiące osób na 15 mld euro. Bułgarka z pochodzenia, mieszkająca w Niemczech, wyróżniała się urodą, elokwencją i inteligencją. Doktorat z europejskiego prawa cywilnego zrobiła na Oksfordzie. Pracowała w firmie konsultingowej McKinsey & Company. Jej model biznesowy był banalny – piramida finansowa podlana kryptowalutowym sosem. Dr Ruża wykorzystała zainteresowanie bitcoinem, a jej firma OneCoin zaoferowała klientom produkt na podobieństwo tych oferowanych przez Amwaya i Herbalife. Dr Ruża zniknęła wraz z pieniędzmi w roku 2017. W Wielkiej Brytanii nazwano ją Cryptoqueen. W 2019 r. BBC poświęciła jej serię podcastów. Do dziś poszukiwana jest przez Europol, policję brytyjską oraz FBI. Jeśli żyje, ma dostatecznie dużo pieniędzy, by ukrywać się latami.

Posługiwanie się cyfrowym pieniądzem miało gwarantować anonimowość. Okazało się to nieprawdą.

Samuel Bankman-Fried może skorzystać z jej przykładu i dołączyć do elitarnej grupy bogatych aferzystów, którzy skrywają się przed surowym obliczem wymiaru sprawiedliwości. A co będzie z rynkiem kryptowalut? Jeśli nadal będzie można na nim dużo zarobić w krótkim czasie, nie zabraknie osób gotowych zaryzykować swoje lub powierzone im środki. Ani przedsiębiorczych cwaniaków gotowych okraść frajerów.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cad94f54b8

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Czas letargu

Wzmożenie frakcji antyfutbolowej w mediach społecznościowych; zawsze marudzą w czasie mundialowym, a teraz tym bardziej mają pretekst, bo wielkie granie zamówiły sobie wielkie dranie w białych tunikach. Zaiste, przelicznik goli na trupy taniej siły roboczej, która wyzionęła ducha, budując stadiony dla szejków, jest przerażający. Praw człowieka w Katarze nie uświadczysz, zwłaszcza jeśliś kobietą, zanim dokończysz zdanie, że tak właściwie toś „osobą z macicą, socjalizowaną do roli kobiety", w najlepszym razie cię zgwałcą, dając do wyboru ślub z oprawcą albo karę śmierci. Wszystko to straszna prawda, ale zanim mnie kto przekona do bojkotu, niech zdejmie z siebie wszystko, co uszyły na Dalekim Wschodzie w niewolniczych warunkach kilkuletnie dzieciaki.

Co do piłkarzy, próbujących się sprzeciwiać za pomocą symbolicznych gestów – był czas, żeby federacje zaprotestowały całkiem niesymbolicznie, wywarły presję, a nawet solidarnie zastrajkowały, bo mundial szejkom przyznano 12 lat temu! Teraz to wygląda, jakby chłopcy dali się zaprosić na uroczystą kolację do uprzejmych kanibali, którzy na tę okoliczność podali menu wegetariańskie, i wszyscy wspólnie szamają aż miło, ale goście dają sobie wymowne znaki, że gospodarzami i tak gardzą, wszak ludzina zalega w zamrażarkach. Notabene, zasłanianie sobie ust czy klękanie przed meczem to sprzeciw cokolwiek symulowany – dopiero polscy piłkarze mieli odwagę pójść na całość, bojkotując mistrzostwa przez pełne 90 minut plus czas doliczony. Orły Michniewicza grają antyfutbol tak niemiły dla oka, tak mstliwie odpychający, że najbardziej ortodoksyjni mahometanie zaczynają pojmować kibicowski *beerpairing* – na trzeźwo tego oglądać się nie da. Już nawet międzynarodowa memosfera sięga po polską myśl szkoleniową niczym nasz produkt eksportowy typu Wojtyla-Kieslowski-pierogi, w tym przypadku jako przykład światowej sławy żenady. Ktoś np. napisał, że oglądanie reprezentacji pozwala trochę zrozumieć, jak Kieślowski znajdował piękno w smutku.

Absurd i niesmak, a w moim przypadku futbolowego fanatyka – ambiwalencja i dysforia, wynikają raczej z faktu, że im bardziej się skupiamy na piłce, tym łacniej ten skurwiel Putin wyłącza prąd sąsiadom na zimę. Na portalach informacyjnych kanonada snajperów boiskowych zawsze stoi wyżej niż bombardowanie miast; wojna przegrywa z karnawałem. Mundial jest dla kibica czasem tak zaburzonego postrzegania, że w pierwszym odruchu na wieści spod Kijowa nie myślę o bezpośrednim zagrożeniu życia milionów Ukraińców, tylko żal mi się ich robi, bo przecież z powodu blackoutu nie mogą oglądać meczów.

Tak czy owak, za stary już jestem, żeby na mnie działał *soccer shaming*; w tym roku po prostu wyjątkowo nie odmawiam racji ani zrozumienia tłumom oburzonych. Dla mnie nadszedł czas letargu przed telewizorem, bo dawka jest druzgocąca dla innych planów – od godz. 11 do 22 mecz za meczem z krótkimi przerwami na czynności fizjologiczne, żeby coś napisać, trzeba wstawać przed świtem. Raz na cztery lata dla paru miliardów ludzi piłka jakimś cudem przez miesiąc nie stacza się ze szczytu piramidy Maslowa, a przyświeca im motto Billa Shankly'ego o tym, że futbol nie jest sprawą życia i śmierci, bo jest od nich ważniejszy. Skądinąd Shankly był największym futbolowym aforystą, a ten niemiłosiernie zgrany cytat wcale nie należy do jego szczytowych osiągnięć. Dla naszej kadry narodowej, ubogiej w talenty, pocieszająca może być inna myśl sławnego Szkota – „Drużyna piłkarska jest jak fortepian. Potrzebujesz ośmiu, by go nieśli, i trzech, którzy umieją grać". Jean-Paul Sartre zaś po zastanowieniu uznał, że „w piłce nożnej wszystko komplikuje obecność drużyny przeciwnej", co też się tyczy w szczególności naszych kadrowiczów.

Ktoś napisał, że oglądanie reprezentacji pozwala trochę zrozumieć, jak Kieślowski znajdował piękno w smutku.

W tym roku czas rytuału się zmienił; kibice śledzą mundial, a za oknem pada śnieg. To tak, jakby Boże Narodzenie przenieść na środek lata – tak naprawdę rzecz niezrozumiała tylko z europejskiego punktu widzenia, choć pamiętam, jak niegdyś w Santiago de Chile, chroniąc się w kościele przed upałem, nie mogłem oprzeć się zdumieniu na widok bożonarodzeniowej szopki. To wytrącenie ma w sobie coś zbawiennego – po pierwsze, pozwala „przewinąć" najokrutniejszą porę roku, czyli polskie przedzimie, kiedy dni skracają się do minimum, a śniegu jeszcze nie ma na narciarską pociechę. Nim się spostrzeżemy, nadejdzie przesilenie zimowe, a potem znowu będzie coraz więcej światła. Po drugie, naród kopci czym popadnie, wychodzić z domu niezdrowo, więc brać kibicowska przyspawana do foteli zregeneruje drogi oddechowe. Po trzecie, ludzkość w obłędzie zdaje się przestrzegać zasad już tylko w ramach rozgrywek sportowych – tu za brudną grę wylatuje się z boiska, sędzia jak szeryf zawsze ma władzę nad złoczyńcami, trochę to działa psychoterapeutycznie w obliczu bandyckiej wojny.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cad94f54b8

Różnorodność i podwójne standardy

Mundial jest świętem zarówno sportu, jak i polityki

Jakub Katulski

Mundial ledwo się rozpoczął, a lista kontrowersji dotyczących tego najdroższego turnieju piłkarskiego w historii szybko rośnie. Pomijając już alarm, który podniosły organizacje broniące praw człowieka i praw pracowniczych, gdy tylko okazało się, że to Katar został gospodarzem mistrzostw, sam start imprezy nie obył się bez przykrych niespodzianek.

To jednak nadal święto sportu, a kibice zgromadzeni na stadionach czy przed telewizorami oglądają zmagania swoich drużyn narodowych, kierując się nawoływaniem prezesa FIFA Gianniego Infantina, by nie mieszać sportu z polityką. W rzeczywistości sport i polityka są nierozerwalnie związane ze sobą, niezależnie od tego, jaki obraz próbują przedstawiać działacze organizacji sportowych czy kluby piłkarskie. Widać to choćby po liczbie polityków, którzy pojawili się na ceremonii otwarcia mundialu. Na trybunach stadionu Al-Bayt w mieście Al-Chaur zasiedli najbardziej znani liderzy świata arabskiego, w tym książę koronny Arabii Saudyjskiej Muhammad ibn Salman, egipski prezydent Abd al-Fattah as-Sisi, a nawet palestyński przywódca Mahmud Abbas, w towarzystwie prezydenta Recepa Tayyipa Erdoğana czy przywódców afrykańskich, południowoamerykańskich i azjatyckich.

Jednym z przejawów polityczności ceremonii był pokazywany wszędzie uścisk dłoni Erdoğana i As-Sisiego inicjujący pierwsze spotkanie tych polityków. Relacje między Ankarą a Kairem są napięte od 2013 r., kiedy gen. As-Sisi, wówczas minister obrony Egiptu, stając na czele wojska, odsunął od władzy demokratycznie wybranego prezydenta Muhammada Mursiego, ogłosił zawieszenie konstytucji i zapowiedział przyśpieszone wybory, zamykając przy tym także egipskie biuro Al-Dżaziry i aresztując setki działaczy Braci Muzułmanów, wspieranych przez Katar i Turcję. Liczni członkowie Braci zbiegli nad Bosfor, szukając tam schronienia, Ad-Dauha zaś od lat lobbuje za ponownym zbliżeniem turecko-egipskim. Dotychczas Erdoğan zapowiadał, że nie spotka się z As-Sisim, dopóki nie zostaną zwolnieni przetrzymywani w Egipcie więźniowie polityczni (których może być nawet 65 tys. według szacunków organizacji działających na rzecz praw człowieka). Niedawno jednak zaczął zmieniać zdanie i ogłosił, że po przyszłorocznych wyborach w Turcji może przemyśleć relacje z Egiptem. Tym bardziej nie dziwi szeroki uśmiech na twarzy katarskiego emira Tamima ibn Hamada al-Saniego, który udało się uchwycić reporterom w jednym kadrze ze ściskającymi dłonie Erdoğanem i As-Sisim.

W końcu, jak sam emir podkreślił w przemówieniu podczas otwarcia mundialu, „mistrzostwa świata zbliżają ludzi wszelkich wiar", którzy „odkładają na bok to, co ich dzieli, by celebrować swoją różnorodność".

Na stadionie wystąpił nawet hollywoodzki gwiazdor Morgan Freeman, który swoim spokojnym głosem opowiadał, że wspólnym wątkiem dla wszystkich narodów oglądających turniej są „nadzieja, radość i szacunek". Występy te zostały pozytywnie przyjęte zwłaszcza w arabskich mediach społecznościowych, lecz nie brakowało oskarżeń, że Freeman się sprzedał, popierając organizatorów kontrowersyjnej imprezy, i „ma krew na rękach".

> W Katarze funkcjonuje mniej więcej 500-osobowa polska diaspora.

Kto wypije to piwo?

Katarski mundial odsłania jednak nie tyle problemy samej monarchii Półwyspu Arabskiego, ile hipokryzję zachodnich organizacji i mediów. O podwójnych standardach świadczy choćby fakt, że liczne stacje telewizyjne i radiowe nagłaśniały raporty o naruszeniach praw człowieka czy śmierci wielu pracowników zagranicznych budujących stadiony i hotele, ale na samą imprezę wysłały korespondentów, którzy korzystają ze zbudowanych w ten sposób obiektów.

Nie znaczy to, że mistrzostw nie należy traktować jako okazji do dyskusji o problemach społecznych i politycznych Kataru, choć warto zwrócić uwagę na to, że obyczaje krajów arabskich różnią się od europejskich. Z tego wynikło choćby poważne nieporozumienie związane ze sprzedażą alkoholu na stadionach. Początkowo przedstawiciele FIFA zapewniali, że kraj, w którym alkohol jest zakazany, co wynika z surowych zasad szarijatu, na czas turnieju zrobi wyjątek. Kibice mieli się raczyć zimnym piwem, sponsor imprezy, amerykański koncern Anheuser-Busch InBev, producent marki Budweiser (nie mylić z popularniejszym w Polsce Budweiserem Budvarem produkowanym

eprasa.pl cad94f54b8

Mundial to także okazja do spotkań katarskiej Polonii z rodakami z kraju.

w czeskich Budziejowicach), zacierał ręce. A tu niemiła niespodzianka – przed samym otwarciem imprezy katarskie władze zmieniły zdanie, FIFA zaś im uległa i na stadionach dostępne są jedynie napoje bezalkoholowe. Na oficjalnym koncie twitterowym marki Budweiser pojawił się wpis wyrażający niezadowolenie producenta, który liczył na wysokie zarobki, a dziennikarze zaczęli się prześcigać w spekulacjach, czy mundial zakończy się wielkim pozwem. Niektórzy kibice również poczuli się oszukani. Pewnie byłoby inaczej, gdyby od samego początku zapowiadano, że procenty można spożywać wyłącznie w wybranych barach, hotelach i strefach kibica.

Z ulgą odetchnęli natomiast, jeśli wierzyć doniesieniom katarskiej Al-Dżaziry, kibice arabscy. W swojej witrynie internetowej i na antenie, zarówno po arabsku, jak i po angielsku, dziennikarze medium finansowanego przez rządzącą w Ad-Dausze dynastię Al-Sanich przekonują, że wizja zagranicznych kibiców spożywających alkohol na trybunach była dość niepokojąca dla arabskich rodziców udających się na turniej z dziećmi.

Budweiser jeszcze nie podjął decyzji, jak rozprawi się z FIFA, która ewidentnie nie wywiązała się z części umowy zapewniającej możliwość sprzedaży piwa. Poprzez media społecznościowe koncern podał informację, że zapasy piwa przygotowane na mistrzostwa przekaże temu krajowi, którego drużyna zdobędzie zwycięski puchar. Anheuser-Busch InBev może w ten sposób robić dobrą minę do złej gry, lecz nie wiadomo, czy to rozwiązuje potencjalny konflikt koncernu z FIFA.

Żydowskie bajgle w arabskim kraju

Nie tylko miłośnicy piwa krytycznie patrzą na to, że złamane zostały dane im obietnice. Światowy Kongres Żydów alarmował w pierwszych dniach mistrzostw, że żydowscy kibice, którzy tłumnie przybyli na mundial, mieli mieć dostęp do koszernego jedzenia i miejsc modlitwy, a ostatecznie mogą jedynie nabyć kanapki w bajglach i nie wolno im gromadzić się w celach religijnych. To o tyle ważne, że Katar zgodził się nawet na uruchomienie bezpośrednich lotów z Tel Awiwu do Ad-Dauhy, po to by samolotami przybyli Palestyńczycy i Izraelczycy, choć oficjalnie nie są utrzymywane żadne relacje dyplomatyczne między Katarem a państwem żydowskim.

Spora grupa Polaków to pracownicy Qatar Airways, a także specjaliści pracujący dla korporacji międzynarodowych, dużych firm z regionu czy administracji rządowej.

Za koszerny catering odpowiedzialny jest urodzony w Izraelu chasydzki rabin Mendy Chitrik, będący jednym z liderów ultraortodoksyjnego żydowskiego ruchu Chabad-Lubawicz w Stambule, znany z udziału w podobnych przedsięwzięciach w innych krajach Półwyspu Arabskiego. To właśnie on, wraz z nowojorskim rabinem Markiem Schneierem, podjął decyzję o tym, by wypiekać bajgle, gdyż są one mało

FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI/POLSKA PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl cad94f54b8

znane w tym regionie, choć popularne w Stanach Zjednoczonych i powszechnie kojarzone z Żydami. Marc Schneier w rozmowie z dziennikarzami Żydowskiej Agencji Telegraficznej podkreślił nawet, że „to najprawdopodobniej pierwsze koszerne bajgle wypieczone w Katarze".

Mleko się jednak rozlało i media społecznościowe huczą od oskarżeń o dyskryminację i hipokryzję na turnieju, tym bardziej że FIFA postanowiła naciskać na sportowców, by tęczowych opasek One Love, które w Europie są często noszone przez kapitanów drużyn piłkarskich jako znak solidarności ze społecznością LGBT, gracze nie zakładali.

Ale sportowe zmagania zbliżyły regionalnych rywali. Po niespodziewanym zwycięstwie Arabii Saudyjskiej w meczu z Argentyną gratulacje Saudyjczykom złożył jeden z liderów jemeńskiego ruchu Huti – Daifallah asz-Szami, obecnie rzecznik Ministerstwa Informacji w Sanie. Jego zdaniem zwycięstwo saudyjskiej drużyny „umieści arabski futbol ponownie na mapie". Do gratulacji przyłączyli się inni liderzy ruchu, co można by uznać za zwykłą grzeczność, gdyby nie fakt, że Rijad przewodzi międzynarodowej koalicji zwalczającej ruch Huti w jemeńskiej wojnie domowej, która pochłonęła setki tysięcy ofiar cywilnych. Sukcesy arabskich drużyn w turnieju, na Bliskim Wschodzie odbieranym często jako impreza zdominowana przez Zachód i podporządkowana zachodnim świętom i sezonom wakacyjnym (niezadowolenie wzbudziło przecież przesunięcie mundialu na jesień), mogą być w końcu okazją do promocji nie tylko dla Kataru, ale w ogóle dla świata arabskiego.

Polonia biegająca

Mundial jest też okazją do nawiązania nie tylko nowych znajomości, którymi w mediach społecznościowych chwalą się kibice z różnych krajów, ale i kontaktów z diasporami, które zamieszkują Katar.

Paweł Kułaga, prezes zarządu Katarsko-Polskiej Rady Biznesu, zwraca uwagę na to, że w Katarze funkcjonuje mniej więcej 500-osobowa polska diaspora: – Ich historia jest dość podobna jak w przypadku innych narodowości europejskich. Raczej mało kto przyjeżdża do Kataru, by osiedlić się na stałe. Katar ma niewielką populację, ale przez to, że jest bogatą gospodarką, przyciąga ludzi z wielu krajów. Spora grupa Polaków to pracownicy Qatar Airways, a także specjaliści w różnych dziedzinach pracujący na etatach dla korporacji międzynarodowych, dużych firm z regionu czy administracji rządowej, choć są i freelancerzy prowadzący mniejsze działalności związane ze sportem czy wypoczynkiem.

Sposób zatrudniania w Katarze pracowników z innych krajów wielokrotnie wywoływał kontrowersje, lecz jak podkreśla Kułaga, w ostatnich latach wiele się zmieniło za sprawą reform w systemie kafali, opartym na relacji pracownika z kafilem – sponsorem odpowiedzialnym choćby za wizę. – Ten system został mocno ograniczony. Nie nazwałbym go już klasyczną kafalą, co wynika z przygotowań do trwającego mundialu i prac instytucji międzynarodowych, które lobbowały na rzecz zmian. Spore reformy pojawiły się choćby dwa lata temu.

Jakie? Ograniczone zostały uprawnienia kafila do zatrzymywania paszportów pracowników i po raz pierwszy w historii emiratu wprowadzono płacę minimalną.

Zdaniem Kułagi trudno jednak mówić o tym, by polska diaspora była zorganizowana, właśnie ze względu na tymczasowy charakter pobytu wielu Polaków. Ale są okazje, które ją integrują. – Sztandarową imprezą jest bieg na 11 listopada, w tym roku można było się doliczyć ok. 200 osób, nawet dzieci. Jak na tak małą diasporę, to całkiem dużo. Również na organizowanych przez ambasadę uroczystościach z okazji polskich świąt pojawiają się Polacy. Polska społeczność cieszy się mundialem, wszyscy widzą ogromny wysiłek, jaki Katar włożył w organizację tej imprezy. Razem z ambasadą zorganizowaliśmy spotkania dla Polonii i przyjezdnych kibiców w dniach pomiędzy meczami, co będzie okazją do rozmów.

Mimo głośnej krytyki turnieju należy zauważyć, że jest on szansą nie tylko dla Kataru na promocję kraju, ale też dla kibiców i piłkarzy, którzy sprawdzą się w rywalizacji. A także dla licznych aktywistów i dziennikarzy, którzy mogą się przyjrzeć, jak wygląda narracja polityczna wokół takich imprez. Tym samym mundial staje się lekcją dla tych, którym wciąż się wydaje, że można utrzymać sport z dala od globalnych rozgrywek.

Jakub Katulski

eprasa.pl cad94f54b8

Rytuał i kłótnia w rodzinie. Spór o transformację

Ojcowie i dzieci reform rynkowych, dwa pokolenia Polaków, nigdy nie znajdą wspólnej wersji historii

Jakub Dymek

W Polsce dyskusja o transformacji gospodarczej lat 90. przypomina trochę zjawisko meteorologiczne – letnią burzę albo zimę, która zawsze zaskakuje drogowców. Niby wszyscy wiedzą, że będzie wracać – a co roku musi uderzyć przynajmniej raz – ale nikt do końca nie przewidzi, kiedy uderzy i jak będzie gwałtowna. Wystarczy jeden tweet, artykuł lub wpis w mediach społecznościowych – i proszę, mamy zawieruchę.

Tak się stało i tym razem, gdy red. Dominika Wielowieyska z „Wyborczej" sprowokowała (złośliwie, do czego się przyznaje) polemistów serią apologetycznych wpisów o sukcesie lat 90. i ponadludzkim geniuszu ojców transformacji oraz poprzednich szefów NBP.

W opowieści Wielowieyskiej wszyscy sternicy polskiej gospodarki i polityki monetarnej od 1990 r. pchali kraj do przodu, podejmując mądre na skalę Europy i świata decyzje, które psuli tylko okazjonalnie Adam Glapiński i pisowcy, o ile doszli do władzy. Jest to oczywiście opowieść kontrfaktyczna i ahistoryczna. Niewygodne z punktu widzenia dzisiejszej opozycji fakty – ojcostwo OFE czy zadłużanie Polski pod korek w obcych walutach na długo, zanim PiS doszło do władzy – po prostu w tekście się nie pojawiają. Ale prowokacja się udała. Wielowieyska osiągnęła cel, polemiści zerwali się z krzykiem, nazwisko Balcerowicza (i tu autorka „Wyborczej" się nie pomyliła) poderwało część dyskutantów z mocą ciosu elektrycznej pałki.

Ta dyskusja jest rytuałem: padają w niej podobne argumenty, nikt nie zmienia stanowiska, poziom emocji (i personalnych resentymentów) jest wysoki. Mimo wszystko coś wnosi. Bo corocznie, za każdym razem, gdy zaczynamy się spierać o transformację i lata 90., rozmawiamy w nowym kontekście, w innym otoczeniu międzynarodowym, na tle rozwijających się badań i zmiany pokoleniowej.

Rozważając tak naprawdę nie historię gospodarczą III RP, lecz współczesność i jej wyzwania: widmo inflacji czy konflikt międzypokoleniowy. I to dopiero jest ciekawe.

O czym mówimy, gdy mówimy o transformacji?

Może się wydawać, że każdy kolejny odcinek sporu o transformację gospodarczą dotyczy tego samego. Czyli wskaźników PKB, bezrobocia, kosztów społecznych, nędzy (i obojętności na nią ojców założycieli III RP) oraz samego pojęcia neoliberalizmu. Ale to tylko jeden element rytuału.

Rzeczywiście, takie odpowiedzi – próby dyskusji o bilansie lat 90. – na zaczepki Wielowieyskiej się pojawiły. Wbrew oczekiwaniom autorki nie tylko ze strony „młodej lewicy". Były także głosy autorytetów, które trudno uznać za wściekłych wrogów transformacji i liberalnego kursu III RP. Na przykład prof. Marcina Piątkowskiego, autora książki „Europejski lider wzrostu".

Związany z Bankiem Światowym Piątkowski przypomniał, że choć nie podziela opinii o transformacji jako katastrofie, to w początkach XXI w. „zapłaciliśmy cenę za ekonomiczny fundamentalizm". Piątkowski (a obok niego Piotr Kuczyński) kwestionuje bezkrytyczne podejście apologetów III RP do jastrzębiej polityki banku centralnego, jakiej dziś domagają się liberałowie i opozycja. Bo do tego nawiązują w tej dyskusji obaj ekonomiści. Rekordowe podwyżki stóp procentowych i zwalczanie inflacji przez wzrost bezrobocia już raz testowaliśmy – ponad 20 lat temu, gdy naraz mieliśmy wysokie bezrobocie, wysoką inflację, wysokie stopy i spadek dynamiki wzrostu do średniej UE. NBP, tłumaczył jeszcze w marcu Piątkowski, podnosząc stopy i zacieśniając politykę monetarną (czego chcą przeciwnicy obecnej Rady Polityki Pieniężnej), „doprowadził do załamania się gospodarki, spadku prywatnych inwestycji i wzrostu bezrobocia do prawie 20%".

Podwyżki stóp procentowych i zwalczanie inflacji przez wzrost bezrobocia już raz testowaliśmy – ponad 20 lat temu.

eprasa.pl cad94f54b8

Pomimo akcesji do Unii i „wyeksportowania" bezrobocia do Anglii, Irlandii i Niemiec kraj wychodził z tej, jak nazywa to Piątkowski, „największej porażki polskiej polityki gospodarczej" przez siedem lat. Chociażby ten argument rozbija w drzazgi opowieść o bezbłędnym 30-leciu, paśmie sukcesów, które przerywane było tylko okresami pisowskiej smuty. „Jak zejść z bezrobociem do 11%? Najpierw podnieść je do 20%", szydził z Wielowieyskiej zazwyczaj bardzo stateczny i spokojny ekonomista.

amerykańskiej radykalnej prawicy w przekonaniu, że reprezentują sobą „zachodni liberalizm" czy „społeczną gospodarkę rynkową". Wykazywali się butą wobec słabych (pielęgniarek, nauczycieli i właściwie całej polskiej prowincji), a bali się silnych. W rzeczywistości, co kiedyś zwięźle podsumował prof. Walicki, byli lokalną kserokopią nie największych myślicieli współczesnego świata i gigantów angloamerykańskiej filozofii, lecz największych obskurantów, radykałów i prowincjonalnych krzykaczy.

wiele wspólnego z ideologią i wizją gospodarki biedaliberałów III RP. Jeśli ktoś mówi, że Białoruś, Ukraina, Mołdawia albo dowolny inny kraj postradziecki jest dziś biedniejszy niż Polska, bo nie miał Balcerowicza, Bieleckiego, Tuska i Gronkiewicz-Waltz, to znaczy po prostu, że nigdy w życiu nie miał w ręku mapy ani podręcznika historii.

A to wszystko nakłada się na jeszcze jeden, nie mniej gorący konflikt. Spór pokoleń.

Ojcowie III RP, jak podsumował prof. Walicki, byli lokalną kserokopią nie największych myślicieli współczesnego świata, lecz największych obskurantów, radykałów i prowincjonalnych krzykaczy.

To jednak, jak napisałem powyżej, tylko element tego rytuału, z czasem tracący na znaczeniu.

Druga Japonia, trzecia Irlandia, kolejne Chiny

Mało kto na poważnie i z przekonaniem broni tezy, że transformacja była porażką. To, do czego doszliśmy – Polska najzamożniejsza w swojej historii, zakotwiczona w sojuszach międzynarodowych i z rosnącą klasą średnią – tępi ostrze krytyki. Spory dotyczą głównie sposobów, nie kierunku drogi. Prawie wszyscy wiedzą, że Polska nie mogła się stać ani drugą Irlandią czy Japonią (czego chcieli liberałowie), ani tym bardziej drugimi Chinami, co niestety na serio czasami słychać z przeciwnej strony. Kraj miał konkretne uwarunkowania geograficzne, polityczne i demograficzne – i udaną lub nieudaną politykę mógł realizować tylko w swojej, a nie chińskiej czy irlandzkiej skali. Tak naprawdę lewica najczęściej krytykuje nie prozachodnią drogę i odejście od gospodarki planowej, ale socjopatię i doktrynerstwo ojców III RP.

Zliberalizowali gospodarkę, jednocześnie odbierając prawa kobietom; szli niby na Zachód, ale czyniąc cały czas ustępstwa wobec Kościoła; bezkrytycznie powtarzali antyspołeczne i darwinowskie slogany

„Jeśli nam się powiedzie, to moja zasługa. Jeśli przegramy, nie mam z tym nic wspólnego", powiedział ostatnio o wynikach swojej partii Donald Trump. Dokładnie takim podejściem do polskiej transformacji wykazują się jej twórcy. A to ich dotyka dziś najboleśniej krytyka.

Prof. Grzegorz W. Kołodko napisał, że transformacja udała się w Polsce pomimo, a nie dzięki terapii szokowej. Można też – i to jest, jak sądzę, punkt wyjścia lewicowej krytyki – uznać, że polska transformacja udała się w praktyce, choć nie udała się w teorii, parafrazując bon mot, którego autorem jest szef amerykańskiej

Walka dzieci i ojców III RP

Sceptyczne wobec transformacji jest młode pokolenie, rozumiane bardzo szeroko – od zaledwie 20-letnich „zetek" (od generacji Z) po już prawie 40-letnich „starszych milenialsów". Dla wielu z nich spory o kształt transformacji są prehistorią, a kultowe postacie lat 90. – Jan Paweł II czy Leszek Balcerowicz – to bohaterowie memów. Spór ten ma jednak dla pokolenia, którego również jestem częścią, nieco inny charakter niż debata o tym, czy warto było wprowadzać reformy rynkowe.

Dzisiejsi 20-, 30-latkowie, ludzie urodzeni między reformami rynkowymi schyłkowego PRL a wejściem Polski do UE, uważają nierzadko, że oprócz dobrobytu odziedziczyli po transformacji wiele niezawinionych niesprawiedliwości. Twierdzą, bardzo słusznie zresztą, że są pokoleniem lepiej wykształconym, bardziej zglobalizowanym i lepiej

Spory dotyczą głównie sposobów, a nie kierunku drogi.

Rezerwy Federalnej Ben Bernanke. To znaczy, że dzięki zaradności Polaków, mandatowi społecznemu, jakim cieszyły się postsolidarnościowe rządy, przyjaznemu otoczeniu międzynarodowemu i chwilowo spacyfikowanej Rosji, ostatecznie Polska (i inne kraje regionu) przeszły transformację korzystnie. Nawet jeśli za cenę bezrobocia, upadku wielu branż oraz długoletniej nędzy polskich miast i całych regionów.

Jednak wszystkie te powody, dla których Polska jest dzisiaj w innym miejscu niż np. Ukraina, nie mają

dopasowanym do wymogów międzynarodowego rynku pracy niż jakakolwiek wcześniejsza generacja. A jednocześnie mają poczucie, że prawdziwe majątki i kariery w III RP zrobiło pokolenie dużo gorzej wykształcone i nieodnajdujące się we współczesnym świecie – pokolenie ich rodziców. 20-, 30-latkowie widzą „starych", którzy ledwo dukają po angielsku i z trudem poruszają się w internecie, a jednocześnie zdążyli już wybudować dom, kupić drugi albo trzeci samochód i wykształcić swoje dzieci – najostrzejszych

eprasa.pl cad94f54b8

swoich krytyków. To emocja, która napędza ten spór nie tylko w Polsce. Podobna dynamika jest od dobrych paru lat widoczna choćby w Stanach Zjednoczonych, gdzie szanse na dojście do majątku w kolejnym pokoleniu spadają, zamiast rosnąć.

Nie zliczę, ile razy słyszałem od rówieśników i osób nieco młodszych tę samą wersję transformacyjnego mitu i ten sam zarzut: „W latach 90. wystarczyło znać dwa słowa po angielsku i można było zostać menedżerem w międzynarodowej korporacji". To jednak, co dla pokolenia 50-latków jest pochwałą III RP jako kraju nieograniczonych możliwości, dla ich dzieci jest obrazem patologii. „No właśnie – kontynuują moi rozgoryczeni rówieśnicy – skoro wtedy można było z podstawowym angielskim zarobić miliony, to dlaczego dziś po dwóch fakultetach nie stać mnie na wynajem mieszkania?".

To oczywiście spór o subiektywne (i dalece zmitologizowane) wizje historii i awansu. Na pretensje młodych pokolenie starych odpowiada bowiem: „Pracujcie 16 godzin, a też zarobicie na dom". Młodzi odgryzają się, że nie mogą wokół siebie wskazać wielu karier zrobionych dzięki 16-godzinnej harówce, za to znają młodocianych milionerów, którzy po prostu odziedziczyli mieszkanie i firmę po starych.

Tak naprawdę lewica najczęściej krytykuje nie prozachodnią drogę i odejście od gospodarki planowej, ale socjopatię i doktrynerstwo ojców III RP.

Z tego sporu nie ma oczywiście – w przeciwieństwie do dyskusji o stopach procentowych czy bezrobociu – żadnego racjonalnego wyjścia, bo to konflikt nie paradygmatów naukowych, ale tożsamości. Młodzi (szeroko rozumiani) mają poczucie olbrzymiej inflacji kompetencji. Wychowano ich – mnie również – w etosie awansu przez edukację. Dzisiaj dzieci inteligentów i wychowanych w liberalnym etosie edukacji zgrzytają zębami – bo rynkowa wartość edukacji proporcjonalnie w ich oczach zmalała, podczas gdy ceny nieruchomości wzrosły. Patrzą ze złością na rodziców, którzy „załapali" się na własnościowe mieszkania i domy, choć nie umieli ani programować, ani mówić po angielsku, ani nawet nie wyjechali za granicę dalej niż do Bułgarii – to resentyment, który naprawdę nakręca ten spór, dużo mniej tu się liczy polityka monetarna AWS-UW.

Jedni i drudzy nie dopuszczają jednak do siebie krytyki. Bo gdy kłócimy się o transformację, kłócimy się de facto o coś zupełnie innego: o biografie, o tożsamości i o to, kto „ma prawo" w pełni czerpać z dobrobytu III RP.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

POMNIK NA GROBIE KAROLA MODZELEWSKIEGO

W Alei Zasłużonych Cmentarza Komunalnego na Powązkach został odsłonięty pomnik na grobie Karola Modzelewskiego. Uroczystość, w której uczestniczyło grono przyjaciół, prowadziła żona, Małgorzata Goetz. Autorem pomnika jest Krzysztof Bednarski. Rzeźba wykonana została z wielkiej bryły marmuru kararyjskiego. Praca nad nią trwała 45 dni.

Skąd pomysł pomnika? Jak mówiła Małgorzata Goetz, profesor… sam go wybrał. Gdy oglądał album rzeźb Krzysztofa Bednarskiego, zatrzymał się nad jedną, komentując: „O, to o mnie!". Zafascynował go motyw symbolu zwycięstwa i… przyciętych palców. Nam pozostaje dociekanie, czy to symbol „przyciętej" wolności, czy przeciwnie – symbol tych, którzy się nie poddają.

Budowę pomnika sfinansowały specjalnie w tym celu powołana Fundacja dla Polski oraz miasto Wrocław.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

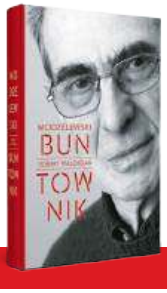

KSIĄŻKA Z AUTOGRAFEM I DEDYKACJĄ AUTORA!

Prośby o dedykację można kierować pod nr: 22 635 84 10 wew. 111
lub na: **sklep@tygodnikprzeglad.pl** Zamawiając przez sklep internetowy, wpisz treść dedykacji w uwagach

55 zł ~~65 zł~~

Zamów książkę na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. **Darmowa wysyłka** listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl cad94f54b8

Las i morze leczą seniorów

Obalmy mit, że zieleń czy woda są niewiele znaczącymi dodatkami do aktywności fizycznej

Rozmawia Małgorzata Szczepańska-Piszcz

Od dawna wiemy, że przebywanie na świeżym powietrzu jest dobre dla człowieka. Ale zawsze akcentowano, że tylko aktywne przebywanie jest zdrowe, że najważniejszy jest ruch. A tu z ostatnich badań amerykańskich, brytyjskich, hiszpańskich i polskich nad wpływem niebieskich i zielonych przestrzeni na człowieka wynika zupełnie coś innego.

– Badania nad wpływem natury, również nasze, pokazują, że aktywność fizyczna nie jest warunkiem koniecznym, by czerpać korzyści z przebywania w lesie czy nad morzem. Ruch przynosi dodatkowy pożytek, ale nie od tego zaczyna się dobry wpływ przyrody na samopoczucie i na zdrowie. Poza tym długoletnie badania nad osobami w wieku 50 lat i więcej podważają powszechne przekonanie, że to aktywność fizyczna buduje zdrowie psychiczne. Ciąg przyczynowo-skutkowy zaczyna się nie od ruchu, ale od dobrego funkcjonowania poznawczego i psychicznego (dobry nastrój), które przekłada się na wyższy poziom aktywności fizycznej. Osoby doświadczające problemów psychologicznych czy poznawczych rzadziej są aktywne fizycznie. Z kolei ta niższa aktywność rzeczywiście potem rzutuje na ich pogarszające się funkcjonowanie poznawcze i koło się zamyka. Ten mechanizm oczywiście nie dotyczy tylko seniorów. I przeczy obiegowemu przekonaniu, że ruszam się i z tego powodu mam dobry nastrój. Może być też tak, że mam dobry nastrój i dlatego jestem aktywny fizycznie.

Wróćmy do wpływu natury – zieleni i wody – na człowieka.

DR EWA JAROSZ
– naukowczyni z Uniwersytetu Warszawskiego badająca wpływ przestrzeni zielonych i niebieskich na seniorów

– No właśnie, obalmy ten mit, że zieleń czy woda są niewiele znaczącymi dodatkami do aktywności fizycznej. Jest wręcz przeciwnie – one same w sobie mają ogromną wartość i wcale nie trzeba się ruszać, żeby doświadczyć pozytywnego oddziaływania niebieskich i zielonych przestrzeni na samopoczucie. Badania pokazują, że ludziom, którzy w laboratorium na ekranach oglądali naturę, istotnie obniżał się poziom stresu. Czyli wystarczy kontakt wzrokowy. A pomyślmy, ile bodźców niesie natura: śpiew ptaków, szum wiatru.

Są też bodźce zapachowe, np. zapach kwitnących drzew czy krzewów albo świeżo skoszonej trawy. Ten ostatni, co stwierdzono już dawno, podnosi kondycję intelektualną. Studenci wdychający zapach świeżo skoszonej trawy lepiej rozwiązywali testy.

– Poza tym niższy poziom zanieczyszczeń, jest też ciszej, czyli nie ma tzw. zanieczyszczenia dźwiękiem, hałasem, które obniża funkcjonowanie psychofizyczne. W moim badaniu wyszło jednoznacznie, że spacerując po ulicach, ludzie nie doświadczali tego dobroczynnego wpływu, jaki odczuwali, gdy np. byli w lesie.

Czyli czego?

– Obniżenia poziomu stresu i podniesienia poczucia zadowolenia. Co nie znaczy, że ruch na ulicy nie ma wartości. Ma. Dla starszych ludzi wychodzenie z domu jest bardzo ważne. Ale trzeba mieć świadomość, że różne miejsca mają różny wpływ. Poziom stresu, kiedy spacerujemy po ulicy, np. w drodze do sklepu, nie różni się od tego doświadczanego w pomieszczeniu – a przynajmniej nie u seniorów w moim badaniu.

Na zatłoczonej ulicy może rosnąć.

– Pewnie tak jest, zwłaszcza jeśli panuje hałas lub duży ruch. Wiele starszych osób boi się też przewrócić na ulicy, natomiast w otoczeniu natury doświadczało obniżenia poziomu stresu. W naszych badaniach mieliśmy także osoby, które nie spacerowały, tylko siedziały na ławce w lesie. Okazało się, że doznawały tych samych korzyści co aktywni fizycznie. To daje nadzieję ludziom z niepełnosprawnościami czy ograniczeniami ruchowymi, że również mogą skorzystać z dobrego oddziaływania przyrody, nawet gdy mają trudności z poruszaniem się czy w ogóle nie chodzą.

Ale seniorzy niechętnie się przedzierają do lasków.

– Tak, okazało się, że bliskość terenów zielonych wcale nie oznacza, że starsi ludzie będą z nich korzystać. Boją się dwóch rzeczy. Po pierwsze, jak już wspominałam, że się przewrócą. A po drugie, napaści, choć tego akurat my sami nie badaliśmy,

eprasa.pl cad94f54b8

ale pokazują to inne badania. Dlatego dobrze by było, żeby z wynikami naszej pracy zapoznali się decydenci miejscy i wiedzieli, że tereny zielone muszą być łatwo dostępne (czyli m.in. ścieżki muszą mieć w miarę możliwości równą nawierzchnię) i bezpieczne. W przeciwnym wypadku starsze osoby będą siedziały w domu, co będzie negatywnie wpływało na ich sprawność i samopoczucie psychiczne. Podsumowując, można tylko siedzieć na ławeczce w lesie, ale ławka pod blokiem to nie to samo.

Czyli wystarczy dotrzeć do ławeczki, usiąść na niej i już?

– W pewnym uproszczeniu – tak, chociaż to nie znaczy, że każdy doświadcza natury w ten sam sposób. Są badania, które pokazują zależność od doświadczeń człowieka na wcześniejszych etapach życia. Na przykład morze ma szczególnie uspokajający wpływ na ludzi, którzy w dzieciństwie spędzali czas nad morzem. Czyli ważne są nasza pamięć i skojarzenia z miejscem. Na pewno człowiek odbiera naturę na poziomie nie tylko zmysłów, ale również poznawczym, intelektualnym – czyli choćby w kontekście swoich przekonań i preferencji. Badania pokazują też, że różne rodzaje terenów zielonych, np. las czy łąki, wpływają na nas w różny sposób, co jest związane m.in. z tym, czy dana osoba mieszka na wsi, czy w mieście.

To znaczy?

– Drzewa bardziej działają na ludzi z miasta, a łąki na ludzi ze wsi. Z całą pewnością to oddziaływanie jest wieloaspektowe i na pewno będzie przedmiotem dalszych badań. Ale, co ważne, w naszej pracy dobroczynny wpływ natury odnotowaliśmy niezależnie od tego, czy badany był ze wsi, czy z miasta, a także bez względu na płeć, wiek i stan zdrowia.

Ryzyko depresji wśród seniorów jest niższe w miastach z wieloma obszarami zielonymi.

Czy zieloną przestrzenią jest też przydomowy ogródek?

– U seniorów w naszym badaniu w przydomowych ogródkach poziom zadowolenia rósł, ale stres utrzymywał się na tym samym poziomie co w domu. Klasyfikacja ogrodów czy parków miejskich jako przestrzeni niebieskich lub zielonych jest problematyczna, bo one są bardzo zróżnicowane. Na przykład w niewielkim parku czy ogródku przy ulicy może być taki sam poziom hałasu czy zanieczyszczenia powietrza jak w przestrzeni miejskiej. Poza tym wpływ ogródka jest trochę inny. Dla wielu osób to obszar dużej aktywności, bo pielą tam, grabią, sadzą, obserwują, jak rosną rośliny. To bardzo ważne, zwłaszcza dla osób starszych. Badania wskazują, że takie osoby potrzebują swoich małych projektów i zadań, typu posadzę coś, zajmę się roślinami, mój ogródek zależy ode mnie. Bo to je angażuje psychicznie i fizycznie i mają poczucie sprawczości. Czyli ogródek pełni różne funkcje, ale niekoniecznie daje odprężenie. Jest tam często aktywność fizyczna, ekspozycja na światło słoneczne i na zieleń, ale to trochę coś innego. Działa korzystnie, jednak odmiennie niż las czy morze. I z reguły domowy ogródek nie jest w badaniach zaliczany do przestrzeni zielonych.

A miejskie parki?

– Nie uwzględniłam ich w swojej pracy jako przestrzeni zielonych. Na pewno nie dają tyle samo, ile uzyskamy w kontakcie z lasem czy morzem, ale park miejski i każdy zielony obszar w mieście ma swoją wartość. Na przykład z badań japońskich naukowców sprzed dwóch lat wiadomo, że ryzyko depresji wśród seniorów jest niższe w miastach z wieloma obszarami zielonymi.

Kogo pani badała?

– Osoby w wieku 65 lat i więcej – nasz najstarszy respondent miał 98 lat. W sumie 200 osób (kobiet i mężczyzn) z różnych miejsc w Polsce. Zebraliśmy ok. 3 tys. raportów na temat ich codziennych aktywności. Moje badanie było częścią większego projektu, który analizował różne sposoby radzenia sobie z problemami wieku starszego: psychicznymi i fizycznymi. Wiemy, że wiele osób starszych zmaga się z zaburzeniami lękowymi i depresją. Sprawdzamy, jakie czynniki, modyfikowalne na poziomie jednostkowego stylu życia – czyli coś, co każdy z nas może zrobić – wpływają na samopoczucie. Kontakt z przestrzeniami zielonymi i niebieskimi wydaje się jednym z takich czynników.

Mogliśmy oddzielić wpływ lasu od wpływu aktywności fizycznej czy wpływu obecności przyjaciół lub rodziny, bo seniorzy często spacerowali w towarzystwie bliskich. Dzięki temu mamy pewność, że niższy poziom stresu wynikał z ekspozycji na naturę, choć faktem jest,

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cad94f54b8

że dodatkowo obniżał się dzięki obecności bliskich. Spacer w lesie z przyjaciółką wiązał się więc z niższym poziomem stresu niż spotkanie z tą samą osobą w domu czy w kawiarni – choć oba doświadczenia dawały podobny poziom zadowolenia.

A co podwyższało poziom stresu u seniorów?

– Wizyta u lekarza. Kontakt ze służbą zdrowia zawsze generował wielki wzrost stresu. Także pójście na cmentarz. Poza tym kilka przypadkowych, przykrych wydarzeń, które akurat udało nam się uchwycić w badaniu, np. smutna informacja telefoniczna.

Badaliście również poziom zadowolenia seniorów.

– Generalnie poziom zadowolenia (czyli na ile podobało im się to, co robią) zwiększał się u seniorów po wyjściu z domu. Nawet jeśli to były tylko zakupy czy spacer po mieście. Ale wyższe zadowolenie nie oznaczało niższego stresu. Stres na spacerze w mieście utrzymywał się na podobnym poziomie jak w domu. Tylko kontakt z naturą powodował, że jednocześnie wzrastało zadowolenie i obniżał się poziom stresu.

Wiemy, o ile się zmniejszał?

– Prawdopodobieństwo doświadczenia stresu w lesie lub w pobliżu wody było zredukowane o 80% w porównaniu z doświadczaniem stresu w pomieszczeniu (przede wszystkim w domu). Nasze badanie było krótkie, bo trwało tydzień. Obserwowaliśmy poziom stresu w danym momencie i w konkretnym otoczeniu.

Jak często trzeba chodzić do lasu, żeby natura zadziałała?

– W wielu publikacjach naukowych pada pytanie o częstość ekspozycji i czy to ma znaczenie. Stoi za nim przekonanie, że jak wyjdę do lasu raz, zapewne nic to nie da, że trzeba wychodzić regularnie, żeby nastąpiła jakaś zmiana. Nie ma na to jednoznacznej odpowiedzi. Część badań rzeczywiście podkreśla, że dobroczynny wpływ zielonych i niebieskich przestrzeni to efekt regularnej ekspozycji. Ale inne badania, takie jak nasze, pokazują, że nawet jednorazowy kontakt wiąże się z niższym poziomem stresu. Warto dodać, że nasze badanie realizowane było zimą i wczesną wiosną. Można się spodziewać, że wpływ natury latem jest silniejszy. Mimo to nawet zimą wiąże się z redukcją stresu i wzrostem zadowolenia w tym konkretnym momencie. Natomiast częstotliwość kontaktu najprawdopodobniej ma znaczenie w odniesieniu do korzyści długoterminowych.

Jak długo trzeba siedzieć na tej ławce w lesie? Ile minut musi trwać spacer nad morzem, żeby był efekt?

– Nie ma jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie, bo na samopoczucie wpływa bardzo wiele czynników. W naszych badaniach widać zależność poziomu zadowolenia od pory dnia – jest ono wyższe po południu. Znaczenie ma również indywidualne nastawienie czy wcześniejsze doświadczenia, jak wspomniany już przeze mnie pobyt nad morzem w dzieciństwie. Myślę, że ważne jest także, aby wychodząc do lasu czy nad morze, po prostu przestać zerkać na zegarek i przestawić się na tzw. czas wydarzeń – jak w społeczeństwach pierwotnych. Czyli wyjdźmy z lasu, gdy słońce zacznie zachodzić, przejdziemy ścieżkę do końca albo poczujemy, że już nam wystarczy.

> Ruch przynosi dodatkowy pożytek, ale nie od tego zaczyna się dobry wpływ przyrody na zdrowie.

Czy naukowcy wiedzą, dlaczego natura tak dobrze działa?

– Tych czynników na pewno jest wiele, myślę, że nie wszystkie jeszcze są znane, ale zbadano, że kolory zielony i niebieski działają na nas relaksująco. Przy czym niebieski jest bardziej odprężający dla oczu niż zielony. Z całą pewnością przyroda czy otoczenie wpływa na mózg już na poziomie pozapoznawczym lub neurologicznym. Na przykład są badania, które pokazują, że wśród dzieci dorastających na obszarach miejskich częstotliwość występowania tików jest wyższa. Ponieważ te badania były prowadzone w Chinach, może to być związane z poziomem zanieczyszczenia powietrza w miastach. Są też badania europejskie pokazujące zróżnicowanie w częstości występowania różnych zaburzeń nastroju w zależności od płci, temperatury i nasłonecznienia. Jest multum czynników i nie ma prostej czy uniwersalnej zależności.

Termin zielone i niebieskie przestrzenie stał się ostatnio bardzo modny, a badania wpływu przyrody na człowieka nasiliły się. Dlaczego?

– Myślę, że zaczęliśmy bardziej doceniać naturę, która jest zagrożona. A nauka stara się dawać rzetelne informacje także decydentom, politykom, pokazując wagę obszarów zielonych i niebieskich dla zdrowia publicznego. Chcemy uświadomić, jak bardzo natura jest nam potrzebna. Taka była też motywacja do podjęcia moich badań. Choć nie tylko. Chciałam przede wszystkim dać seniorom praktyczne wskazówki, co mogą zrobić, żeby poczuć się nieco lepiej.

Czy pandemia miała wpływ na tego rodzaju badania?

– Zwiększone zainteresowanie niebieskimi i zielonymi przestrzeniami zaczęło się dużo wcześniej. Natomiast w pandemii w Polsce obserwowaliśmy, jak bardzo potrzebne są takie badania. Zamykanie lasów, a zwłaszcza wielomiesięczne izolowanie seniorów w domach opieki społecznej udowodniły, że decydenci nie mają pojęcia o wpływie natury na człowieka i niewiele wiedzą o podstawowych potrzebach ludzi starszych. Można było rozwiązać to lepiej i bardziej po ludzku, nikogo przy tym nie narażając. W centrum Wiednia w miejskim parku, przy którym stoi dom seniora, wydzielono część terenu do wyłącznej dyspozycji osób starszych. Niestety, u nas chyba pokutuje myślenie, że kontakt z naturą to fanaberia albo aktywność stricte wakacyjna. Tymczasem należałoby raczej namawiać ludzi, żeby chodzili do lasu regularnie i niezależnie od grupy wiekowej. Wszystkie korzyści wynikające z kontaktu z naturą są darmowe i dostępne dla każdego.

Małgorzata Szczepańska-Piszcz
m.piszcz@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cad94f54b8

To nie płace nakręcają inflację!

Rząd wyszedł naprzeciw postulatom OPZZ, zgadzając się, aby spółki energetyczne w 2023 r. osiągnęły zysk minimalny

Andrzej Radzikowski

Listopadowe posiedzenie Rady Dialogu Społecznego, z udziałem premiera Mateusza Morawieckiego, poświęcono polityce energetycznej w Polsce.

W ocenie strony rządowej ceny energii elektrycznej oraz gazu i paliw stanowią główną przyczynę wzrostu cen. Dlatego rząd wdrożył zestaw konkretnych działań w celu zmniejszania inflacji: obniżenie cen poprzez zmniejszenie podatku VAT i akcyzy oraz wprowadzenie programów wsparcia zarówno dla odbiorców indywidualnych, jak i dla firm. Według przyjętych założeń koszt zamrożenia cen energii elektrycznej dla poszczególnych grup odbiorców indywidualnych zostanie pokryty przez spółki energetyczne, co oznacza, że nawet 10 mln z 14 mln gospodarstw domowych będzie chronionych przed wzrostami kosztów energii elektrycznej w 2023 r. Jak zauważył premier Morawiecki, mamy czasy nadzwyczajne, które wymagają wdrożenia nadzwyczajnych mechanizmów legislacyjnych, włączając w to obniżone taryfy energetyczne dla sektora małych i średnich przedsiębiorstw oraz przedsiębiorstw energochłonnych.

OPZZ również uważa, że kluczem do poskromienia inflacji jest racjonalna polityka energetyczna. Od dwóch lat ostrzegamy, że wydobycie węgla poniżej zapotrzebowania krajowego rynku może wywołać istotne problemy. Zwracaliśmy uwagę, że opłaty za uprawnienia do emisji dwutlenku węgla były w zbyt małym stopniu przeznaczane na inwestycje w unowocześnienie energetyki i budowę odnawialnych źródeł energii. Dlatego oczekujemy szybkiej nowelizacji polityki energetycznej i jej konsultacji z partnerami społecznymi. Wnioskujemy ponadto o uznanie węgla za podstawowe paliwo na krajowym rynku energetycznym do czasu efektywnego zastąpienia pozyskiwanych z niego mocy. Zabierając głos na forum RDS, wskazałem, że Krajowy Plan Odbudowy powinien stanowić m.in. systemowe wsparcie unowocześnienia technologii przetwórstwa węgla. Niepokój budzi fakt, że jak dotąd rządowi nie udało się tych środków pozyskać. OPZZ popiera te kierunki polityki rządu, które budują wsparcie dla najsłabszych grup społecznych. Jednocześnie rekomendujemy strukturalne zamrożenie cen prądu i paliw dla wszystkich odbiorców, jak to nastąpiło m.in. we Francji, gdzie inflacja pozostaje na poziomie 6%. Zwracam uwagę, że polskie firmy energetyczne, stanowiące własność państwa, odnotowują wysokie zyski, a to oznacza, że istnieje możliwość wykorzystania tych aktywów w postulowanych wyżej kierunkach.

Zgodnie z przedstawioną przez premiera informacją do końca tego roku zostanie zaprezentowany konkretny plan inwestycyjny w sektorze węgla kamiennego w Polsce, jak również zrewidowany dokument nt. strategii energetycznej Polski na lata 2020-2040. Strona rządowa zastrzega jednak, że inwestycje w nowe moce wydobywcze węgla są kapitałochłonne i wieloletnie. To niesie ryzyko, że za cztery-pięć lat ich efektywność ekonomiczna może być dyskusyjna. Dodatkową kwestią jest stanowisko Komisji Europejskiej, zasadniczo niechętne działaniom rozwojowym tego sektora. Dlatego rząd planuje inwestycje krótkoterminowe, zakładając, że polityka importu węgla zagranicznego jest polityką prowadzoną w doraźnym, krótkim przedziale czasowym.

Odnotowujemy z zadowoleniem, że rząd wyszedł naprzeciw postulatom OPZZ, zgadzając się, aby spółki energetyczne w 2023 r. osiągnęły zysk minimalny („zysk zero +"), przeznaczając pozostałą jego część na zamrożenie cen energii dla ostatecznych odbiorców w Polsce. Rząd podzielił tutaj także opinię strony związkowej, że zadaniem państwa powinno być wsparcie najsłabszych i najbardziej potrzebujących. Temu ma służyć całość mechaniki zamrażania cen i podatku VAT oraz obniżki innych podatków. Mając na uwadze możliwości systemowej redukcji cen energii, premier skierował do członków RDS prośbę o wsparcie postulatu rządu skierowanego do Komisji Europejskiej w sprawie czasowego zamrożenia cen w handlu uprawnieniami do emisji dwutlenku węgla (ETS). W opinii polskiego rządu może to mieć istotny wpływ na osłabienie zjawisk inflacyjnych. Ten postulat zyskał nasze poparcie.

Rekomendujemy strukturalne zamrożenie cen prądu i paliw dla wszystkich odbiorców.

Jako związkowcy nie możemy jednak ignorować presji pracowników na wzrost wynagrodzeń, szczególnie w sferze finansów publicznych. Oczekujemy wysokiej jakości usług, które mogą zapewnić tylko wysoko wykwalifikowani i dobrze wynagradzani pracownicy. Dlatego nie akceptujemy proponowanych przez rząd podwyżek dla pracowników budżetówki na rok 2023, wynoszących zaledwie 7,8%. Obecny poziom inflacji przewyższa tę ofertę o ponad 10%! Strona rządowa uważa jednak, że ta propozycja jest właściwa. Powołuje się przy tym na „licznych ekspertów pracodawców", którzy wzywają rząd do ograniczeń wzrostu płac, ponieważ – jak twierdzą – to one nakręcają spiralę inflacji. Uważamy, że w tej sprawie rząd pozostaje niekonsekwentny. W wielu debatach wskazuje przecież, że to wzrost cen nośników energii odpowiada za systemowy wzrost cen towarów i usług. Jako OPZZ stanowczo i konsekwentnie protestujemy przeciw przerzucaniu większości kosztów kryzysu na barki pracownic i pracowników.

Andrzej Radzikowski jest przewodniczącym Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl cad94f54b8

Zrównoważona, integracyjna i godna praca dla wszystkich!

Piotr Ostrowski

Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych wraz z partnerami:

• Norweską Konfederacją Związków Zawodowych (Landsorganisasjonen i Norge), największą centralą związkową w Norwegii,

• Stowarzyszeniem Interwencji Prawnej, jedną z największych w Polsce organizacji pozarządowych zorientowanych na pomoc migrantom i uchodźcom,

• Międzyzakładowym Związkiem Zawodowym Pracowników Ukraińskich w Polsce, jedynym związkiem zawodowym w Polsce działającym na rzecz obrony praw i reprezentowania interesów pracowników cudzoziemskich w Polsce,

zrealizowało, ze wsparciem Norwegii poprzez Fundusze Norweskie 2014-2021, w ramach programu „Dialog Społeczny – Godna Praca", projekt SIDA – Sustainable, Inclusive and Decent Work for All (zrównoważona, inkluzywna i godna praca dla wszystkich).

W projekcie wykorzystaliśmy norweskie doświadczenia dotyczące polityki i działań skierowanych do pracowników migrujących. Na podstawie doświadczeń norweskich związków zawodowych oraz wykorzystując wiedzę i doświadczenia praktyczne ekspertów polskich, uzyskaliśmy narzędzia do jak najlepszego przygotowania związkowców z OPZZ do działania na rzecz pracowników migrujących na polskim rynku pracy i wraz z nimi. Chcemy, aby godna praca była dla wszystkich!

Mimo ograniczeń związanych z pandemią udało się nam zrealizować wszystkie założenia projektu SIDA, mianowicie:

• zorganizowaliśmy cykl spotkań w Polsce i w Norwegii, w których wzięło udział ponad 200 osób, w tym przeszkoliliśmy podczas warsztatów ponad 100 osób; z kolei w seminariach wdrożeniowych wzięło udział ponad 120 uczestników;

• powołaliśmy doradcę ds. godnej pracy i polityki migracyjnej (Natalia Kolesnik, OPZZ), który udzielał długoterminowego wsparcia telefonicznie, osobiście i mejlowo; a także eksperta odpowiedzialnego za projekt założeń do Strategii Polityki Migracyjnej OPZZ dla Polski (Katarzyna Duda, OPZZ);

• nakręciliśmy pięć filmików na kanał YouTube (Polski z Maćkiem/Польский язык с Мачеем);

• opublikowaliśmy wiele artykułów na temat zagadnień migracji i okołozwiązkowych w mediach ogólnopolskich;

• wdrożyliśmy podręcznik Katarzyny Słubik „Związki zawodowe i migracja. Wskazówki i narzędzia do opracowania modelu godnej pracy dla wszystkich".

Wszystko po to, by informować migrantów, szkolić polskich pracowników i rozpowszechniać w zakładach pracy wiedzę o godnej pracy dla każdego, bez względu na płeć, narodowość, wiek itd.

Za realizację projektu SIDA zostaliśmy zaproszeni przez Innovation Norway do zaprezentowania działań i osiągnięć przed Ministerstwem Funduszy i Polityki Regionalnej oraz grantodawcami z Europy, co traktujemy jako znaczące wyróżnienie. Kilka dni temu otrzymaliśmy też informację o otrzymaniu dofinansowania na realizację drugiego etapu projektu, który będzie się koncentrował na pomocy uchodźcom z Ukrainy.

Zapraszam do odwiedzenia strony internetowej projektu: sida-project.pl, gdzie można znaleźć wszystkie materiały i więcej informacji.

Piotr Ostrowski jest wiceprzewodniczącym Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych

Sustainable, Inclusive and Decent Work for All
Norway grants
Innovation Norway

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl cad94f54b8

Oko w oko

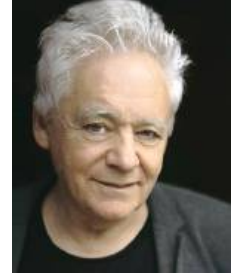

Tomasz Jastrun

Mowa ognia

Jadę pociągiem do Szczecina, ponad sześć godzin, na powrót aż siedem. Mówi się, że coś się robi dla zabicia czasu, ale ja nie chcę zabijać tych godzin, są bardzo żywe i z przyjemnością czytam trzeci, więc ostatni potężny tom „Dziennika" poety Jana Lechonia. Już zupełnie przesiąkłem tym Lechoniem, a „Dziennik" coraz bardziej mi się podoba, choć przy pierwszym czytaniu przed laty wydawał się nudny i mdły. Warto być podejrzliwym wobec dawnych swoich sądów. Trochę za mało w tym dzienniku „mięsa życia", wielka szkoda, z tą mięsną wkładką byłby to dziennik znakomity, jest głęboki intelektualnie, ileż trafnych myśli o sztuce, literaturze, malarstwie, muzyce, a to na zasadzie kontrastu świetnie smakuje z prozą życia i z tym, co intymne. Ciekawe, że Lechoń nie znosi Miłosza, obsesyjnie go nie lubi i nie ceni, podobnie mojego ojca. Wybaczam mu to.

•

Z dworca taksówką do zamku, gdzie mam nocleg. Narzekaliśmy z kierowcą na brak parkingu przy pachnącym nowością dworcu. Rewolucja dworcowa w Polsce trwa, coraz więcej nowych lub wyremontowanych pięknych dworców, coraz mniej starych i w ruinie. A dworzec to przecież brama do miasta. Zabrało nam to 30 lat, trochę dużo. Co do braku parkingu zaś, taksówkarz mówi: „Bo w tym kraju wygodnie mają tylko politycy". To westchnienie „w tym kraju" przetrwało z czasów Polski Ludowej. Taksówkarz wyjmuje walizkę z bagażnika, ostrzegam, że ciężka, są w niej książki. Mówi: „Kultura wiele waży". Ja na to, że coraz mniej.

Spotkanie autorskie na zamku z „Albumem rodzinnym". Byłem tu już co najmniej cztery razy, w różnych latach. Spotykam na dziedzińcu Mirka Witkowskiego. Idziemy na kawę do zamkowej restauracji. Kolega z czasów opozycji, dzielny, drukował podziemne druki w mieście, w którym mało kto na to się odważał. Pracował ostatnio na zamku, teraz na emeryturze. Pamiętam, poznaliśmy się, gdy przyjechał do Warszawy w 1978 r. Przyprowadził go do mnie Witek Łuczywo, mąż Heleny, w ich pobliskim mieszkaniu była redakcja „Robotnika". Spisałem wtedy jego relację, jak w grudniu 1970 r. był świadkiem w Szczecinie nocnego, tajnego pochówku zabitych w czasie manifestacji. Z bólem rozmawiamy, jak wielu z naszych kolegów z dawnej konspiracji popiera PiS. Walczyliśmy wspólnie o demokrację, to była odwaga, szczególnie na prowincji, a teraz niektórzy z nas popierają tych, co demokrację niszczą.

Mój pokój na zamku zupełnie niehotelowy, ale ma wdzięk innej epoki, kiedy wszystko było biedniejsze niż obecnie. Zegar zamkowy wybija północ, gdy milknie, zdaje mi się, że słyszę, jak Szczecin oddycha.

•

Wiadomość, że polska drużyna piłkarska, lecąc samolotem do Kataru, była eskortowana do granic przez myśliwce. Ten samolot powinien mieć skrzydła przemalowane na husarskie. Ciągle to dmuchanie balonu narodowego, rzygać się chce. Efekt jest taki, że we wtorkowym meczu z Meksykiem kibicuję Meksykowi. Z powodu tych skrzydeł husarskich, a też dlatego, że nie trawię polskich kibiców. Kibice z innych nacji pewnie nie lepsi, ale ich wycie mnie nie dotyczy.

I już po meczu, nędzny remis po bardzo złej grze drużyny. Nic nie pomogły myśliwce. Ogólnonarodowy lament i samobiczowanie.

•

Mała, biedna polska wioska Przewodów nagle na ustach całego świata. Jaka szkoda, że to jednak nie była rosyjska rakieta, tylko rykoszet ukraińskiej. Jedna zaleta tej sytuacji, że gdyby była rosyjska, PiS prężyłoby muskuły, straszyło lud wojną, a lud jak trwoga, to przytula się do władzy. Siłą PiS są przestraszeni emeryci. Z drugiej strony to zdarzenie przypomina nam, że III wojna światowa jak Chrystus może się narodzić w małej wiosce, gdy trafiony zostanie w paszarni czerwony, stary traktor.

Siłą PiS są przestraszeni emeryci.

•

Czytam listy mojego ojca do brata, widzę, że jednak zacząłem idealizować czasy Polski Ludowej. W 1960 r. ojciec pisze: „Kiedy wieczorem przejeżdżam czasem przez Warszawę, doznaję smutku i przygnębienia: chłód, mrok, chamstwo, powszechna ponura nieżyczliwość, która udziela się nawet kamienicom. Ludzie chętnie siedzą u siebie w zamkniętej przestrzeni, inaczej niż w krajach, gdzie nawet powietrze pełne jest obietnic. (...) Brak nadziei, to wszystko, co można powiedzieć, gdy się chce określić nastroje w Warszawie". A w wagonie tylko ja czytam, wszyscy oglądają filmy na komórkach lub coś skubią na laptopach.

•

Rozpalam kominek po raz pierwszy w tym roku, ale z nową wiedzą, że tak też zatruwamy środowisko, więc z wyrzutami sumienia. Lubię patrzeć, jak ogień faluje, i słuchać, jak mówi. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cad94f54b8

Dominika Tworek

Depresyjna sinusoida

We wspieraniu chorych z depresją najbardziej liczy się obecność, podtrzymywanie kontaktu i nieocenianie cudzych przeżyć

– Nasze życie przypomina sinusoidę – mówi Karolina, żona Wojciecha, zmagającego się z depresją. 12-letnie małżeństwo ma za sobą lepsze i gorsze okresy. Gdy następują miesiące epizodu depresyjnego, choroba determinuje ich codzienność. Odbiera Wojciechowi energię do życia. Czyni go markotnym, osowiałym, przygaszonym. Po pracy brakuje już siły na codzienne czynności. Zajmowanie się dwójką kilkuletnich dzieci i wykonywanie obowiązków domowych spoczywa wtedy na barkach Karoliny, która również pracuje zawodowo.

Złość, bezradność, przemęczenie

– Jak choroba odpuszcza, mąż znów jest pełnym werwy człowiekiem. Ma chęć wyjechać na wakacje, pójść do kina, do teatru czy wyjść z dzieciakami na plac zabaw. Po prostu chce mu się żyć. Natomiast w depresji nie wykazuje żadnej inicjatywy. Co prawda, przystaje na moje propozycje spędzania wolnego czasu, ale robi to z obojętnością, a często nawet z niechęcią. Ja obmyślam plan na weekend, żeby zapewnić rozrywkę rodzinie, a od męża słyszę: „Możemy jechać, jak już musisz". No i jedziemy, ja się cieszę, dzieciaki skaczą z radości, a on wykonuje wszysko od niechcenia, nie ma w tym ani trochę przyjemności. To bardzo frustrujące. Ja się staram, a wszystko jest na nie. W kółko tylko „Nie chce mi się" albo „Nie mam ochoty" – opowiada 40-latka.

Karolina rozumie, że depresja jest chorobą, i z całych sił stara się wspierać męża. Ale gdy odciąża go od obowiązków, sama jest przemęczona. Ponieważ choruje na polineuropatię, chorobę neurologiczną, zbyt duże zmęczenie powoduje u niej nieustanne bóle głowy. Starając się pomóc Wojciechowi, sama robi sobie krzywdę, a jej życie wewnętrzne przypomina gorzki koktajl – mieszaninę bezradności i złości.

– Mąż nie załamuje się kompletnie. Codziennie rano wstaje z łóżka, a najwięcej życiowej satysfakcji daje mu wtedy kontakt z dziećmi. Ale gdy tylko jest w większym dołku, widzę, że i one go irytują. Że chciałby spokoju, którego nie może zaznać. Przez to jest permanentnie rozdrażniony i przytłoczony. Mnie najbardziej boli, że odcina się ode mnie. Także emocjonalnie. Nasz związek traci na jakości. Mąż nie chce wtedy rozmawiać. Nie wspominając już o sferze seksualnej, która nie istnieje. To ogromnie wpływa na moje poczucie kobiecości i satysfakcji z tej relacji. Jego niedostępność emocjonalna powoduje, że czuję się odrzucona. Jestem bezsilna wobec jego choroby. Z drugiej strony wiem, że to nie jest on – tłumaczy Karolina. – Że sam chciałby żyć inaczej. Że to nie jego wina.

> Chciałabym, żeby depresja przestała być częścią naszego życia, chociaż już nawet trudno mi to sobie wyobrazić.

Mąż zakończył już pięcioletnią psychoterapię oraz leczenie farmakologiczne. Przez dłuższy czas był w dobrej kondycji psychicznej, ale ostatnio znów następuje spadek nastroju. Dziś Karolina obawia się kolejnego nawrotu choroby: – Dla Wojtka zewnętrznym motywatorem do działania jest utrzymanie rodziny. Bardzo chciałby spłacić zaciągnięty kredyt. A cała otoczka wokół nas – kryzys gospodarczy czy wojna tuż za naszą granicą – negatywnie wpływa na jego nastrój. Pojawiają się

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cad94f54b8

obawy, że nie uciągniemy. Gdyby mąż stracił teraz pracę, na pewno by się załamał. Mnie również przeraża sytuacja, do której doprowadza nas rząd. Obydwoje martwimy się, że zimą nie będziemy mieli czym ogrzać domu. Że wisi nad nami perspektywa suszy, braku wody, bioterroryzmu. Oboje budzimy się w nocy z niepokojem o naszą przyszłość. Dlatego chcę zmobilizować męża, żeby wrócił na terapię. Boję się, że te wszystkie czynniki sprawią, że znów się załamie.

– Bardzo chciałabym, żeby depresja przestała być częścią naszego życia, chociaż, szczerze mówiąc, już nawet trudno mi to sobie wyobrazić – podsumowuje Karolina. – Cieszę się jednak, że nie tkwię w tym doświadczeniu sama. Mam wśród znajomych osoby, które leczą się na depresję. Ogromnie pomaga fakt, że możemy o tym otwarcie i szczerze między sobą rozmawiać.

Współczucie i wyrozumiałość

– Było mi bardzo przykro, gdy obserwowałam, jak mąż ciągle płacze – dzieli się przeżyciami Magdalena Frąckowiak. – Najgorsze, że nie znałam przyczyny jego cierpienia. Widziałam jego bezsilność i kompletnie nie wiedziałam, czym jest spowodowana. Zdziwiło mnie, że Kuba zamknął się w sobie i nie chciał mówić o tym, co przeżywa, bo przez ostatnie 15 lat tworzyliśmy otwartą, szczerą relację. Mąż był zawsze bardzo odważny, otwarty na nowe wyzwania. Ja natomiast bardziej lękowa, stopująca. Odkąd pamiętam, to on dawał mi poczucie bezpieczeństwa i mobilizował do działania, a od kiedy choruje na depresję, brakuje mi motywacji z jego strony, współdziałania. Teraz to ja częściej wyciągam do niego pomocną dłoń. Wraz z synem wymyślamy różne sposoby na wspólne spędzanie czasu, takie jak basen czy wędrówki po lesie, aranżujemy też kontakt z innymi ludźmi, z resztą rodziny. Staram się, żebyśmy robili wszystko to, co robiliśmy do tej pory – o czym wiem, że sprawia mu przyjemność.

Po raz pierwszy Magdalena zetknęła się z depresją jako 20-letnia dziewczyna, kiedy choroba dotknęła jej babcię. 80-letnia kobieta – wcześniej uosobienie aktywności – załamała się po śmieci męża i brata.

Był taki tydzień, że Kuba nie miał ochoty wstawać z łóżka. Myślę, że bezpośrednią przyczyną jego choroby jest ogromny stres, jakiego doświadczał w pracy.

– Dobrze, że dziś społeczna świadomość na temat depresji się poszerza. 20 lat temu moje ciocie podjęły decyzję, że babcia nie będzie wychodziła z domu, bo w małej miejscowości depresja to był wstyd. Staruszka straciła cały sens życia i zamknęła się w sobie. A rodzina nie dała jej światła, że może z tego wyjść. Miałam o to duży żal. Byłam wściekła. Sama nie mogłam zajmować się babcią, bo mieszkałam w innym mieście i nie do mnie należała ta decyzja. Odpuściłam walkę, a babcia kolejne 15 lat spędziła na krzesełku w dużym pokoju, nie opuszczając domu – wspomina Magdalena.

Dwie dekady później na depresję zapadła też jej siostra. Przez samotność (pracujący za granicą mąż) oraz nadmiar obowiązków (opieka nad trójką dzieci) straciła siły do wykonywania codziennych czynności. Magdalena opowiada: – Pamiętam, że siostra cały czas płakała. Nic jej nie cieszyło, nie widziała żadnych perspektyw na przyszłość. Była tak przytłoczona, że przestała wychodzić z dziećmi na dwór. A był środek lata! Na szczęście, ze względu na dzieci, zdecydowała się na leczenie. Leki pomogły. Przez pierwszy tydzień czuła się po nich koszmarnie, ale po tygodniu zaczęła się uśmiechać i wychodzić z domu. Zareagowała w porę. Od dwóch lat farmakologia oraz wsparcie bliskich (codziennie rozmawiamy przez telefon, choćby parę minut) pomaga jej w chorobie.

Doświadczenia z przeszłości nauczyły Magdalenę odczytywać sygnały potencjalnej depresji wśród bliskich. Dlatego na nadmierne przygnębienie, rozdrażnienie i niekontrolowane wybuchy płaczu u męża zareagowała od razu – współczuciem, wyrozumiałością, życzliwością i dobrocią.

– Był taki tydzień czy dwa, że Kuba nie miał ochoty wstawać z łóżka. Niby czytał książki, ale widziałam, że zachowuje się dziwnie, nienaturalnie. Że jest zamknięty w swojej głowie, pogrążony w myślach. Gdy pytałam, co w nim siedzi, najczęściej słyszałam: „Pustka". Mimo że wypełniał swoje obowiązki, widziałam w nim zmianę. Zachowywał się inaczej niż zwykle. Myślę, że bezpośrednią przyczyną jego choroby jest ogromny stres, jakiego doświadczał w pracy. W zasadzie był to mobbing ze strony przełożonych, według których mąż miał być dla firmy 24 godziny na dobę przez okrągły tydzień. Wracał późno do domu, a jego telefon dzwonił nawet w środku nocy. Kuba żył w takim napięciu przez kilka miesięcy i coraz bardziej zamykał się w sobie. Aż w końcu został zwolniony, bo nie odpisał na mejla, gdy był na urlopie. To był dla niego straszny cios, bo on żył pracą, cały czas podnosił swoje kwalifikacje. Właśnie po rozstaniu z firmą pojawiły się stany depresyjne. Nie są nasilone, bo mąż jest bardzo świadomym człowiekiem – studiuje psychologię, medytuje, uprawia sport. Jest świeżo po wizycie u psychiatry i mimo sceptycyzmu wobec leków rozważa też farmakologię.

Osoby wspierające bliskich w depresji też mają prawo do różnych emocji: zmęczenia, złości, poczucia frustracji.

Kiedy dopytuję Magdę o jej własne uczucia, słyszę: – Wiadomo, że

eprasa.pl cad94f54b8

jest mi przykro. Zawsze chce się przecież jak najlepiej dla drugiej osoby, która jest nam bliska, może nawet bardziej niż dla siebie. I kiedy widzi się, że ona cierpi, za wszelką cenę chce się jej ulżyć. Pomóc. Myślę wtedy: mam w nosie wszystko inne, reaguję, bo cię kocham, musimy to ogarnąć, bo jesteś dla mnie ważny/ważna. Uważam, że dobro drugiego człowieka zawsze powinno być dla nas priorytetem.

Słuchać, nie oceniać

– Często, kiedy bliska nam osoba doświadcza depresji, możemy czuć się bezradni i niekompetentni. Czasami bardzo chcielibyśmy pomóc, ale nie wiemy jak i nie chcemy zaszkodzić. To zupełnie naturalne. Warto wówczas szczerze powiedzieć: „Nie zawsze rozumiem, co przeżywasz, ale jestem obok, jesteś dla mnie ważny/ważna, chętnie cię wysłucham". I pytać wprost: „Jak mogę ci pomóc?". Najważniejsze, żeby być obecnym, słuchać i nie oceniać przeżywanych przez tę osobę emocji. Można delikatnie zachęcać do wspólnych aktywności. Natomiast nie warto udzielać rad, kiedy nie jesteśmy o to proszeni, nie pośpieszać i nie krytykować. Najważniejsze są podtrzymywanie kontaktu, obecność i nieocenianie cudzych przeżyć. Pamiętajmy, że depresja wpływa na postrzeganie świata, więc lepiej poczekać z ważnymi decyzjami do momentu, kiedy stan psychiczny bliskiej osoby się ustabilizuje – radzi psycholożka i psychoterapeutka Magdalena Oleśniewicz.

Ekspertka podkreśla, że osoby wspierające swoich bliskich w depresji również mają prawo do różnych emocji: zmęczenia, złości, poczucia frustracji. Podsumowuje: – Należy pamiętać, że każdy „pomagacz" musi też zadbać o siebie i swoje potrzeby. Chciałabym dać znać takim osobom, że czasami same mogą mieć gorszy nastrój i zły dzień, to naturalne. Warto budować sieć wsparcia i być uważnym na swoje potrzeby. Dbać o momenty, kiedy zajmujemy się czymś innym. Czasem to może być samotne wyjście na spacer lub spotkanie z innym znajomym. Zapytanie siebie: „Jak ja się dzisiaj czuję?", „Co sprawia mi radość i przyjemność?". Dobrze jest dbać o inne relacje i aktywności, nie bać się prosić o pomoc. Trudno poradzić sobie z czyjąś depresją samodzielnie. Nie wahajmy się prosić o wsparcie innych, dbajmy o inne obszary naszego życia. A kiedy poczujemy, że to dla nas za dużo, nie bójmy się szukać profesjonalnego wsparcia psychologa, psychoterapeuty, lekarza.

Trudno poradzić sobie z czyjąś depresją samodzielnie. Nie wahajmy się prosić o wsparcie innych.

Dominika Tworek

eprasa.pl cad94f54b8

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Pod skórą

Latem tatuaże wreszcie mogą swobodnie pokazywać nam swoje przezrocza albo – jak kto woli – walić nas po oczach. I tak właśnie było, kiedy spotkałam Beatę. Pod pachą miała karimatę (i tu trzeba powiedzieć rymom stop, bo mają tendencję do przekształcania się w nerwicę natręctw). Trzymała ją w taki sposób, że gąbczasty arkusz pianki przycisnął i podwinął dół koszulki, odsłaniając dziwne, poprzeczne kreski, które tworzyły komiksowy deszcz na jej brzuchu. Wyglądało to tak, jakby ktoś wziął do ręki długopis i porysował Beatę z nudów – trochę byle jak. Na moją prośbę uniosła wyżej koszulkę i zrozumiałam, że te kreski składają się w misia. Dużego, rysunkowego misia, z konkretną łapą i własnym, wielkim brzuchem. Czy wcześniej widywałam Beatę tylko zimą? Jak to się stało, że dopiero teraz niedźwiedź ujawnił swą naturę?

Kiedy Przemo rozebrał się przed nami pierwszy raz, też było lato. Kręciliśmy w jego mieszkaniu śmieszne filmiki i właśnie zrobiliśmy sobie przerwę. Operator palił w oknie, obserwując psy, które obwąchiwały sobie tyłki przy piaskownicy. Usiadłam na krześle, bezmyślnie odświeżając skrzynkę. Przemo właśnie zmieniał koszulkę do następnego ujęcia; był biały i chudy, jakiś kunowaty, lisowaty. Ale potem odwrócił się i zobaczyłam jego plecy, całe w różach wypełnionych jaskrawym kolorem. Kwiaty nakładały się na siebie jak chipsy Pringles: było gęsto i bardzo czerwono. Od tamtej pory zawsze, kiedy spotykaliśmy się przypadkiem w jakimś mieście – w teatrze, na imprezie – myślałam o tym jego ogródku, że sobie tam rośnie żyzny pod jedną czy drugą bluzą.

Są tatuaże neutralne, ale raz na jakiś czas dostrzegam taki, który dosłownie kolonizuje człowieka. Nie dlatego, że jest suty, bujny, wyniosły, ale ponieważ coś aktywnie komunikuje, jest jawnym opozycjonistą swojego nosiciela albo jawi się jako szczególnie urodziwy i otwiera jak ostryga. Tego rodzaju zjawisko widziałam pięć lat temu na wernisażu we wrocławskiej galerii Miejsce przy Miejscu. Kiedy spory tłumek zgromadził się w jasno oświetlonej sali i młody kurator oddał głos artyście, zobaczyłam przed sobą granatowego wieloryba, który leniwie brnął przez sztuczne światło galerii – to w górę, to w dół – na miękkim, jasnym przedramieniu fotografa. Ten zaś wielorybem bronił się przed ludźmi, którzy, na boga, mają aż dwoje oczu i każda para czegoś chce. W każdym razie wielorybowi opartemu na delikatnych liniach, o kształcie wypełnionym atramentem – pasowało takie tempo. Raz pokazywał wybrzuszony grzbiet (czy grzbiet może być „wybrzuszony"?), raz chował się w meandrach gestykulacji swojego (o)żywiciela.

Ostatnio znów mnie poniosło. Po promocji debiutanckiego tomu kolegi Jakuba Sęczyka – udaliśmy się z jednej księgarni do drugiej (w której jest koncesja) i tam spoczęliśmy pozornie cisi i pozbawieni energii. Wkrótce kolega Filip Matwiejczuk zaczął czytać swój wiersz, owijając (sobie) wokół palca całą salkę. Jacyś obcy ludzie dosiadali się, stawiali piwo i przysłuchiwali się czytającym. Dziwny to był kościółek i – pardon – rzadki. Dlatego w ogóle się nie dziwię tym poetom, którzy wkrótce zaczęli się rozbierać – nie wiadomo, czy to na skutek brzmienia wierszy, czy może krążenia (we) krwi – w każdym razie zupełnie nie latem, zupełnie nie na ulicy zdradzili powszechnie swoje tatuaże. Jakież było moje zaskoczenie, kiedy na plecach poety skromnego, introwertycznego i ubranego niespektakularnie zobaczyłam kłębiące się świerszcze, tworzące chmury krzyżyków. Zaś na udzie poety przyjezdnego i uwielbianego (słusznie) tkwił wiersz innego poety – Piotra Janickiego. Wiersz ów brzmi tak: „ja mam gitarku / ty masz gitarku / on ma gitarku / Wszyscy mamy gitarku / Ostrożnie z tym". Wersom (także w wersji wytatuowanej na udzie) towarzyszyły ilustracje. Na koniec do samozwańczego konkursu dołączyła Ola. Subtelna, delikatna nauczycielka języka polskiego, na plecach której wiją się węże, nieprawdopodobnie umięśnione, płaskonose i sarkastyczne. Patrząc na ludzi, wyobrażam sobie to drugie, podskórne życie.

Patrząc na ludzi, wyobrażam sobie to drugie, podskórne życie.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

BEZPŁATNY NEWSLETTER ZAPRASZAMY

Kto już się zapisał? Można to zrobić na stronie **tygodnikprzeglad.pl**, podając swój adres e-mail, lub dzwoniąc do redakcji, tel.: 22 635 84 10.

Dostając newsletter, co tydzień otrzymasz informacje o najnowszym wydaniu PRZEGLĄDU, komentarze do aktualnych wydarzeń oraz newsy o naszych książkach.

BĄDŹMY W KONTAKCIE!

YouTube

eprasa.pl cad94f54b8

Kornel Wawrzyniak

„I raz, i dwa"

Kino w pięciu smakach

Azjatyccy twórcy nie są przywiązani do idei szczęśliwych zakończeń

16. Festiwal Filmowy Pięć Smaków, który wystartował w listopadzie, to jedyny w skali kraju przegląd kina z Azji Wschodniej i Południowo-Wschodniej. Świetna okazja do zapoznania się z zupełnie inną perspektywą kulturową, która poszerza również nasze spojrzenie na problemy uniwersalne, bliskie wszystkim niezależnie od szerokości geograficznej.

Pięć Smaków od lat zamienia kilka jesiennych wieczorów w kinowe święto, ponieważ w programie znajdują się filmy niedostępne na co dzień w polskiej dystrybucji. Tak samo jak w zeszłym roku festiwal odbywa się hybrydowo, zarówno stacjonarnie, jak i online. Część stacjonarna już za nami, jednak do 4 grudnia można z domu oglądać prawie wszystkie filmy na stronie: piecsmakow.pl.

Azjatycka kinematografia jest odtrutką na nudę wysokobudżetowych produkcji amerykańskich. Nie ma w niej sztampy i schematów, którymi z upodobaniem posługuje się Hollywood. Ale i dla koneserów zorientowanych na kino europejskie to zupełnie inny zestaw smaków. Na ekranie stykamy się z nieznanymi naszej kulturze problemami wynikającymi z odmiennej tradycji i wierzeń. Czasem jednak zadziwią nas wybory bohaterów w sprawach, które także dla nas są codziennością. Nie mówiąc o tym, że azjatyccy twórcy nie są przywiązani do idei, że film musi się kończyć happy endem. A już to potrafi być odświeżające.

„Arnold jest wzorowym uczniem"

Tegoroczny program jest bardzo obszerny – na widzów czeka pięć sekcji tematycznych. Przede wszystkim 11 filmów młodych twórców u progu kariery, które znajdziemy w sekcji konkursowej „Nowe Kino Azji". Pięć Smaków znane jest ze stawiania na aktywny udział uczestników i to właśnie oni przyznają grand prix festiwalu w ramach People's Jury. Jurorzy wyłaniani są na zasadzie konkursu spośród zgłaszających się kinomaniaków. W tym roku nagrodę przyznano filmowi z Tajlandii „Arnold jest wzorowym uczniem" w reżyserii Sorayosa Prapapana. To tylko z pozoru opowieść o wchodzącym w dorosłość licealiście. Oparta jest na wydarzeniach z 2020 r., gdy tajscy uczniowie w sprzeciwie wobec szkolnej dyktatury wyszli na ulice, i może współbrzmieć z tym, co dzieje się w Polsce. Docenią ją przeciwnicy zmian wprowadzanych przez ministra Czarnka, któremu marzy się dokładnie taka karykatura szkoły. W fabule nie brakuje też szpileczek wycelowanych we współczesną Tajlandię.

Jeśli ktoś ma ochotę zobaczyć, jak w Azji robi się wysokobudżetowe kino, znajdzie coś dla siebie w ramach sekcji „Asian Cinerama". A w ramach retrospektywy reżyserskiej w tym roku mamy sześć odrestaurowanych filmów Edwarda Yanga, mistrza Tajwańskiej Nowej Fali. Warto obejrzeć „Terrorystów" z 1986 r., którzy przywodzą na myśl twórczość Antonioniego. Teoretyk literatury i krytyk Fredric Jameson nazwał zresztą tę pozycję modelowym filmem postmodernistycznym. Tegoroczną ciekawostką jest sekcja „Japan Feel-Good", czyli osiem filmów, których zadaniem jest zapewnienie widzom dobrego samopoczucia. Z tej selekcji polecamy osobliwą produkcję „Kot do wynajęcia", po której poczujemy się tak, jakby ktoś nas przed chwilą przytulił.

Warto również zwrócić uwagę na surrealistyczną komedię „Funky Forest" z 2005 r., przywodzącą na myśl

eprasa.pl cad94f54b8

„Funky forest"

„Rybie dziecko"

strumień najbardziej absurdalnych japońskich reklam. Jeśli zaś pozostajemy w klimacie absurdu, pozycją obowiązkową jest „Niech żyje Leonora!" nakręcona przez Filipinkę Martikę Ramirez Escobar. Tytułowa Leonora jest scenarzystką, która w wyniku wypadku staje się uczestniczką wydarzeń z własnego filmu. Na Pięciu Smakach znajdziemy także sekcję „Hongkong. Kino czasu przemian" – filmy realizowane po 1997 r., które odzwierciedlają zmiany, jakie zaszły w Hongkongu po przekazaniu miasta Chińczykom. W tym roku koniecznie trzeba zobaczyć „PTU", świetny film z gatunku noir w reżyserii Johnniego To, który zachwyca nocnymi zdjęciami.

Na uznanie zasługuje dopracowana do perfekcji formuła uczestniczenia w Pięciu Smakach online. Twórcy festiwalu dołożyli starań, abyśmy nawet z kanapy poczuli klimat kinowej sali. Przed seansami puszczane są azjatyckie reklamy, a każdej projekcji towarzyszy kilkuminutowa zapowiedź osób z festiwalowej ekipy, które wprowadzają widzów w szerszy kontekst prezentowanych filmów i poruszanych w nich tematów. To jednak nie koniec dodatków dla tych, którzy nie mogli uczestniczyć w pokazach stacjonarnych. Oprócz dostępu do filmów znajdziemy sekcję z podcastami, esejami i wywiadami. Być może ta dbałość o szczegóły bierze się z faktu, że dla twórców Pięciu Smaków festiwal jest jednocześnie misją. Projekcje filmowe mają nie tylko dostarczać rozrywki, ale także służyć jako narzędzie do edukowania i wzmacniania społecznej tolerancji na odmienną kulturę. Wynika to z samych początków festiwalu, mającego korzenie w działaniach Fundacji Sztuki Arteria, która w latach 2005-2007 z sukcesami promowała kulturę społeczności wietnamskiej w Warszawie. W 2007 r. FSA zorganizowała 1. Przegląd Filmów Wietnamskich Kino w Pięciu Smakach. Właśnie to wydarzenie dało początek Azjatyckiemu Festiwalowi Filmowemu Pięć Smaków.

Tegoroczny festiwal dedykowany jest pamięci zmarłej nagle Jagody Murczyńskiej, znawczyni i popularyzatorki kina japońskiego oraz Azji Wschodniej i Południowo-Wschodniej. Współtworzyła Pięć Smaków od 2012 r. Podczas festiwalu, w kinach, dało się odczuć, że jej różowej grzywki i spokojnego głosu brakowało nie tylko ekipie AFFPS, ale też stałym bywalcom imprezy, którzy przez ostatnią dekadę wyjątkowo się z nią zżyli.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

WYDAWNICTWO LIRA POLECA

Michael Sowa
Tam, gdzie nie pada
W połowie XIX w. mieszkańcy śląskiej wsi Płużnica wyruszają do Ameryki. Kilkuset Ślązaków udaje się w podróż przez kraje niemieckie, Ocean Atlantycki i prerie Teksasu. Zakładają istniejącą do dziś osadę Panna Maria nieopodal San Antonio. Tyle historia, która stanowi tło ballady o teksaskich Ślązakach, pełnej wzruszeń i lokalnego kolorytu, gdzie ślonsko godka funkcjonuje na równych prawach z angielskim i hiszpańskim.

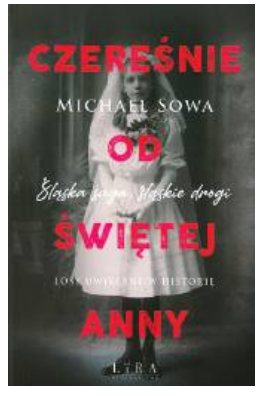

Michael Sowa
Czereśnie od Świętej Anny
Jest rok 1945. Na Dolny Śląsk wkracza Armia Czerwona, zmieniając życie ludzi. Wśród nich jest mała Lenchen, której dzieciństwo, dorastanie i dojrzałość przypadną na czas walki o niepodległość oraz pokoju narzuconego przez „nowych swoich". Powieść ujmuje ciepłym, pełnym zrozumienia spojrzeniem na Śląsk i Ślązaków – przywiązanych przede wszystkim do ziemi, na której się urodzili.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl cad94f54b8

NA EKRANACH

Do ostatniej kości

reż. Luca Guadagnino, prod. Włochy/USA, już w kinach

Timothée Chalamet wraca pod skrzydła Luki Guadagnina. Pierwszy raz spotkali się na planie „Tamtych dni, tamtych nocy", filmu, który odmienił ich życie. Dla 21-letniego wówczas Chalameta stał się trampoliną do wielkiej sławy. Aktor okrzyknięty został objawieniem i nadzieją Hollywood. Reżyser zaś od tego momentu coraz chętniej i śmielej eksperymentował – nakręcił choćby artystyczny horror „Suspiria", inspirowany „Odgłosami" Daria Argenta. Ponowne spotkanie Guadagnina i Chalameta zaowocowało filmem dość nietuzinkowym, łączącym elementy romansu, kina drogi i body horroru.

„Do ostatniej kości" to historia miłosna dwójki kanibali, którzy tułają się po Ameryce. Pod wieloma względami poraża dosłownością, dochodzi tu do krwawych mordów, a jednak nie to jest najbardziej wstrząsające. Ciarki przechodzą wraz z odczytaniem reżyserskich intencji. Guadagnino zrobił nośną metaforę losu ludzi, którzy, czując, że nigdzie nie pasują, szukają swojego miejsca. Film o wyrzutkach żyjących w ciągłym poczuciu wyobcowania. A może o tym, jak wygląda upadek amerykańskiego snu?

Mateusz Demski

KURTYNA W GÓRĘ

Olga Tokarczuk, „Księgi Jakubowe", reżyseria Michał Zadara, Teatr Narodowy, premiera 12 listopada 2022

Wybić się na niezależność

Adaptacja Barbary Wysockiej i Michała Zadary skupia się na dziejach walki Jakuba Franka o wydobycie Żydów z poniżenia i stworzenie względnej równości wobec innych nacji i grup społecznych. Stąd jego liczne konwersje, wolty religijne i sojusze. Trzymając się tego wątku, trzeba było zostawić na boku barwne obrazy z życia polskich panów czy pasje naukowe Benedykta Chmielowskiego, autora „Nowych Aten". Zostało co nieco z krytycznego obrazu Kościoła panującego – tu na plan pierwszy wybija się antypatyczna postać ultrasa religijnego, utracjusza i okrutnika, bp. Sołtyka (znakomita rola Mirosława Konarowskiego).

Najważniejsza jednak pozostała droga Franka, którą obserwuje z mistycznej wysokości Jenta (Barbara Wysocka). Jej życie zawisło między jawą i snem. Przypadki trzech scenicznych Jakubów: ośmioletniego dziecka, młodego mężczyzny (Henryk Simon) i podstarzałego watażki (wybitna rola Jerzego Radziwiłowicza), to pasmo przeszkód i pozornych sukcesów jak w powieści łotrzykowskiej czy romansie historycznym. Z biegiem lat piętrzące się upokorzenia rosną w groteskową katastrofę w finale, kiedy opuszczony przez wielu zwolenników i mecenasów Jakub Frank, bardziej już śmieszny niż charyzmatyczny, odchodzi pogrążony w swoich majakach o wielkości i obsesjach erotycznych.

Spektakl ogląda się jak film panoramiczny, którego nostalgiczno-żałobny nastrój dyktuje taperka w pianistycznych dekonstrukcjach (Justyna Skoczek). Inscenizacji bliżej do nastroju refleksyjnego niż do zmysłowego rozpasania, o którym tylko mowa (może poza scenami na dworze austriackim). To rodzaj rapsodu dedykowanego światu, który już nie istnieje, ale którego dziedzictwo przenika naszą współczesność.

Tomasz Miłkowski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Zygmunt Miłoszewski

Hydropolis, t. 1: Uciekaj

W.A.B., Warszawa 2022

Ludzkość przeniosła się pod wodę. Można by się spodziewać, że wreszcie urządzi się tam mądrze i bezpiecznie, i dowcipkować o dwuznaczności słowa utopia w tym kontekście, ale czy utopie nie są nudnawe? Zero dreszczyku grozy, a tu od razu wywołują go ciężkie kroki inżyniera niosące się korytarzami klaustrofobicznej kolonii. Inżynierowie stoją na straży bezpieczeństwa Hydropolis. Jego zachowanie akcentowane jest na wszelkie sposoby, mocno to jednak zalatuje zarządzaniem strachem. Mieszkańcom od maleńkości wbija się do głowy, że grozi im zatopienie, śmierć w męczarniach, a de facto robi się z nich więźniów. Niczym nieograniczony widok i wolność – o tym zaś marzy 11-letni bohater, z tych, o których dorośli myślą: „koszmarny szczeniak". Pokazując świat z jego perspektywy, Miłoszewski przypomina, że dzieci to bystrzy i surowi obserwatorzy, a rodzicielski autorytet nie jest bezwarunkowy, to raczej dwustronna umowa. Tę korzyść, oprócz rozrywki, wyniosą starsi czytelnicy. Bo powiedzmy sobie szczerze, choć powieść jest dla nastolatków, przynajmniej do niej zerkną. A jak zerkną, to wsiąkną.

Aleksandra Pańko

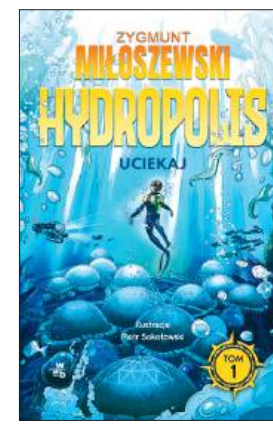

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl cad94f54b8

JACEK PAŁKIEWICZ

PÓŁ WIEKU REPORTERSKICH PODRÓŻY

Wyprawy w poszukiwaniu osobliwości ginących cywilizacji i niezwykłych krain oraz pokonywanie barier w warunkach krańcowego obciążenia

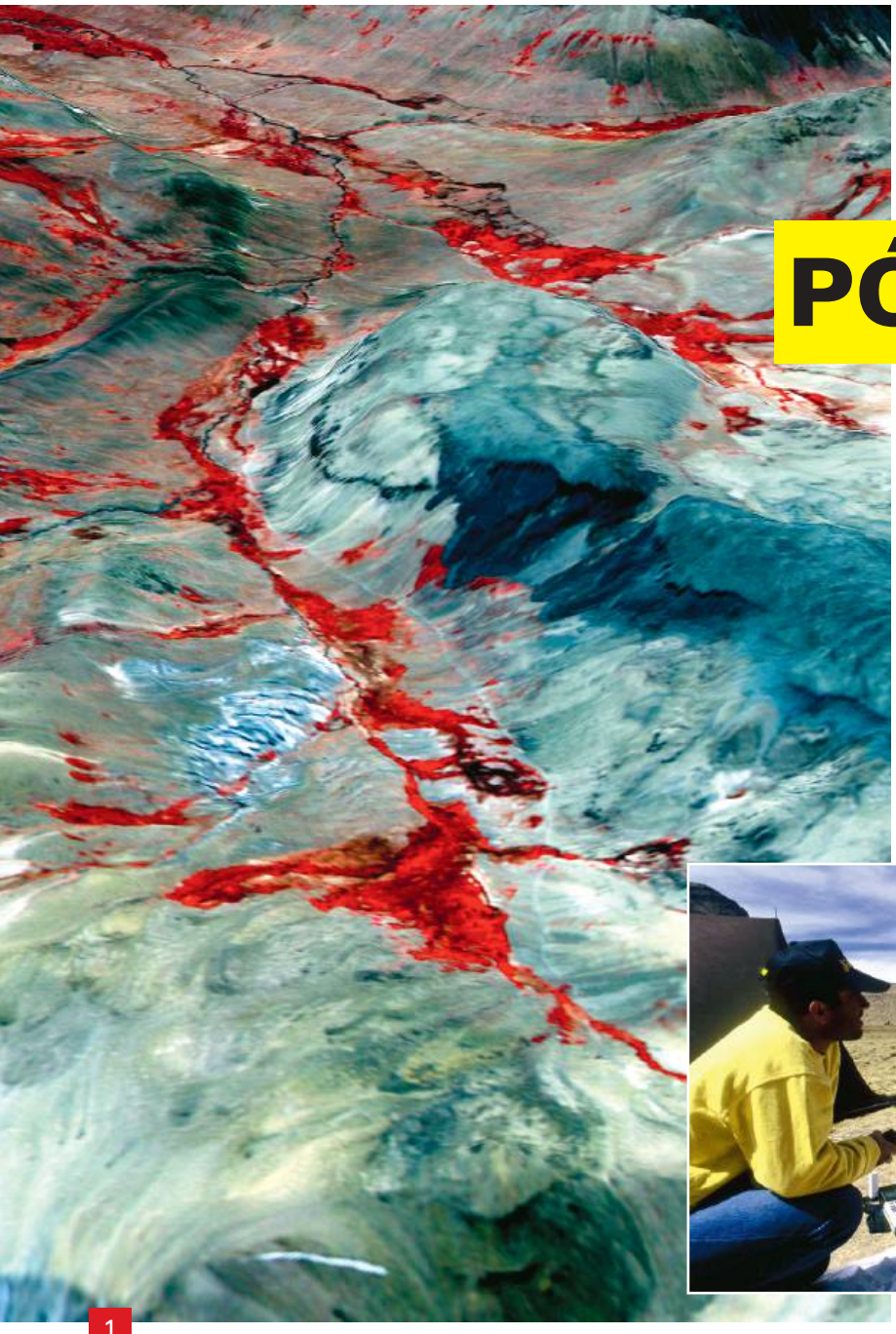

1

2

OSTATNIE ODKRYCIE GEOGRAFICZNE

Latem 1996 r. miałem przyjemność kierować wyprawą naukową, która ustaliła źródło Amazonki na stoku Quehuisha w Andach peruwiańskich. Z wysokości ponad 5000 m n.p.m. wypływa struga Apacheta, z której rodzi się Lloqueta, potem dzika górska rzeka Apurimac. Jej przedłużenie przybiera nazwę Ukajali, a ta rzeka po połączeniu z Marañónem staje się właściwą Amazonką.

Nasze pomiary niczym klocki Lego perfekcyjnie ułożyły się w całość, odpowiadając wymogom współczesnej nauki. Strumień Apacheta ma największy przepływ w całym zawiłym obszarze źródłowym, wypływa z wysokości większej niż inne cieki. Ma długość nie mniejszą od innych, więcej dopływów, a zatem lepiej rozwinięte dorzecze. Woda płynie w osi doliny, czyli zachowuje swój kierunek w miejscu spotkania z dopływem. Keczua mieszkający w tych okolicach potwierdzają, że potok prowadzi wodę przez cały rok i było tak zawsze, jak daleko sięgają pamięcią.

eprasa.pl cad94f54b8

3

4

5

7

JACEK PAŁKIEWICZ
– reporter, eksplorator, twórca survivalu w Europie.
www.palkiewicz.com

8

eprasa.pl cad94f54b8

6

10

1. Obraz satelitarny Apachety, źródłowego odcinka Amazonki.
2. Podporą wyprawy był adm. Guillermo Faura Gaig (drugi z lewej).
3. Apurimac w głębokim kanionie.
4. Jacek Pałkiewicz, organizator wyprawy „Amazon Source '96".
5. Echa prasowe.
6. Polski podróżnik Jacek Jaraszek u źródła.
7. Zagrożona wyginięciem Puya raimondii.
8. Miejsce narodzin Amazonki.
9. Odsłonięcie monumentu.
10. Tablica upamiętniająca odkrycie.

FOT. ARCHIWUM AUTORA

9

eprasa.pl cad94f54b8

Adam Zbyryt, Piotr Tryjanowski

ZIMA w ciepłych krajach

Czyli bocian na wakacjach

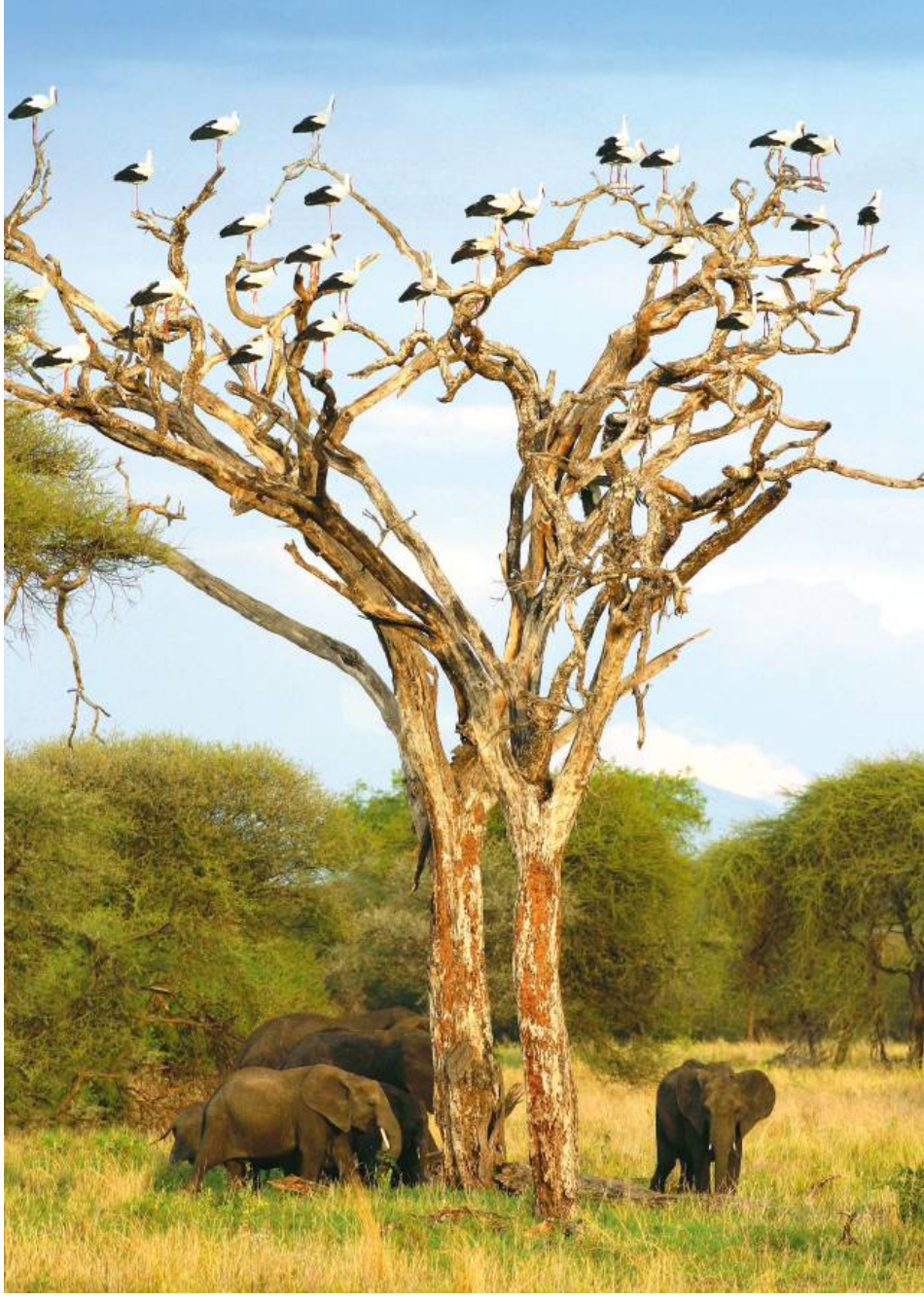

Ziemia obiecana

Zazdrościmy bocianom, bo one jesienną i zimową pluchę spędzają w ciepłych krajach, w sporej części w tropikalnej Afryce. Nasz punkt widzenia wymaga jednak skorygowania, a do tego posłuży nam solidna porcja faktów. Wędrówka do Afryki to droga długa i wyczerpująca, a na dodatek bociany, przynajmniej te, którym uda się dostać na kontynent afrykański, nie są witane chlebem i solą. Dopiero co pokonały Morze Czerwone, a już na egipskim brzegu czeka na nie kolejne niebezpieczeństwo – kilometry linii energetycznych. Kilka lat temu świat obiegły zdjęcia dokumentujące masową śmierć bocianów pod słupami w Arabii Saudyjskiej. Okazuje się, że ta technologiczna pułapka została zastawiona także w Egipcie. Trudno oszacować skalę zjawiska, gdyż miejsca te są pilnowane przez ochroniarzy, co uniemożliwia ich kontrolowanie. Nawet gdy ptaki mają obrączki, te znikają razem z nimi w piaskach pustyni.

W najtrudniejszej sytuacji są niedoświadczone pierwszaki. Często docierają bardzo blisko zimowisk, ale padają na ostatniej prostej. Egipskie wybrzeże od Nilu dzieli już tylko kawałeczek, a dalej na południe rozciąga się jego bezpieczna dolina. Na wysokości linii kończącej Saharę ptaki mogą też odbić na zachód i lecieć w sam środek Afryki. Część spędzi zimę na sawannach Kenii i Ugandy, część uda się na krańce kontynentu, aż do RPA. Niektóre bociany polecą na zachód do Sudanu i Czadu, inne dotrą do Zambii i Nigerii. Oznacza to, że maksymalna trasa przelotu, i to liczona w linii prostej, może przekroczyć 10 tys. km. Największe odległości muszą pokonywać bociany rozradzające się przy północnych rubieżach geograficznego zasięgu, np. te gniazdujące w Estonii lub w okolicach rosyjskiego Sankt Petersburga i lecące na zimowisko do Kraju Przylądkowego w RPA – ich trasa może mierzyć ponad 11 tys. km.

Wzorzec zachowań bocianów dolatujących do Afryki i spędzających tam zimę odbiega od wzorców innych gatunków, które dostają się zwykle w jedno miejsce i tam spędzają większość zimy. Bociany zaś lubią ruch. Zazwyczaj dość szybko starają się dotrzeć do „wstępnych" miejsc zimowania – czyli Sudanu i Czadu – a później do zachodniej Etiopii, gdzie intensywniej żerują i uzupełniają zapasy tłuszczu. Regularne, wyglądające wręcz na

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cad94f54b8

zaprogramowane zachowania wędrówkowe polegają na codziennych około 10-godzinnych przelotach. Ciągle w poszukiwaniu lepszych miejsc. Po co to wszystko?

Światło na takie zachowania rzucają badania zespołu Petera Bertholda (Instytut Ornitologiczny Maxa Plancka w Radolfzell). Naukowcy wykazali w nich, że bociany białe wędrujące trasą wschodnią wykazują specyficzny roczny cykl zmian masy ciała i otłuszczenia. Ptaki w czasie migracji na zimowiska cechuje dość niska masa ciała i niewielkie otłuszczenie (zaledwie 10-12%). Największą masę i zawartość tłuszczu w ciele bociany białe osiągają w środku europejskiej zimy, co jest uważane za przystosowanie do nieprzewidywalnych warunków pokarmowych na zimowisku. Mit stabilnych tropików jest właśnie… mitem, a bociany wiedzą o tym najlepiej. Wiemy o tym i my – nie tylko dzięki obserwacjom, lecz także najprawdziwszym badaniom eksperymentalnym. Wzięły w nich udział bociany przetrzymywane w wolierach – i choć wykonano to na południu Niemiec, zapewniono ptakom warunki zbliżone do miejsc zimowania.

Bociany poddano solidnej inspekcji medycznej i uważnie obserwowano, co dzieje się z ich organizmami. Przede wszystkim starano się zrozumieć, jak gromadzą i wykorzystują rezerwy energetyczne, czyli po prostu zapasy tłuszczu. Ptaki w przeciwieństwie do nas nie kumulują zapasów tkanki tłuszczowej w pulchnych policzkach, krągłych biodrach czy oponce wokół brzucha. Wszystko zakrywa warstwa piór. Dlatego też zawartość tłuszczu w organizmach bocianów – z uwzględnieniem miejsc jego odkładania: jelit, żołądka, odbytu i mięśni piersiowych – badano, używając m.in. specjalnych tomografów komputerowych, spektroskopów i rezonansu magnetycznego.

Łatwo zauważyć, że takie badania wymagały niezwykłego ekwipunku. Były wykonywane w niemieckich laboratoriach, ale doskonale wytłumaczyły to, co dzieje się w organizmach bocianów przebywających na zimowiskach w Afryce. Opisane badania stanowią kolejny dowód na to, że aby zrozumieć wędrówki ptaków i to, co się dzieje w Afryce, nie wystarczy lornetka, a nawet sieci ornitologiczne i profesjonalne odłowy. Potrzebna jest współpraca z fizjologami i wykorzystanie osiągnięć techniki medycznej – a to może budzić sprzeciw wielu osób. (…)

Bociany wiedzą coś, o czym często zapominają pacjenci. Ważna jest profilaktyka – będąc w Afryce, muszą postępować roztropnie: jeść tyle, ile potrzebują, zachowywać energię na chwile kryzysu i uzbroić się w cierpliwość. Najmłodsze ptaki przebywające w Afryce nadal rosną i dojrzewają, a dopiero po trzech lub czterech latach powrócą na europejskie lęgowiska. Dorosłe również muszą dopasować swoje zachowanie do lokalnych warunków, by nie tylko przeżyć, lecz także pozostać w jak najlepszej kondycji. Nazbierane siły przydadzą się podczas wędrówki i wpłyną na zachowania lęgowe. Ptaki wiedzą, że wakacyjny wypoczynek ma znaczenie dla rozrodczości.

W pogoni za szarańczą

Oportunizm pokarmowy bocianów jest widoczny także w Afryce, choć wiele wskazuje, że ptaki te mają tam ulubiony rodzaj pokarmu – szarańczaki, w tym dobrze znaną szarańczę wędrowną. Znaczenie mają także szarańcza pustynna i nadobnik włoski. To ich wielkie stada przemieszczające się po całej Afryce, dolatujące do Azji Mniejszej, basenu Morza Śródziemnego, a pojedyncze osobniki nawet do Polski i Szwecji, czyniły olbrzymie szkody w lokalnych uprawach. Szkody tak wielkie, że monitorowaniem szarańczy zajmuje się FAO – Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Wyżywienia i Rolnictwa.

Naloty szarańczy od wieków powodowały biedę i głód, ale to, co jest dramatem dla ludzi i ich upraw, kochają bociany. Za szarańczą potrafią chodzić krok w krok, więc stada bocianów przesuwają się za stadami tych owadów. Lokalne przemieszczenia ptaków w Afryce bardzo często wynikają właśnie z odkrycia nowych grup tych owadów. Holger Schultz, niemiecki badacz bocianów i kompetentny znawca ich sytuacji w Afryce, przytacza zaskakujące fakty.

W szczytach liczebności zagęszczenie szarańczy wynosi nawet 9,6 tys. osobników na metr kwadratowy. Oznacza to, że owady kłębią się i pożerają wszystkie napotkane na swej drodze rośliny trawiaste. Bociany wyłapują tyle, ile potrafią – w żołądku rekordzisty stwierdzono 1424 osobniki. Mimo to owadów jest tak wiele, że wpływ bocianów na ich liczebność pozostaje marginalny. Tę zależność potwierdzają przykłady innych drapieżników. To nie one wpływają na liczebności ofiar – jest dokładnie odwrotnie: dużo szarańczy to dobrze odżywione boćki z większą szansą na przeżycie.

Jeśli chodzi o łapanie szarańczy i przemieszczanie się za jej stadami, nasz bocian przypomina bociana białobrzuchego, nieco mniejszego kuzyna, który zamieszkuje tereny leżące na południe od Sahary. Ptak ten – co także udowodniono dzięki telemetrii satelitarnej – przemieszcza się po całym kontynencie afrykańskim, szukając szarańczaków. Oba gatunki bocianów, biały i białobrzuchy, bywają widywane w mieszanych stadach, choć bocianów białych są

Bociany lubią ruch. Zazwyczaj szybko starają się dotrzeć do „wstępnych" miejsc zimowania – Sudanu i Czadu – a później do zachodniej Etiopii, gdzie intensywniej żerują.

W Afryce ptaki muszą postępować roztropnie: jeść tyle, ile potrzebują, zachowywać energię i uzbroić się w cierpliwość.

eprasa.pl cad94f54b8

zwykle setki, a ich afrykańskich kuzynów znacznie mniej, od kilkunastu do kilkudziesięciu osobników. Łatwo odróżnić te dwa gatunki, bo bocian białobrzuchy jest nie tylko mniejszy, lecz ma także – jak sama nazwa wskazuje – biały brzuch, zaś reszta jego ciała jest ciemna. Przypomina nieco bociana czarnego z powiększonym dziobem – i dziwnym, prymitywnym spojrzeniem. Dla nas to egzotyczny gatunek, choć raz, w 1926 r., został odnotowany w Polsce. Przypuszczalnie był to jednak uciekinier z ogrodu zoologicznego lub prywatnej hodowli. Zabito go pod Poznaniem.

Afrykańczycy darzą bociany białobrzuche olbrzymim szacunkiem, dla nich to ptaki chronione i święte. Są traktowane jako zwiastun deszczu, a na obszarach tropikalnych, gdzie występują tylko dwie pory roku – deszczowa i sucha – deszcz oznacza odradzające się życie.

Bociany lubią deszcz, ale za szarańczą skoczą nawet w ogień, a na pewno w wypalone miejsce, choć zdarza się też, że ściółka nadal się tli, a wokół unoszą się kłęby dymu. Na wielkich wypalonych obszarach można spotkać setki żerujących bocianów. Bociany wypatrują tam szarańczy, gryzoni, jaszczurek i węży przypieczonych ogniem niczym smakowite kąski z grilla. Nic dziwnego, że gdy w 2020 r. w Biebrzańskim Parku Narodowym wybuchł ogromny pożar, bociany czuły się tam jak w raju. Wiele okolicznych par odwiedzało wówczas pogorzeliska w poszukiwaniu tego samego – spalonych ofiar.

Strzały, bumerangi i strzelby

O ile lokalne bociany budzą w Afryce podziw, o tyle te przybywające z Europy ewidentnie nie cieszą się szacunkiem. W wielu miejscach są tępione jako zły omen, a w innych traktowane jako źródło białka. W Egipcie bocianie mięso stanowi prawdziwy rarytas. Analiza danych z obrączek ptaków wykazała, że niemal co czwarty bocian, który stracił życie w Afryce, zginął z ręki człowieka. Ludzka pomysłowość robi w tej kwestii duże wrażenie. (…)

Bociany są łapane gołymi rękoma, wymyślnymi systemami pętelek, rzuca się w nie kijami pasterskimi, kamieniami, a nawet specjalnym bumerangiem o nazwie *safaroque*. Strzela się do nich z łuku, a rekordzista dwoma strzałami zabił aż osiem bocianów. Masajowie chwytali pojedyncze ptaki dla piór, z których wykonywali ozdoby konieczne do rytualnych tańców. Udokumentowano nawet celowe zabicie ptaka dla… obrączki, bo ta w niektórych częściach Afryki stanowi cenny amulet i przedmiot kultu. O broni palnej nie będę nawet wspominać – od niej giną tysiące ptaków. Taka śmierć jest jednak widoczna, a dużej części dramatów nie widzimy. Nie pokazują ich media, bo są mniej spektakularne, odbywają się w ciszy, z dala od ludzi i są bardzo trudne do udowodnienia. Chodzi tu o masowe zatrucia. Zwalczanie szarańczy wymaga użycia silnej chemii. Cierpią przez to bociany. Nie tylko tracą źródło pożywienia, lecz także padają w wyniku zatruć. (…)

Naturalnych problemów bociany mają znacznie mniej. Może je schwytać drapieżnik taki jak lew, szakal czy zdziczały pies. Te najczęściej atakują nocą, więc bociany na miejsce snu wybierają drzewa, krzewy lub wystające skały – tak wysokie, by nie doskoczyły do nich wspomniane ssaki. (…)

Nasi też tam byli

Okazuje się, że Afryka nie jest jedynie miejscem zimowania. Gniazdujące tam bociany to nie tylko egzotyczne gatunki. Opisano dotąd dwie geograficznie bardzo od siebie odległe populacje. Pierwsza, mocno zbliżona do europejskiej populacji zachodniej, to grupa ptaków gniazdujących w basenie Morza Śródziemnego – w Maroku, Algierii i Tunezji. Stylem życia, zachowaniem, dietą, a nawet terminami lęgów przypomina bociany białe mieszkające w Hiszpanii. Ciekawsza, przynajmniej z polskiej perspektywy, jest jednak grupa bocianów gniazdujących w RPA, na samym końcu kontynentu, w Kraju Przylądkowym. Pierwsze ptaki zaczęły się tam rozmnażać w 1933 r., a w latach 1974–1975 (badacze wskazują dwa następujące po sobie lata, ponieważ tamtejszy sezon lęgowy następuje na przełomie kolejnych lat – to okres odpowiadający miesiącom letnim na półkuli północnej) były tam już cztery pary lęgowe.

W przeciwieństwie do gniazdujących u nas bocianów tamtejsze ptaki przeprowadzają lęgi w sposób niezsynchronizowany. Pierwsze samice rozpoczynają składanie jaj już pod koniec września, a ostatnie czynią to dopiero pod koniec listopada. Afrykańczycy mają zatem Boże Narodzenie bez śniegu, za to z młodymi bocianami białymi w gniazdach. Co zaskakujące, tamtejsze bociany wędrują, choć raczej należałoby takie zachowanie określić koczowniczym trybem życia. Po lęgach dorosłe z młodymi lecą do Kenii i Zimbabwe, gdzie poszukują wilgotnych, żyznych żerowisk. Teoretycznie mają szanse na spotkanie osobników przybywających z Polski, choć dotychczas jeszcze nie donoszono o takich przypadkach.

Bociany lubią deszcz, ale za szarańczą skoczą nawet w ogień.

Gdy w 2020 r. w Biebrzańskim Parku Narodowym wybuchł ogromny pożar, bociany czuły się tam jak w raju.

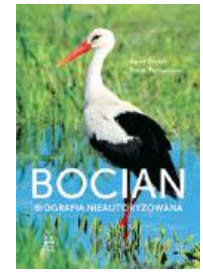

Fragmenty książki Adama Zbyryta i Piotra Tryjanowskiego *Bocian. Biografia nieautoryzowana*, Wydawnictwo Paśny Buriat, Kielce 2022

eprasa.pl cad94f54b8

Houston, mamy problem

No i pojawiła się nam Monika Sobczak, protegowana Andrzeja Papierza, byłego dyrektora generalnego w MSZ. Będzie konsulem generalnym w Houston. I w zasadzie nikogo, kto orientuje się w realiach MSZ, nie powinno to dziwić.

Andrzej Papierz zdecydowanie nie zapisał się w historii ministerstwa złotymi zgłoskami. Wyrzucał urzędników kompetentnych i ciągnął swoją gromadkę. Odbywało się to w atmosferze awantur i skandali. Witold Waszczykowski, były szef MSZ, pisowski przecież, nazywał go Rasputinem. Jego zdolności intelektualne zweryfikowała ustawa o służbie zagranicznej, którą współtworzył i pilotował – okazało się, że nie uwzględnił w niej kosztów, które musi ponieść resort, wprowadzając ją w życie. Minister Rau zwolnił go więc ze stanowiska, choć w MSZ zostawił.

Monika Sobczak, zanim trafiła do MSZ, była działaczką NZS na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Potem była warszawską radną PiS. A później przez ponad rok asystentką Papierza. Gdy wiceminister Piotr Wawrzyk przedstawiał ją posłom, mówił, że pracowała w MSZ od roku 2018, najpierw w Departamencie Konsularnym, a potem w Biurze Dyrektora Generalnego na stanowisku eksperta.

Innymi słowy, Wawrzyk mówi, że była dla Papierza ekspertem, a resortowi plotkarze, że asystentką. Przyjmijmy, że jedno i drugie.

Potem z tej pozycji przeszła na stanowisko zastępcy dyrektora Biura Spraw Osobowych, de facto tym biurem kierując. Była zatem główną kadrową MSZ. Tę sytuację skomentował wspomniany wcześniej Waszczykowski takim wpisem na Twitterze: „Genialna zamiana złogów w MSZ. A ja głupi szukałem ekspertów, naukowców, profesorów do pracy w dyplomacji. A wystarczyło zatrudnić działaczy z Łowicza". Ech, szanowny europośle, każdy szuka tego, co lubi.

Po odsunięciu Papierza Monika Sobczak została zastępcą dyrektora w Biurze Szefa Służby Zagranicznej. Czyli trafiła do Arkadego Rzegockiego, o którym można powiedzieć wszystko, ale nie to, że był przyjacielem jej patrona.

I to rodzi spekulacje – czy przypadkiem nie było tak, że Rzegocki wręcz lobbował za jej wyjazdem do Houston, byle tylko pozbyć się z własnego otoczenia obcego oka i ucha?

Albo lobbował on, albo załatwił jej ten wyjazd Papierz, albo zadziałał jakiś inny układ… W każdym razie, to chyba jasne, Monika Sobczak nie jedzie do Houston, bo jest dobrym konsularnikiem czy specjalistką od USA. Nigdy wcześniej nie była na żadnej placówce (o USA nie wspominając), nie pracowała w konsulacie, nie zajmowała się tymi sprawami, trudno traktować poważnie jej pobyt w Departamencie Konsularnym na początku jej pracy w MSZ.

Sytuacja wygląda tak, że Rzeczpospolita wysyła do Houston partyjną aktywistkę. I to na placówkę – po pierwsze – na obszarze działania której Polonia jest niechętna PiS. A po drugie, na placówkę, która może Polsce przynieść wiele dobrego, bo Houston to wielki ośrodek biznesu i nauki. Ale żeby coś uzyskać, powinno się wysłać tam kogoś, kto ma doświadczenie w takich kontaktach. I potrzebną wiedzę.

To jednak fantazja – Monika Sobczak deklarowała, że w pierwszym rzucie będzie się zajmować miejscami pamięci, centrami dziedzictwa itd. W sumie może to i dobrze. Niech się zajmuje tym, na czym się zna. *Attaché*

Argentyński sędzia rozmawia ze środkowym pomocnikiem chorwackiej reprezentacji Marcelem Brozoviciem podczas rzutu wolnego w meczu Chorwacji z Marokiem (0:0). 23 listopada 2022 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl cad94f54b8

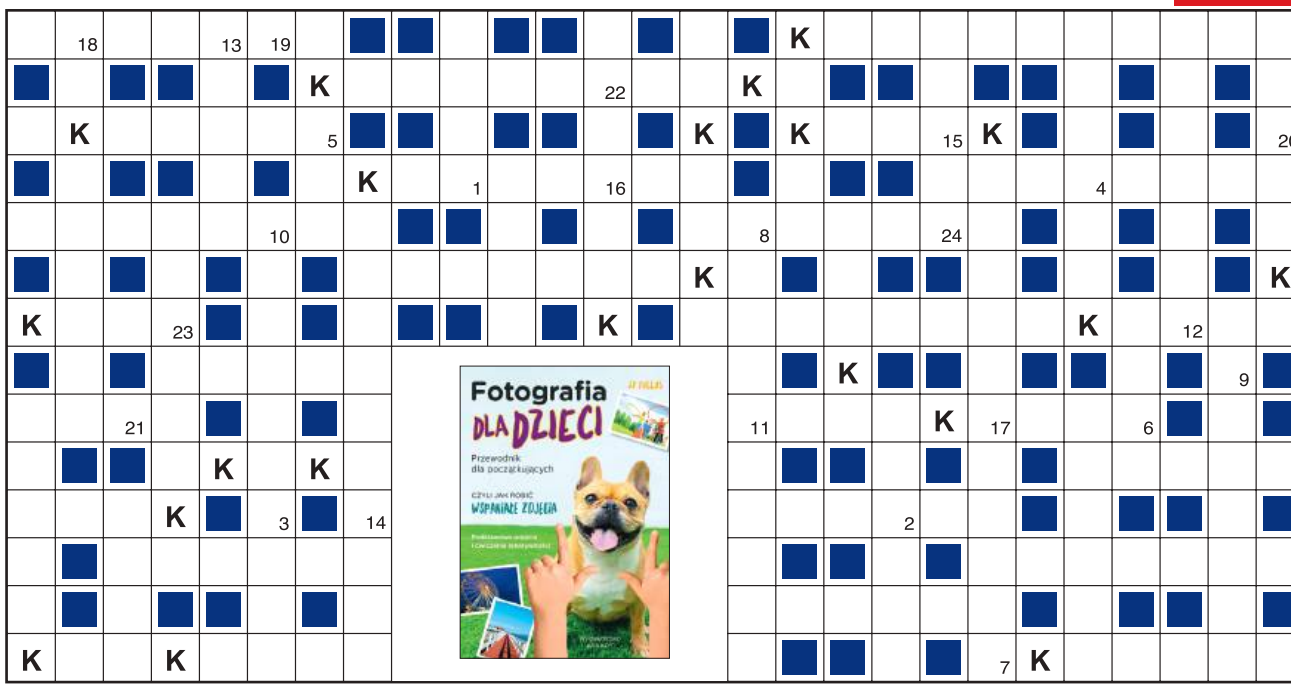

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- słynący z urody ukochany Afrodyty
- zawody w starożytnej Grecji
- zawód to czy sztuka, powołanie?
- narciarka jak Mikaela Shiffrin
- kaszlu albo kamicy nerkowej
- seria ze Złomkiem i Sally Carrerą
- frankowicze je pozywają
- obmurowanie studni
- domek letniskowy np. pod Moskwą
- „Martwe…" Gogola
- stoi w kuchni kawosza
- pokonał Katar w meczu otwarcia mundialu
- ogół biskupów danego kraju
- głaz narzutowy (z łaciny)
- skórzane na wieczne pióro
- i posłaniec, i figura szachowa
- reumatyzm
- rozpoznanie, ustalenie tożsamości
- w październiku wyniosła w Polsce 17,9%
- duże strusie, piegowate indycze
- z bólu albo płaczliwe domaganie się
- wróżbiarstwo lub doktryny mistyczne w judaizmie
- powieść Jorge Amado
- maskowanie jakiegoś obiektu
- krawędź lub oszustwo
- sercowy dział medycyny
- więcej niż chrząknięcie
- okrętu podwodnego – bez prasy
- ostatnie wybrało Bergoglia na papieża
- Arlanda, Orly lub JFK
- somnambulik
- nagroda dla Annie Ernaux
- absurd, niedorzeczność
- Houston, mamy…!
- tylko figle mu w głowie
- Apollo i Artemida lub Matylda i Mateusz Damięccy
- uzyskuje się z niej metale
- świadek pojedynkującego się
- ludzka siedziba lub ostoja zwierzyny
- łyżwiarskie to lutz, flip, axel
- brzeg, kraniec
- …Wolności – dar narodu francuskiego
- uczucie po obfitym posiłku
- posiadłości ziemskie, dobra
- anafilaktyczny jest zagrożeniem życia
- kartofli lub (żartobliwie) archeologiczne
- żal uwierający jak drzazga
- umowy albo związku małżeńskiego

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1093". Do rozlosowania książki „Fotografia dla dzieci" ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 4 grudnia 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1090" z nr. 46: *Niepodległość to dobro kosztowne.* Nagrody otrzymują: Jerzy Ćwięk z Krakowa, Łukasz Karol z Makowa Mazowieckiego, Olga Obara ze Świebodzina.

eprasa.pl cad94f54b8

PENETRACJE

Press **ANDRZEJ SKWORZ,**
REDAKTOR NACZELNY

Choć na wszystkie inne tematy usta (i Twitter) Lisowi się nie zamykają, to tutaj postanowił nie tłumaczyć, nie ujawniać, nie odnosić się – i w ten sposób sam zapędził się do narożnika. Żakowski zderzył się z murem milczenia kolegi, ale zamiast sprawę pozostawić własnemu biegowi, postanowił działać. Uznał, że Lisowi grozi śmierć cywilna. To niesłuszny argument. Nikt nie odebrał Lisowi prawa głosu. On sam się go pozbył. To przecież Lis nie skorzystał z dwóch zaproszeń do udzielenia wywiadu w TOK FM i odpowiedzi na pytania w audycji na żywo. (…) Polacy nie mogą myśleć, że dziennikarskim standardem jest stawanie po stronie kolegów. Nie – dziennikarskim standardem jest stawanie po stronie standardów.

TYGODNIK POWSZECHNY **ANDRZEJ STASIUK,**
PISARZ

Nagrody są zdradliwe. Zatruwają umysły i serca piszących. Wywołują najniższe uczucia. Zawiść, zazdrość, pychę, wzgardę – tak u przegranych, jak u laureatów. Widziałem zwycięzców, którzy już nie podnieśli się po swojej wiktorii. Przytłoczeni dwuznacznym splendorem po prostu zamilkli. Zwyczajnie odebrało im mowę. Widziałem laureatów, których chwilowy triumf wpędzał w literackie gadulstwo podszyte dość komicznym przekonaniem, że po nagrodzie będą pisali już tylko lepiej i donośniej. Nie trzeba chyba dodawać, że było wręcz odwrotnie. Nagroda bowiem niczego nie czyni poza chwilową stymulacją ego. Realne są pieniądze, których i tak zawsze jest za mało.

zwierciadło **ANNA SUŁKOWSKA-MIGOŃ,**
DYRYGENTKA, ZWYCIĘŻCZYNI PRESTIŻOWEGO KONKURSU LA MAESTRA

Staram się przede wszystkim patrzeć muzykom w oczy w trakcie wykonywania dzieła. I nie mówię tylko o pierwszych pulpitach. Szukam wzrokiem ludzi z najdalszych części orkiestry. Jeśli ktoś zagra piękne solo, a wiem, że to jest zawsze olbrzymi stres, uśmiecham się do tej osoby. Chcę, aby było czuć, że pracujemy na ten sukces jako partnerzy. Oczywiście są też muzycy, którzy sobie nie życzą patrzenia w oczy, i ja to szanuję. W większości przypadków dzieje się jednak między nami magia.

na szczycie **DOROTA RASIŃSKA-SAMOĆKO,**
ZDOBYWCZYNI DZIEWIĘCIU 8-TYSIĘCZNIKÓW

Szerpa przyleciał w dniu ataku szczytowego. Był tak zmęczony, że właściwie miał zero kontaktu z rzeczywistością. Wchodziłam na butli z tlenem, której mi nie wymienił. Oszczędzałam tlen, a on sam gdzieś… zniknął. Była fatalna pogoda, porywy wiatru zatrzymywały mnie. Do 8070 m n.p.m. szłam za ekipą dwóch klientów z kilkoma Szerpami. Podążałam za nimi, lecz kiedy oni zdobyli szczyt i zaczęli schodzić, zawrócili mnie. Mimo że miałam siły na zdobycie tego szczytu, przemówił rozsądek.

Lionel Messi podczas meczu Argentyny z Arabią Saudyjską (1:2). 22 listopada 2022 r.

FOT. REUTERS/FORUM

Aby język giętki…

BOGUSŁAW LINDA
O REAKCJI NA FILM „PSY"

Tzw. środowisko nie wybaczyło nam wtedy tego filmu. Były nawet głosy, by go nie pokazywać, bo „jak można było nakręcić coś takiego".

ROBERT LEWANDOWSKI
O MECZU Z MEKSYKIEM

Musimy zaakceptować to, w jakim stylu gramy.

KATARZYNA KASIA O TOMASZU LISIE

Gdy byłam stażystką w Polsacie, pamiętam ten poziom stresu i napięcia. I nie wiem, ile by musiało upłynąć czasu, bym go zapomniała.

KRZYSZTOF LUBCZYŃSKI
O GRZEGORZU JANKOWSKIM

Swoje koszmarne kocopały polityczne wygłasza przed kamerami Polsatu („Punkt widzenia" i „Debata tygodnia") z pozycji rzekomo bezstronnego moderatora rzekomo neutralnej stacji telewizyjnej.

MAREK GASZYŃSKI O SWOIM NAJBARDZIEJ ZNANYM UTWORZE

Był okres, kiedy niemal z każdej knajpy, dancingu i studniówki dochodziły dźwięki „Gdzie się podziały tamte prywatki".

ZENON LASKOWIK O TVP

Z obecną telewizją, tzw. publiczną, nie jest mi po drodze.

MONIKA BRODKA O KONTROLI

Prowadziłam przez ostatnich 18 lat bardzo kontrolowane życie, takie dopięte na ostatni guzik, z dużą presją, którą wywierali na mnie ludzie i ja sama.

JACEK ROZENEK O GRZE PO UDARZE

W „Barwach szczęścia" miałem tylko leżeć w łóżku i odpowiadać: „tak", „nie", „nie wiem". I miałem problem, żeby spamiętać taką rolę.

MAŁGORZATA GLINKA
O PRESJI W SIATKÓWCE

Zawsze brałam na siebie presję. Byłam liderką każdej drużyny, w której grałam, czy to była reprezentacja, czy liga.

eprasa.pl cad94f54b8

Czkawka po gackach

Blogerce z Tajlandii grożą poważne kłopoty w związku z udostępnionym przez nią w internecie nagraniem, na którym je zupę zawierającą przyrządzone w całości nietoperze. Phonchanok Srisunaklua rozrywała je na części i moczyła w ostrym sosie, a ich smak określiła jako pyszny. Wideo wywołało masę negatywnych komentarzy, z których wiele zwracało uwagę na ryzyko wybuchu kolejnej pandemii. Kobieta została aresztowana, m.in. dlatego, że zjedzone przez nią zwierzęta należały do gatunku chronionego; grozi jej nawet pięć lat więzienia. I zemsta Batmana…

Przekroczył licznik głupoty

Mniej poważne konsekwencje, bo dwa lata za kratami, mogą się stać udziałem 39-latka, który w Suchorzu w dawnym województwie słupskim z dużą prędkością wyprzedził oznakowany radiowóz. Po zatrzymaniu do kontroli kierowca wyjaśnił, że nie mógł postąpić inaczej, gdyż wyzwanie prześcignięcia policyjnego auta rzuciła mu siedząca obok partnerka. Gdy funkcjonariusze zatrzymali prawo jazdy mężczyzny, będącego pod wpływem alkoholu, usłyszeli, że to dla niego nic nowego. Okazało się, że już dziewięć razy odbierano mu uprawnienia do siadania za kółkiem, za przekroczenie dozwolonej liczby punktów karnych. Z okazji jubileuszu fanowi motoryzacji życzymy więcej oleju, tego w głowie.

Do paki za paki?

24 miesiące pozbawienia wolności to niewykluczony scenariusz również w przypadku listonoszki z Dolnośląskiego. Zamiast doręczać listy i paczki, trzymała je w mieszkaniu oraz u członka rodziny, w efekcie prawie tysiąc przesyłek nie trafiło do adresatów. – 21-latka tłumaczyła się tym, że worek z listami był dla niej za ciężki, a dodatkowo poznała chłopaka, w którym się zakochała, i nie miała czasu na roznoszenie listów – poinformowała rzeczniczka legnickiej policji Anna Tersa. Amorze, dlaczego nie pomogłeś z tym workiem?

No to dziab!

W tarapaty pakują się nie tylko obywatele Tajlandii i Polski, ale również nieroztropni mieszkańcy Stanów Zjednoczonych. W Nowym Jorku nabroili 33-letnia Crystal Thomas, która pozwoliła, by 10-letni syn zrobił sobie tatuaż, i wykonawca dziary, 20-letni Austin Smith. Matka zarzeka się, że miało chodzić o tatuaż tymczasowy, Smith, nieposiadający zresztą licencji na wykonywanie zawodu, kaja się za błędne przekonanie, że zgoda rodzica oznacza zielone światło. Co ciekawe, chłopiec chciał ozdobić skórę zainspirowany swoim nauczycielem. A mówią, że młodzi nie uznają autorytetów.

Chyba mu się nie upiecze

Przegląd kłopotów z prawem zakończymy w Turcji. Przewodniczący tamtejszego Związku Producentów Chleba, Cihan Kolivar, został zatrzymany przez policję, po tym jak w telewizji przekonywał, że tylko głupie społeczeństwa traktują pieczywo jako swoją podstawową żywność. – Jego spożycie wynosi [w Turcji] 210 kg na głowę. W Szwecji, Norwegii, Danii, Japonii, Anglii 45-50 kg. Ponieważ

eprasa.pl cad94f54b8

Kibicki Iranu przed meczem Anglia-Iran (6:2). 21 listopada 2022 r.

nasze społeczeństwo jest pełne chleba, od 20 lat mamy takich rządzących, jakich mamy – wytknął Kolivar podczas rozmowy o stale rosnącej cenie bochenka. W ten sposób ściągnął na siebie śledztwo w sprawie możliwego znieważenia tureckiego narodu i państwa. A wy jak uważacie – posunął się o kromkę za daleko?

Gra o tron (ten pod choinką)

W USA podjęto próbę monopolizacji tytułu Królowej Bożego Narodzenia. Mariah Carey, autorka okolicznościowego megahitu „All I Want for Christmas is You", próbowała zastrzec stosowny znak towarowy, jednak jej wniosek został odrzucony. Choć artystka bywa tak nazywana – w zeszłym roku zrobił to choćby magazyn „Billboard" – nie jest pod tym względem jedyna. „New Yorker" ochrzcił tak inną wokalistkę znaną z bożonarodzeniowych singli, Elizabeth Chan, która zablokowała proces rejestracji (jak deklaruje, by uratować święta), a ponadto koronowane bywały Brenda Lee i Darlene Love. Można więc śmiało powiedzieć, że Doda nie miała racji, gdy oświadczyła, że „królowa jest tylko jedna".

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA (2), SARKA FARKA, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, FOTO OLIMPIK/REPORTER

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz **e-mail:** p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz **e-mail:** r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak **e-mail:** r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat **e-mail:** j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek **e-mail:** a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska **e-mail:** a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:
Sandra Zawadzka **e-mail:** s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA
IZBA WYDAWCÓW PRASY
BIURO KONTROLOWANY

eprasa.pl cad94f54b8

BŁYSK, MAT, KOLOR

Fotografia i Warszawa lat 90.

Czas kontrastów, zmian i przełomów utrwalony na fotografiach. Jarmark Europa, Cricoland, pierwszy McDonald, reklamy i afisze wolnych wyborów, handel z łóżek polowych oraz tzw. szczęki i jugokioski, pierwszy dzień wiosny, ale też narkomania, bieda i strajki. Zdjęcia profesjonalne i amatorskie, reportaże i fotografia artystyczna tworzą portret Warszawy w latach 90. Ponad tysiąc zdjęć i filmów autorstwa niemal stu twórców i twórczyń, w tym Edwarda Hartwiga, Chrisa Niedenthala, Tadeusza Rolkego, Anny Beaty Bohdziewicz, Anny Musiałówny, Pawła Althamera czy Marcela Łozińskiego.

Muzeum Warszawy
Rynek Starego Miasta 28-42
do 19 lutego

Tadeusz Rolke, Sprzedaż szynki konserwowej z samochodu, z serii „Jutro będzie lepiej", 1990.

Edward Hartwig, Aleje Jerozolimskie, reklama McDonalda przy Smyku, 1992-1993; Muzeum Warszawy.

Sylwester Braun ps. Kris, Pałac Kultury i Nauki, a przed nim amusment park, 1993; Muzeum Warszawy.

Krzysztof Miller, Wietnamczycy handlujący na Stadionie Dziesięciolecia, 1996; Agencja Wyborcza.pl.

eprasa.pl cad94f54b8

eprasa.pl/cad94f54b8

STODOLA more than live music

KLUB STODOŁA
ZAPRASZA NA KONCERTY!

BILETY DOSTĘPNE NA: **WWW.STODOLA.PL** ORAZ **WWW.TICKETCLUB.PL**

@KLUB.STODOLA **@KLUB.STODOLA**